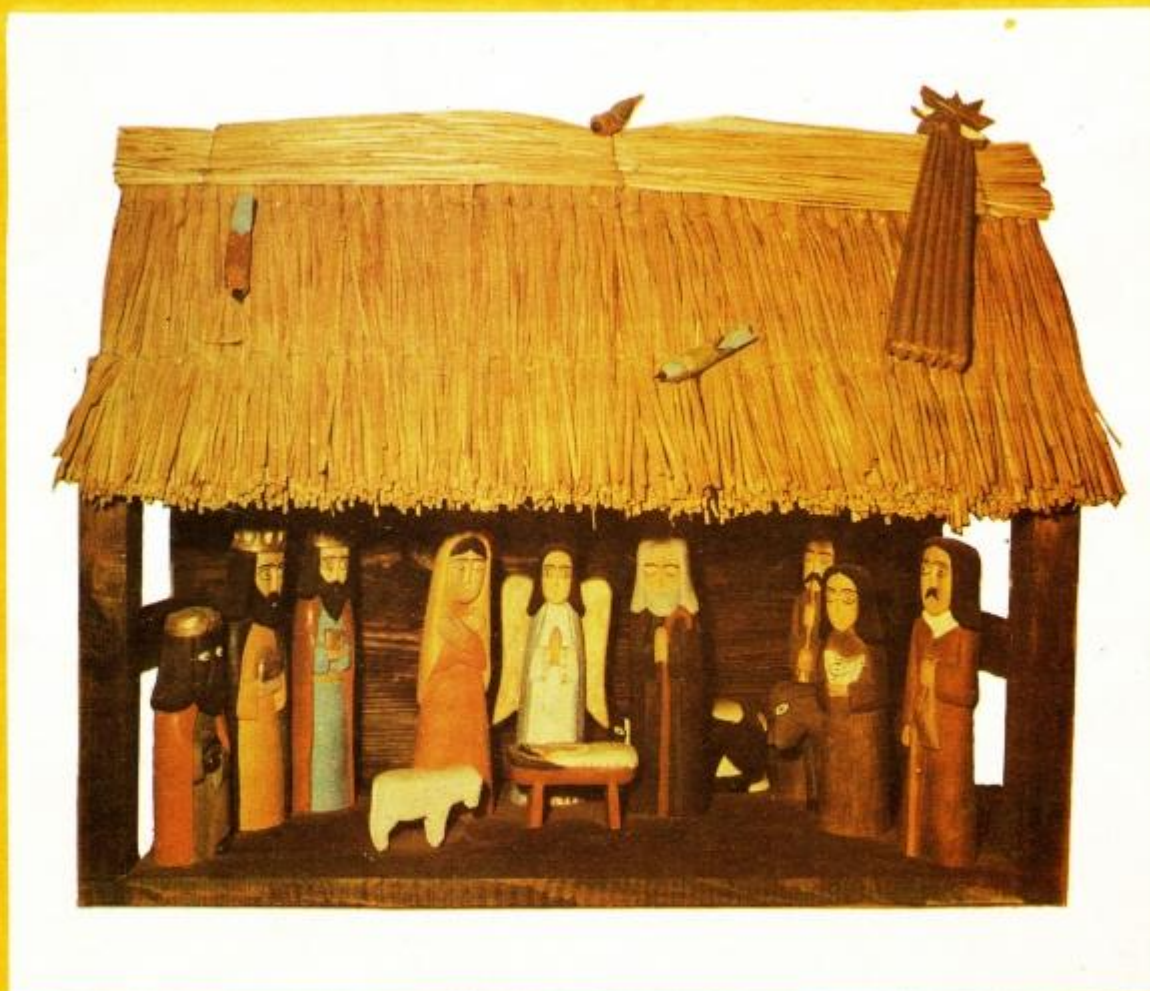


Twórczość Ludowa

R. II Nr 4(5) 1987
Cena 80 zł

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA TWÓRCÓW LUDOWYCH



■ Twórczość Ludowa ■

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA TWÓRCÓW LUDOWYCH

Nr ind. 37976X
PL ISSN 0860-4126

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Redaktor naczelny:
Sekretarz redakcji:
Kierownik Działu
Literatury i Sztuki Ludowej:
Redaktor techniczny:
Korekta:
Projekt okładki:
Zdjęcia:

Stanisław Weremczuk
Janusz Januchowski

Maria Brzezińska
Wiktoria Lickiewicz
Romualda Grabowska
Zbigniew Strzałkowski
Leszek Kistelski

ADRES REDAKCJI:

20-112 Lublin, ul. Grodzka 14,
tel. 237-45

WYDAWCA:



RSW „Prasa-Książka-Ruch” —
Lubelskie Wydawnictwo Prasowe,
20-077 Lublin, ul. Jasna 6.

DRUK:

Lubelskie Zakłady Graficzne im.
PKWN, Lublin, ul. Unicka 4
Zakład nr 6, Biała Podlaska, ul.
Orzechowa 58.

Przekazano do druku we wrześniu 1987 r. Nakład 4000 egz. Z-9.

Na okładce: I str. Szopka, Zenon Adamski, Sobiska, woj. siedleckie.
Ze zbiorów Muzeum Lubelskiego w Lublinie.
IV str. Szopka krakowska, Stanisław Paczyński, Kraków.

Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku życzy Redakcja

EMILIA MICHALSKA

W wigilijny wieczór

Splyń gwiazdo z obłoków,
oświeć nasze serca,
zapal je miłości
życzliwą dobrocią,
połącz ręce nasze
we wspólnej, twórczej pracy
dla dobra Ojczyzny
szczęścia i pokoju,
byśmy z najbliższymi
łamiąc się oplatkiem
nie z płonnych słów wzięte
składali życzenia,
lecz z najgłębszych głębin
serdecznych czeluści:
szczerze, przyjacielskie,
i sprawdzalne w czynach.

W żywicznym zapachu
płonącej choinki
niech zniknie to wszystko,
co na sercu cieniem.

Z wesołym „Gloria”,
z rzewnym „W żłobie leży”,
świętujmy spokojnie
Boże Narodzenie.

IGNACY ANTOSZ

Co rok przybywasz

Co rok z ostatnim dniem grudnia
przybywasz do nas z zawieją,
przynosisz dar z gwiazdek srebrnych
aby rozjaśnić nam w trudach.

Znowu nam do drzwi pukasz
witany wciąż pełnią wrzuseń,
a śniegiem na dworze prószy
i ziemia mrozem skuta.

A w domu — też zimowo
choinka, gwiazdka i świeczki
wokół niej tańczące dzieci,
i dziadzio ze śnieżną głową.

Jest tej nocy coś z baśni
co się co rok powtarza,
dalszy czas kalendarza
święteczny, bardziej własny.

Ufni, że nam dom chronisz
prosimy dziś gość się z nami,
jest miód, pieczeń, chleb ze
skwarkami
a dziadzio zagra na harmonii.



Józef Hülka, Szopka, Łękawica, woj. bielskie

Nagrody artystyczne ministrów za rok 1987

Cykl produkcyjny naszego kwartalnika (pominawszy cykl przygotowawczy) trwa trzy do czterech miesięcy. Każda więc wiadomość zamieszczona na łamach „TL” jest mocno spóźniona. Są wszakże informacje, które nie tracą swej aktualności co najmniej przez rok. Do takich należy m.in. odnotowanie nagród artystycznych. Z prawdziwą przyjemnością donosimy zatem, że wśród laureatów nagród artystycznych przyznanych przez ministra kultury i sztuki, Aleksandra Krawczuka z okazji Święta Odrodzenia, znaleźli się także i twórcy ludowi.

Nagrodę I stopnia — za osiągnięcia w realizacji pomników Jana Pocka i Mikołaja Kopernika oraz rzeźb historycznych i obyczajowych otrzymał Jarosław Furgała zamieszkały w Polwicy, woj. wrocławskie. Nagrody II stopnia otrzymali: Józefa Chaładaj, zam. w Sieradzu — za osiągnięcia artystyczne w zakresie wycinanek, tkactwa i haftu ludowego oraz Jerzy Lipka zam. w Gogolinie, woj. opolskie — za osiągnięcia artystyczne w dziedzinie kroszonkarstwa, plastyki obrzędowej i upowszechniania gwary Śląska Opolskiego.

Podobnie minister do spraw młodzieży, Aleksander Kwaśniewski przyznał nagrody i stypendia Nagrody Artystycznej Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego. W dziedzinie sztuki ludowej nagrody II stopnia otrzymali: Tadeusz Kacalak zam. w Kutnie — za dotychczasową twórczość w dziedzinie rzeźby ludowej oraz Barbara Walczak-Baniecka-Dziadzio, zam. w Zakopanem — za dotychczasową twórczość w dziedzinie malarstwa na szkle. Natomiast Mieczysław Gaja, zam. w Łukowie, woj. siedleckie, otrzymał stypendium — za dotychczasową twórczość w dziedzinie rzeźby ludowej.

Serdecznie gratulujemy laureatom. Tak się złożyło, że w 2-gim numerze z br. zamieściliśmy reportaż o Jarosławie Furgale, w tym natomiast piszemy o Tadeuszu Kacalaku w materiale o kutnowskim ośrodku rzeźbiarskim. Możemy za-

tem pogratulować sobie (albo autorom) zgodności osądu z fundatorami nagród. O pozostałych laureatach postaramy się napisać w kolejnych numerach „TL”.

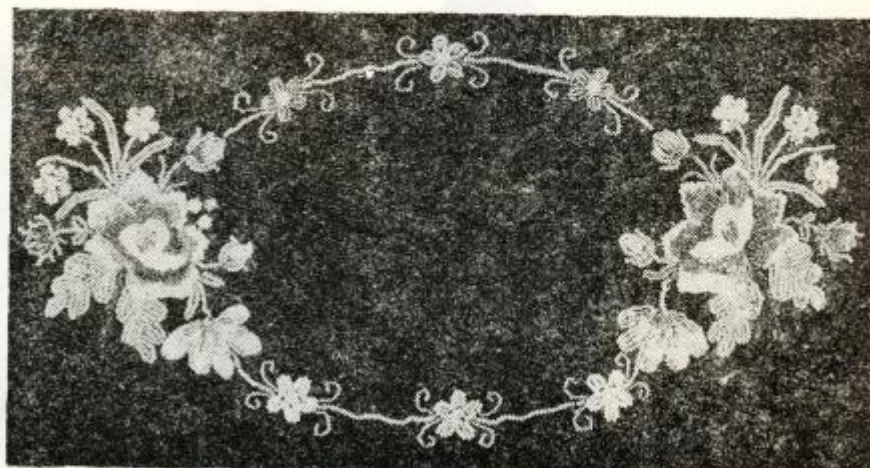
Przed dziewiętnastu laty, w chwili narodzin Stowarzyszenia Twórców Ludowych, nie do pomyślenia było ustawienie w jednym szeregu znanych nazwisk pisarzy, malarzy, twórców filmowych, aktorów, reżyserów — z twórcami ludowymi. Dziś staje się to nie tylko faktem ale i nabiera charakteru zwyczajnej praktyki. Należy schylić głowę przed mądrością decyzji ministrów Aleksandra Krawczuka i Aleksandra Kwaśniewskiego oraz zespołów, które kandydatury opiniowały. Ale te decyzje mają i głębszy sens; są wyrazem świadomej polityki kulturalnej państwa, które nie tylko z nazwy ale w coraz większych porządkach staje się rzeczywistością ludową. A także pewnej poszerzającej się samoświadomości społeczeństwa i jej elity w dziedzinie kultury uznającej za fakt oczywisty, że twórczość niosąca głębokie wartości może się rodzić wszędzie a także wywodzić z różnych tradycji. Myślę, że w przyszłości będziemy

mieli do czynienia z coraz większą powszechnością tworzenia, wyrażania swojej osobowości przez sztukę, przez tworzywo artystyczne. I jest to myśl krzepiąca. Wszakże kulturę narodu mierzy się nie tylko przez elitarne, wysublimowane szczyty ale i jej powszechność, różnorodność. Zresztą jest to obwód zamknięty, jeden element warunkuje drugi.

Godzi się zauważyć jeszcze jeden sygnał. O ile mnie pamięć nie zawodzi, w roku bieżącym zdarzył się po raz pierwszy fakt przyznania nagrody I stopnia ministra kultury i sztuki w dziedzinie upowszechnienia — za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury ludowej i folkloru. Otrzymał je zespół z Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie — organizatorzy Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w składzie: Edward Chanał, Krystyna Chruszczewska, Stanisław Grodzki, Janusz Rybiński, Elżbieta Sendejewicz, Zdzisław Toczyński i Helena Weremczuk.

Wychodzi na to, że kultura ludowa oraz inspirowana przez nią współczesna twórczość ludowa wychodzi ze swych mateczników na coraz bardziej widoczne miejsce. Spojrzenia z dołu i z góry spotykają się wreszcie w jednym punkcie. I jest to... optymistyczny punkt widzenia.

STAW



Helena Gruszczyńska, Łowicki haft koralikowy, Łowicz, woj. skierniewickie

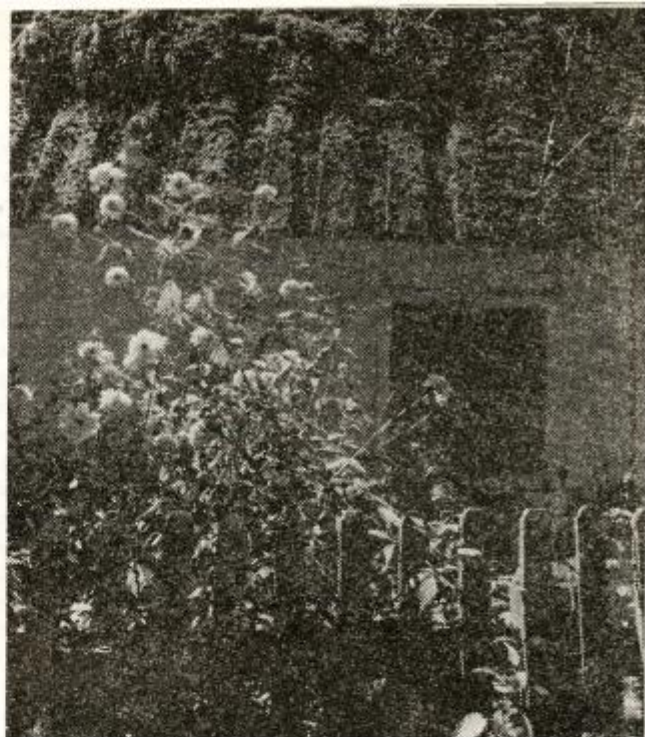
Fot. Piotr Maciuk

RYSZARD KRÓLIKOWSKI

Tradycje architektury ludowej a współczesne budownictwo wiejskie

Temat ten frapował mnie od szeregu lat, kiedy to zajmowałem się zawodowo ochroną i zachowaniem dla przyszłości ginących wartości kultury ludowej Lubelszczyzny. W tym okresie poddawany byłem ciągłym stanom frustracji na skutek niemożności ochrony od dewastacji tego czy innego obiektu architektury ludowej, podczas gdy realizm czasów, w jakich żyjemy, wskazywał na nieuchronne odejście z pejzażu wsi całej, tradycyjnej architektury drewnianej. Te dwa stany w sumie rodzą konflikt w naszych postawach i uczuciach, wywołują nostalgię za uchodzącym z otoczenia „dawnym”. Zadajemy sobie pytania czy tak być musi? Jakie elementy tradycyjnej kultury można zachować? Zaproszony przez Redakcję „Twórczości Ludowej” do wypowiedzi na przytoczony w tytule temat pragnę podzielić się kilkoma refleksjami.

Współczesna kultura wsi niewątpliwie wyrosła z kultury ludowej. Zachowała w sobie wiele elementów tradycyjnych, jednakże wzbogaciła się o nowe wartości rozwijające się pod wpływem kultury ogólnonarodowej. Współczesne elementy kultury wsi kształtują się nadal na podłożu przyrodniczym, są wszakże warunkowane zakresem produkcji zależnej od cywilizacyjnego rozwoju kraju, a szczególności od środków technicznych, dostępu do źródeł informacji. W tym procesie załamują się, bądź zostają przez społeczność eliminowane tradycyjne wartości kulturowe: ziemia jako najwyższa wartość ustąpiła miejsca zyskowności, utraciły znaczenie autorytety lokalne, porwano dawne, silne więzi lokalne i sąsiedzkie, dawną kulturę materialną wyrosła na doświadczeniach pokoleń „wzbożacono” produktami przemysłowymi, a budownictwo podporządkowano trendom nie wyrastającym z kulturowego krajobrazu wsi; uzależniono je od tendencji technicznych. W sumie niektóre społeczności wykazują zupełny brak zainteresowania własnym dorobkiem kulturalnym. Jednakże w tym nowym obrazie kulturowym wsi trwają jeszcze niektóre zespoły wartości kultury ludowej. Ten



Fot. Jan Magierski

BOLESŁAW MAJCHER

Zawalidroga

Obok synowskiego
piętrowego murowańca
przykucnęła
pod równie starą gruszą
chata ojcowska
z omszałą strzechą
A w niej
zabarykadowany
przed nowoczesnością
staruszek
ojciec
Jego świat
już odszedł
a on czuje się
jak zapomniane
wczoraj
nieprzydatny
na dzisiaj
Został
jak zawalidroga
ze swoją chatą
w której się urodził
i jest w niej
już prawie cały
we wspomnieniach
Ale kto zrozumie
że oddzielony
od tego
co przeżył i ukochał
nie mógłby istnieć
A serce w nim
bije czuje
i wyrzywa się
by dołączyć
tam
gdzie poszło wczoraj

fakt wymaga bardziej kompetentnej polityki społecznej, która by wprowadzała w obieg życia społecznego żywe jeszcze elementy kultury ludowej. W tym aspekcie pragnę zwrócić uwagę na architekturę, na budownictwo osadzone w kulturowym obrazie wsi.

Budownictwo chłopskie w swym całokształcie nie powstawało całkowicie samodzielnie. W okresie feudalizmu zależne było od dziedziców, oni decydowali o formie i zabudowie wsi, dostarczając bowiem podstawowe budulca wpływali na wielkość i konstrukcję budynków poprzez przestrzeganie reguły: jedna izba, jeden piec, jedna rodzina. W tych warunkach architektura chłopska stała na dość niskim poziomie. Pewien rozwój budownictwa ludowego zaznacza się pod koniec XVIII wieku, kiedy to dziedzice ograniczali swoją ingerencję do wydawania z lasów drzewa potrzebnego na wybudowanie chałupy lub budynku gospodarczego, pozostawiając troskę wzniesienia budowli chłopom. W tym czasie wieś zaczęła czerpać wzory z budownictwa dworskiego i bogaciła swój własny dorobek, który rozwinął się pełniej w drugiej połowie wieku XIX. Począwszy od XIX wieku w budownictwo chłopskie zaczęły ingerować władze administracyjne. Za pośrednictwem zarządzeń wpłymano na doskonalenie konstrukcji budynków i urządzeń ogniowych. Istotne dla kulturowego obrazu wsi i zasad budowlanych było wydane w dniu 13 października 1860 roku zarządzenie Gubernatora Lubelskiego w sprawie „Stawiania budowli włościńskich, obsadzania ich drzewami i zakładania ogrodów owocowych”. Zarządzenie to powiązane zostało z prowadzonym w tym czasie procesem regulacji wsi tzw. „urządzeniami wsi”, zakładaniem nowych osad (kolonii). Wpływało ono także na uporządkowanie układów przestrzennych, jak i na wprowadzanie roślinności do zagród oraz racjonalne rozmieszczenie poszczególnych budynków. Niewątpliwie zarządzenie to działało dodatnio na kształtowanie kulturowego krajobrazu wsi, który przetrwał tu i ówdzie do naszych czasów.

Uwłaszczenie w 1864 roku uwolniło chłopów od zależności ekonomicznej i poddańczej, dało samodzielność w gospodarowaniu na własnej ziemi, jednakże automatycznie nie przyczyniło się do rozwoju budownictwa chłopskiego. Stan ekonomiczny wsi na to nie pozwalał. Dopiero wraz z rozwojem produkcji rolnej, odejściem od starego systemu uprawy roli zmienia się stan zabudowy wsi. Wielotowarowość gospodarstw rolnych przyczyniła się do budowy, szczególnie przez bogatych chłopów, większej ilości budynków gospodarczych. Pod koniec XIX wieku zmienia się chałupa z jednoizbowej w wieloizbową. Wzrastają potrzeby dyktowane koniecznością udoskonalenia konstrukcji budynków, a tym samym zwiększenia ich kubatury, udoskonaleniu ulegają urządzenia ogniowe. W tym czasie pojawia się zdobnictwo architektoniczne: ozdabia się szczyty dachów, upowszechniają się dachy naczółkowe, przed wejściami ustawiane są ganki, powstaje zdobnictwo okien, drzwi szalowanych itp. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że warunki ekonomiczne zmuszały ludność do sięgania po materiał budowlany pochodzący z najbliższego otoczenia przyrodniczego, a więc po drzewo, kamień, glinę, słomę i inne.

Chałupy i ich wnętrza dostosowano do aktualnych potrzeb rodzin. Tradycja, jak i zakres potrzeb, uwarunkowane stanem ekonomicznym, doprowadziły do niezbędnego minimum i nieodzownego standardu. Ilość pomieszczeń uzależniona została od zamożności oraz potrzeb bytowych i im podporządkowano urządzenia oraz wyposażenia wnętrza. Zbliżony do siebie standard (wzo-

rzec) występujący w jednej wsi i wsiach sąsiednich powodował powstawanie ujednoczonych wzorów. W sumie zjawiska te doprowadziły do regionalnych odrębności występujących w budownictwie chłopskim na Lubelszczyźnie.

Pierwsze lata po I wojnie światowej cechowały się dużym wysiłkiem włożonym w odbudowę zniszczonych zabudowań. W tymże czasie nastąpił wzrost zamożności nielicznych grup ludności wiejskiej, która wzbogaciła się na skutek wzrostu cen produktów spożywczych. Stworzyło to szansę powiększenia gospodarstw rolnych poprzez kupno gruntów z parcelacji rolnej a także podjęcie działań budowlanych. Powstają wówczas wśród bogatych gospodarzy tendencje do budowy okazałych domów wieloizbowych, naśladowujących wzory miejskie, a nieraz dwory. Niekiedy są to budynki piętrowe. Tutaj po raz pierwszy na wsi Lubelskiej aspiracje wzięły górę nad faktycznymi potrzebami i kulturą mieszkaniową. Jednakowoż budynki te nie rozbiły kulturowego krajobrazu wsi, można powiedzieć, że wrastały w tenże krajobraz. Podczas odbudowy wsi powstawały nowe formy architektoniczne (choćby dachy dwuspadowe, upowszechnia się konstrukcja ryglowa), pojawiają się nowe materiały budowlane — jak pustaki, beton, dachówka cementowa, blacha i inne.

Wraz z odbudową po zniszczeniach wojennych budownictwo wiejskie staje się przedmiotem zainteresowań środowisk technicznych, a w szczególności kół architektów. Dążono do zachowania tradycyjnych elementów architektury ludowej przy odbudowie wsi ze zniszczeń wojennych. Okręgowy Urząd Ziemiański w Lublinie rozpiął konkurs na projekt wzorcowego domu mieszkalnego i zagrody. Powstały propozycje budowlane uwzględniające cechy architektury ludowej dla poszczególnych powiatów. Jednakże warunki ekonomiczne ludności wiejskiej, gospodarującej na rozdrobnionych gospodarstwach rolnych, uniemożliwiły powszechne zastosowanie w budownictwie nowych tendencji architektonicznych. W swojej masie pozostało drewniano-słomiane, o ubogich warunkach sanitarnych.

Druga wojna światowa przyniosła olbrzymie zniszczenia zagród i całych wsi. Odbudowa oraz nowe tendencje w polityce rolnej, a szczególnie reforma rolna, wpłynęły na kształtowanie się osadnictwa, częściowo o charakterze rozproszonym i na dalsze losy budownictwa. Na przestrzeni lat powstało wiele niespójnych ze sobą trendów polityki budowlanej na wsi: od budowy nowych osiedli PGR-owskich i spółdzielczych, wznoszenia ośrodków usługowych, pawilonów handlowych i innych, aż do pozostawienia na uboczu indywidualnego budownictwa chłopskiego.

Nie wnikając w szczegółową analizę rozwoju budownictwa na wsi lubelskiej w okresie ostatnich czterdziestu lat pragnę zatrzymać się na jego stanie obecnym. W wydaniu jubileuszowym Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego podano, że liczba mieszkań na wsi w latach 1950—1983 wzrosła o 16,8 tys., a izb o 177,7 tys. Zmalała automatycznie liczba osób przypadających na jedną izbę z 2,51 do 1,23. Opisując te dane autorzy wydania zaznaczyli: „Większa i bardziej odczuwalna poprawa sytuacji mieszkaniowej na wsi niż w mieście wynikała z odpływu emigracyjnego ludności wiejskiej do miast”. W podrozdziale „Budownictwo mieszkaniowe” podkreślono, że „na wsi wysokie tempo wzrostu, osiągnięte w pierwszych latach powojennych, związane było z koniecznością likwidacji zniszczeń wo-

jennych; w ostatnich latach obserwuje się tendencję do stabilizacji tego budownictwa z niewielkimi tylko wahaniami w poszczególnych latach". Dalej autorzy stwierdzają, że w budownictwie na wsi „występuje poważne zapotrzebowanie na materiały budowlane, zwłaszcza u ludzi młodych, obejmujących gospodarstwa rolne”. Jak wynika z przytoczonych tutaj stwierdzeń i jak wskazuje praktyka, problem budownictwa na wsi lubelskiej nie został rozwiązany, a znajduje się w stanie realizacji, którą możemy określić jako przebudowę — modernizację. Ten fakt, wobec wagi problemu, upoważnia do poczynienia kilku uwag.

Nawiązując do przytoczonych na wstępie charakterystycznych cech współczesnej kultury wsi należy dodać, że począwszy od 1956 roku zmieniła się struktura społeczna ludności zamieszkałej na wsi; powstała znaczna grupa ludzi o dwu zawodach, wzrósł — mówiąc ogólnie — poziom życia. Jednym słowem uległy zmianom potrzeby kulturalne i bytowe, w swojej większości kształtowane na wzorcach miejskich, co z kolei wywołało dążność do przekształcenia lub zaniechania dotychczasowych wzorców życia a szczególnie warunków mieszkaniowych. Wystąpiła społeczna fascynacja modelem życia w mieście i wszystkim tym, co jest z miastem związane. Wobec wzbudzonych potrzeb i aspiracji polityka społeczna, a także budowlana, zajęła stanowisko wyczekujące, lub wręcz obojętne. Nie pojawiły się spójne koncepcje architektoniczne domu i budynków gospodarczych. Mówiąc o koncepcjach mam na myśli projekty budowlane uwzględniające specyfikę gospodarstwa rolnego, funkcjonalność budynków i ich wyposażenie techniczne, a jednocześnie nawiązujące do architektury ludowej. Rozsądne koncepcje i inspiracje były potrzebne, tym bardziej, że wzbudzone dążenia budowlane nie miały cech ukształtowanych, nie sięgały do sprawdzonych wzorów wytworzonych przez tradycję, a w swojej masie nawiązywały do modnych, chociaż obcych naturze wsi, wzorów płynących z miast. Poprzez wieki w budownictwo chłopskie ingerowało wiele czynników zewnętrznych formułujących programy użytkowe, jak i rozwiązania konstrukcyjne. Do tej ingerencji społeczność wiejska była przyzwyczajona i w mniejszym czy większym stopniu zalecenia i przekazywane sugestie wcielala w życie. Brak tychże koncepcji i całkowite zerwanie z tradycją budowlaną wywołał konflikt w krajobrazie wsi, doprowadzając niejednokrotnie do jego degradacji.

W latach siedemdziesiątych pojawiły się projekty typowe budynków mieszkalnych i gospodarczych podporządkowane elementom produkowanym masowo, jak chociażby elementy stropowe, stolarka okienna i drzwiowa. Projekty te wniosły istotne zmiany w sposobach budowania i w formach budynków. „Przemysłowa” architektura przeniósł aktualnie realizowane formy budowlane w całym kraju na wieś i pozbawiła ją cech indywidualnych. Wznosi się więc piętrowe, wieloizbowe kamienice o prostej bryle, z dachami płaskimi i gładkimi elewacjami. Tu i ówdzie na poziomie parteru lub piętra powstają loggie. Podobnie na wyrost buduje się stodoły, koniecznie o dwu klepiskach i budynki inwentarskie o znacznych wymiarach, zależnych od koniunktury gospodarczej, słabo wyposażone w urządzenia techniczne. W sumie powstaje gigantomania w budownictwie chłopskim. Jak się wydaje, pod względem eko-

TADEUSZ MICHALSKI

Rysunek chaty rodzinnej

Chato okolona balami
z sosny zawierzenia
na słowo wapna
kryta słomą
w cztery strony świata
ze świecą komina białego
z małymi oknami
doglądającymi wieś
w drzwiach niska futryna
witalna
i wysoki próg
z podkową o tysiącach szczęść
Ten świat ochronił kółkowy płot
pewny swej koślawości
którego przerastały mały
wiarą swą równające strzesze
Chato z izbą i komorą
pachnąca wapnem i słomą
obok komina z koroną kapy
i zapiekiem dobrodziejem
wszechczasów
królestwo drewnianych misek
łyżek i solniczki świętej
U góry powała drewniana
w majestacie pajaków ze słomy
na ścianach wzniesione ku niebu
obrazy wszystkich świętych
i krucyfiks Pana Boga
u futryny gliniana kropielniczka
z wszechmogącą wodą świętą
pośrodku ława do jedzenia stawy
rodzinę wiążąca wspólną miską
i modlitwą przedposiłkową
pod nogami z gliny klepisko
dziś jawi się mirażem wspomnienia
wszyscy uciekli w świat
chata zgarbiała dożywa wycugu
w pólunach i jaskółczym ziele
odprawia modły pokutne
za niespełnioną wiarę
chowając za progiem
relikwie rodzinne



● CIĄG DALSZY NA STR. 14

Fot. Jan Magierski

Sichów Mały, dziś wcale nie-mały; zamożność owocuje pod foliami czerwieni pomidorów. Na łagodnym zboczu spadającym ku dolinie rzeki szklarnie — namioty jedne obok drugich. Gospodyni, której szukamy już przy powitaniu skarży się na chrypę, bo lyknęła piwa z lodówki, tej samej, o której potem usłyszę, że w Dzień Zaduszny „coś się spod niej pokazało”. Bo taki jest Sichów — między tym nowoczesnym warzywnictwem a Starym Lasem. Otaczając szczelnie przez wiele dziesiątków lat wieś bez bitej drogi — ten las spowodował, że wyobraźnia, wrażliwość, podania, wierzenia, język przodków — nie uległy tak szybkiemu, jak gdzieś indziej zniszczeniu. I pewnie, że dziś wieś żyje jak wieś — zmartwieniem, że deszcze na żniwa, a chleba do sklepu nie dowieźli, ale w pokładach świadomości mieszka tu jeszcze dawność. Dawność tak urokliwa, że można się nią zachwycać jak każdym innym dziełem sztuki. Pierwszym odkryciem pani Anny było zauważenie mnogości i wdzięku tutejszych diabłów leśnych — Srali, straszących na skrzyżowaniach dróg i na moczarach.

— „U nas w Sichowie to były łoki bagniste i so. Rośnie las, nazywa się Wosos. I w tem Wososie okazywały się Srale. A drugi las nazywa się Zarośle. I tyz sie Srale okazywały. Od Sichowa, jak sie idzie do Kłody, jes dół i tyz sie Srale okazywały. I sed Wojtek do swoka. Sed nazod, nadsed nad Wosos, zrobiło mu się ciemno, pobodził, wloz w bagno. Morcin jechał furo, słysał semer, ksyk. Sta-noł.

— Toś ty, Wojtek? Jakżeś tu wloz? Usmarowanyś w błecie...

— A nadesedem nad Wosos, zrobiło mi się ciemno, Srala mnie tu wciognol.

Srala wyskakuje i śmieje się, wyskakuje i śmieje się, wyskakuje i śmieje się...

Morcin wziol Wojtka na fure, zawioz do chałupy”.

Opowiadania o Sralach przytaczane z pamięci przez kobiety z Sichowa to był pierwszy program, pierwszy pokaz autentycznego folkloru, jakby pierwsze znalezisko pod płytką warstwą teraźniejszości. Program był prezentowany również poza Sichowem; wszak rolę archeologa jest nie tylko dokopywać się

MARIA BRZEZIŃSKA

„Wydlubane“

spod strzechy

„Jeszcze tak nie mi się nie podobało” — mówi Anna Zmijewska o swojej pięcioletniej pracy folklorysty z powołania we wsi Sichów Mały. Opuszczając posadę pracownika kultury w wojewódzkim Tarnobrzegu przyjęła dobrowolnie nauczycielską robotę w sichowskiej szkole rolniczej, pokój dwa na trzy kroki na terenie internatu, odległość do kina i teatru, długie wieczory, długie deszcze, samotność. Z wykształcenia archeolog, z natury artystka (błyski w oku, luźne włosy na wietrze) musiała sobie znaleźć własny świat, nawiązać głębokie, nie powierzchowne, więzi z ludźmi w tych warunkach, jakie były. I tym światem, tym celem, nieoczekiwanie dla niej samej stało się chodzenie ścieżkami ludowej wyobraźni.

Sichów dzieli się na Duży i Mały. Duży to ten przylegający do dawnych zabudowań i parku Radziwiłłów. Mieszkali tu „dworscy”, często wywożeni do innych wsi, i tu magister Zmijewska nie dokopała się warstw autentycznego folkloru. Prawdziwym „wykopaliskiem” stał się Sichów Mały, oddalony o jakieś trzy kilometry, rozłożony wzdłuż drogi aż po granicę mieszanego lasu tchnącego z daleka urokiem i wilgocią.

do pokładów kultury ale pokazywać jej mistrzowskie świadectwa oczom innych ludzi.

Drugą warstwą odkrytą, a początkowo tylko przeczuwaną przez mgr Zmijewską była stara, piękna pieśń ludowa. Jej skarbnicą okazała się 94-letnia dziś gospodyni z Sichowa — matka Stanisławy Boryckiej. Chyba pierwsza w życiu poważniejsza choroba dotknęła ją parę miesięcy temu; chociaż w głowie się kręci, czemu nie może się nadziwić, „przecie jeszcze pamięta i zaśpiewa stare pieśni weselne”:

*A siadaju, wyjezdżaju, wozy trajkoco,
A siadajze, moja Kasiu, bo cie zaboco.
Siadaj na wóz, warkoc załóž, z sobo wionek bierz,
zebyś potem nie plakała, na mamusie nie wołala
Bez cało wieś.*

Pierwszy przyjazd i występ na

festiwalu w Kazimierzu kobiet z Sichowa Małego był rewelacją. Małomównie, ubrane w czerń tak daleką od kolorowej pseudoludowości, śpiewające i na co dzień mówiące gwarą.

*Plele, plele, plele syrokie,
któz cie bedzie plele terał
Jak ja bede maserował,
Plele, plele, plele syrokie...*

Do ostatniej chwili przed występem pani Ania jest ze swoimi. Poprawia chustki, dodaje ducha. Potem biegnie, zawsze biegnie, przed estradę popatrzeć na występ, trzymać kciuki. To nie jest zwykła opiekunka zespołu „z ramienia” domu kultury; to prawdziwy reżyser współtworzący i współodpowiedzialny za kształt artystycznego widowiska.

Odnajdywanie cennych przekazów ludowych, to jedna część pasji pani Anny, część druga — to pasja reżyserska. I chociaż sama

mówi, że to, co zauważa na wsi, na przykład zabawy dziecięce przy pasieniu krów — to „gotowy” materiał artystyczny, przecież trzeba do tej gotowości wiele dodać, aby zaistniały jako widowisko sceniczne.

Oczywiście nie chodzi o dodanie czegoś obcego dawnej materii, tu pani Anna ma „słuch” absolutny, ale o skomponowanie całości z autentycznych fragmentów, wzbogacenie minimalną, ale też wyłącznie wiejską scenografią (łańcuch krowy, płachta na trawę, siano — w zabawach dziecięcych, warkocze ze słomy do suszenia serów, drewniana maselnica, zydle w widowisku o czarach rzucanych na krowy i mleko). Zasluga pani Anny było sceniczne ubranie dziewcząt z technikum rolniczego nie tak jak chodzą na dyskotekę czy nawet do szkoły, z długim kolczykiem, przykrótkimi spodniami, ale tak, jak w swojej wsi idą do pracy w pole — boso, w płóciennych sukienkach i fartuchach w białe kwiatki, z młodzieńczej radości nakładając na włosy wieniec ze słomy, złocistą, choć kłującą bransoletę... To był świetny pomysł podziwiany w tym (1987) roku na festiwalu w Kazimierzu, ale zasługa pomysłu jest mniejsza od zasługi pracy. A proszę sobie wyobrazić, ile trzeba pedagogicznego entuzjazmu, wytrwałości, a nawet... przebiegłości, żeby namówić nastolatkę, by publicznie zaśpiewała pieśń swojej babki. Uśmiecham się słuchając wspomnienia pani Anny, jak to przyszła do pokoju w internacie i powiedziała — „dziewczynki, pośpiewajcie trochę ale krótko, żebyście się nie zmęczyły...”

Wydawało się, że pieśni, gawędy o diablach, pasterskie zabawy dzieci, opowieści kobiet troszczących się o krowę — żywicielkę — występy uhonorowane na przeglądach i festiwalach, że to już bardzo dużo odkryć z jednej wsi. Ale pani Anna zafascynowana chłopką duszą musiała dojść aż do granicy, gdzie ta dusza spotyka się z innymi. W Dniu Zadusznym palono dla niej, dla nich, świecę w domu, zostawiano jądło, wyczekiwano ich zjawienia. Nie tylko tych dusz rodzinnych, najbliższych ale i tych krwawo straconych w galicyjskim powstaniu Szeli i tych, tak licznych dusz ludzkich całe życie krzywdzonych przez biedę. Żyją w ludziach wspomnienia, pieśni żalne, zaklęcia, przysłowia. Przez dwa lata zapisy-

wała je nauczycielka z Sichowa, by powstał scenariusz monodramu — „Rozmowa człowieka z duso”. Jego sceniczną wykonawczynią została obdarzona pięknym głosem, muzykalnością i nieskażoną gwarą — 60-letnia, „nieucona”, babcia wnukom — Stanisława Borycka.

Chyba po raz pierwszy z całą świadomością zdecydowała magister Zmijewska, że będzie to występ nie na imprezie folklorystycznej. Nie przegląd zespołów, nie festiwal kapel tylko ogólnopolski konkurs recytatorski, zdominowany przez młodzież szkolną i polszczyznę literacką. Pani Anna zaryzykowała: na równych prawach — Iwaszkiewicz, Parandowski, Jasnorzewska i Sichów Mały. I Sichów nie przegrał. W kategorii monodramów „Rozmowę człowieka z duso” zakwalifikowano w Częstochowie do finału konkursu (październik 87) w Zgorzelcu. Pani Borycka jeszcze pamięta jak jej serce „dygało”, a pani Anna — radość z nagrody, która potwierdziła słusność jej myślenia, że „folklor jest czymś świeżym, i że można zrobić monodram oparty na folklorze”. W przyszłym roku zamierza podjąć jeszcze większe ryzyko i przygotować pieśń ludową z młodą dziewczyną, aby ta zaprezentowała ją konkurencyjnie pośród rówieśników brzdąkających melancholijnie w gitary na turnieju poezji śpiewanej.

Te lata pracy, te wędrówki, te powroty nocą, gdy niespodzianie obstepują psy, te rozmowy, próby, wspólne wyjazdy stworzyły więź między ludźmi ze wsi a panią Anną Zmijewską. Dzięki niej oni jakby na nowo odnaleźli siebie, zobaczyli trochę świata poza lasem, poza Staszowem i Połańcem. Dzięki nim ona poszerzyła swoje myślenie o świecie, o przyrodzie, o ludziach.

— Poznałam inny świat, inną świadomość, która zaginęła i czasem sobie myślę, że bardzo to jest przykre, że te wszystkie wartości, które w naszej kulturze istniały, że one zostały po prostu nie wiadomo dlaczego zniszczone, zapomniane, wartości moralne, wzorce postępowania. Np. szacunek do pracy. Teraz ludzie pracują cały dzień i wokół tej pracy nie tworzą niczego, a kiedyś wokół pracy bardzo dużo rzeczy powstawało. Ot, choćby taki drobiazg. W Sichowie zanotowałam cztery „wezwania” do świętych, żeby się masło „zgrezdiło”.

„O święta Doro, dajże masła sporo”.
„O święty Klemesie dajże masła w momencie”.
„O święty Izdoze, dajże masła w pełnym goze”.
„I wy, wszyscy święci — niechże się masło sklyci”.

Pozostawiając nieco na uboczu realność masła i chleba pani Anna odkryła teraz „gwiazdki”. Piękne chłopskie opowiadania o gwiazdach. Jest między innymi takie, które — nie pytając o zgodę pani Anny — odnoszą właśnie do niej: „Ma się te swoje gwiazdecke. Sześciłiwo bądź niesześciłiwo. Kuzdy jo ma. Zyje z nią i z nią znika. I kuzdy ma cos najjaśniejszego świecenia”.

Co będzie potem? Do końca roku szkolnego — wiadomo. Potem, być może, wyjazd z Sichowa. Jest marzenie, aby wszystkie programy, perły i perełki chłopskie utrwalić na taśmie magnetowidowej. Sobie i Sichowskim na pamiątkę, obcy — dla nauki a może pociechy.



Tadeusz Cąkała, *Baba z maselnicą*, rzeźba w drewnie, Sobiska, woj. siedleckie

ANNA ŚLADKOWSKA

Rzeźbiarze z Kutna

„Czy Napoleon był w Kutnie” — pytał przed laty historyk. Pobyt w tym mieście uchodzącego spod Moskwy cesarza miał jakoby usświetnić przeszłość Kuta. Dzisiaj leżące w połowie drogi z Warszawy do Poznania miasto żyje przemysłem, znane są szczególnie wyroby znajdującej się tu fabryki maszyn rolniczych. Czy rozślawia go także rzeźbiarze? W Kutnie bowiem mieszka i tworzy kilkunastu rzeźbiarzy ludowych. Spotkałam się z nimi, rozmawiałam i oglądałam dzieła trzech najbardziej znanych: Kacalaka — prezesa Mazowieckiego Oddziału STL, Kamińskiego i Wojtczaka.

Rzeźbiarze ludowi w mieście? — może ktoś zapytać. Owszem, ale dziś rzeźbiarz ludowy to już nie ów przysłowiowy pastuszek czy stary chłop-dziwak na zapiecku wyczarowujący różne cudenka zwykłym kozikiem. Kim zatem są ci, którzy tak dalece „odstają” już od owego stereotypu?

Bylem fryzjerem w zakładzie „Pod Magistratem” — mówi Kacalak, wspaniały zresztą gawędziarz. — Lubilem rysować, szkicować. Pewnego razu znalazłem kawałek drewna i, brzytwą jeszcze, wyrzeźbiłem babę — plotkarke.

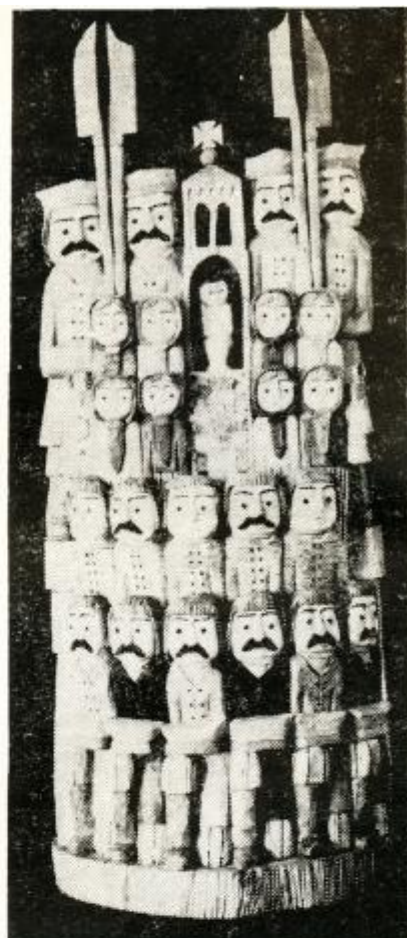
Kamiński zaczął od masek i ptaszków oraz zwierząt wykonywanych z kory i korzeni. Wojtczak za namową żony wyrzeźbił kiedyś wcale udanego aniołka. Przed kilkunastu laty wszyscy trzej, nie znając się przedtem, spotkali się na konkursie rzeźby ludowej w Łęczycy, zaprzyjaźnili się, nawiązali współpracę. Mieszkają w Kutnie, lecz inspirację i soki dla swej nowej pasji czerpią z bogatych tradycji i folkloru starej Ziemi Łęczyckiej. Rzeźbiarstwo stało się dla nich życiowym powołaniem.

Jesteśmy „załubieni” w swej pracy — mówi Kacalak, — wciąga nas ona bez reszty, nią tylko żyjemy. Dla innych — dodaje z uśmiechem — jesteśmy dziwakami, głupkami, wariatami.

Kacalak dla dłuta porzucił zupełnie brzytwę i nożyczki, Kamiński i Wojtczak godzą pracę zawo-

downą z twórczością. Dzieła kutnowskich rzeźbiarzy w swej zasadniczej problematyce są zbieżne z tą którą spotyka się w innych regionach kraju. I tu przeważają motywy sakralne. Kolorowe, malowane wyrazistymi farbami rzeźby i płaskorzeźby naszych twórców przedstawiają cierpiącego Chrystusa, Matkę Boską, świętych, aniołów. Kiedyś rzeźbili także poszukiwane przez kolekcjonerów figurki diabłów, niedaleko stąd rozciąga się przecież władztwo baśniowego Boruty. Dzisiaj tego nie czynią. — Diabłów dość jest na świecie — mówi Kacalak.

Z czasem u rzeźbiarzy z Kutna na plan pierwszy wysunęły się większe kompozycje grupowe. Kacalak i Wojtczak są mistrzami szopki, Kamiński stworzył serię udanych kompozycji obrazujących popularne w tych okolicach legendy oporowskie. W pobliskim Oporowie znajduje się stary zamek i klasztor paulinów. Jedną z rzeźb przedstawia legendę o śpiącym wojsku królowej Jadwigi, gdzie obok tradycyjnych rycerzy widzimy kosynierów — bohaterów spod Racławic i żołnierzy w rogatywkach.



Antoni Kamiński, *Pożegnanie powstańców*, rzeźba w drewnie, Kutno, woj. płockie

Za najwybitniejsze dzieła, jakie wykonali wspólnie, korzystając także z pomocy innych rzeźbiarzy z Kutna, uważają oni sami dwie wielkie kompozycje zrealizowane dla kościoła w Głogowie, będącego miejscowym sanktuarium kultu maryjnego. Są to: „Szopka” oraz „Droga Krzyżowa i droga cierpiącego narodu polskiego”. W szopce, obok tradycyjnych figur i postaci Matki Boskiej, Dzieciątka, św. Józefa, pastuszków, występuje „lud boży” w chłopskich, łączyckich sukmanach, wśród którego widnieją centralnie trzy postacie współczesne: Jana Pawła II, prymasa Wyszyńskiego i Lecha Wałęsy. W drugiej kompozycji otaczającej kościół głogowiecki stacje męki pańskiej zestrzajają się ze scenami cierpiącego pod zaborami narodu polskiego.

Kamiński rzeźbi figurę Matki Boskiej Kutnowskiej. Żyzne tu gleby, a więc Dzieciątko sypie hojnie siewcy do płachty ziarna dorodnej pszenicy. Przedtem wyrzeźbili jednak razem monumentalną postać księdza Jerzego Popiełuszki. Teraz pracują nad figurą błogosławionego Maksymiliana Kolbego. Współ-

czesność ze swą skomplikowaną problematyką, i niektórzy z jej bohaterów weszli więc w świat, który dotąd był wyłącznie światem fraszobliwego Chrystusa i zadumanej Madonny. Charakterystyczną dla kutnowian a obcą raczej innym ludowym rzeźbiarzom: jest także nuta romantyczno-mesjanistyczna, jakże wyraźna w ich zbiorowych kompozycjach.

Nasi rzeźbiarze są przekonani, iż ich dzieła głogowieckie podziwiane powszechnie są trwałą wartością artystyczną. Ale i ich poprzednie rzeźby były także dostrzegane, wielokrotnie nagradzane. Znajdują się w muzeach, galeriach i zbiorach prywatnych kolekcjonerów w kraju i za granicą. Jeden z takich kolekcjonerów z RFN prezentował szopki Kacalaka na wystawie w Bochum.

A w Kutnie? Po odsłonięciu szopki głogowieckiej zainteresował się rzeźbiarzami urząd finansowy, chociaż ich autorzy pracę swą wykonali bezinteresownie. Jak twierdzą, nie dostrzegają ich natomiast ci, którzy zajmują się miejscową kulturą.

— Nigdy nie zorganizowano nam w Kutnie pleneru, w miejscowym muzeum nie ma pieniędzy na etat dla etnografa, nie mamy pracowni — opowiadają.

— Gdy umrę — mówi Kacalak — zabiorę swe rzeźby do grobu, chyba że doczekamy się czasów ekspozycji swych dzieł na miarę Wysp Wielkanocnych.

Nie te jednak, jakże daleko wybiegające nadzieje i oczekiwania, lecz przede wszystkim powołanie artysty każe im nadal pracować i

tworzyć, mimo rozlicznych trudności i kłopotów.

Nie jest obowiązkiem dziennikarza definiowanie i klasyfikowanie opisywanych zjawisk artystycznych. To domena specjalistów: etnografów, historyków i krytyków sztuki. Nasuwa się tu jednak każdemu dość zasadnicze pytanie. Czy przedstawiona kutnowska szkoła rzeźby ludowej lub też — skromniej mówiąc — grupa artystyczna, należy jeszcze do kręgu twórców ludowych sensu stricto, czy jest to już przetwarzający ich wartości i doświadczenia manieryzm, bez wątpienia także interesujący i twórczy.

Jest natomiast faktem, iż Kacalak, Kamiński, Wojtczak i ich koledzy są żywą tkanką współczesnej polskiej sztuki, wciąż żywej, bogatej, wielowarstwowej.

WAWRZYNIEC HUBKA

Dziwny ten świat

Dziwny ten świat, jakże dziwny
i człowiek na nim tak naiwny.
Ludzka to sprawa bywa błędzić
— nikt nie jest alfą i omegą —
lecz trzeba zważyć i rozsądzić
zanim się znajdziesz w pełnym biegu.

A tu dziś inna jest metoda:
słabszemu ręki nikt nie poda.
Wystarczy poszczuć na słabszego,
a już dobiórą się do niego.

Człowiek każdemu przytakuje:
każą mordować, to morduje,
każą się żalić, to się żali,
każą podpalić, to podpali,
każą mu wodę mącić w kadzi —
mąci, bo tak mu drugi radzi,
każą ubliżać, to ubliża,
każą zagryzać, to zagryza,
każą wysadzić świat w powietrze —
wysadzi! zniszczy! na proch zetrze!

A gdzież jest wola, wolna wola,
ludzkie oblicze, ludzka dusza?
Gdy Bóg cię stwarzał w rajskich polach,
jeszcze ci serce w piersi drgało,
a dziś już całkiem skamieniało!
A może prawdę Darwin prawil
o naszych przodkach — pra-pradziadach?
Małpią metrykę nam wystawił
i małpujemy małpy nadal!

SABINA SZYMBOR

To co piękne

Ech, wiatraki... wiatraki...
ptaki czteroskrzydłe
co na mąkę razową
żytnie ziarno męły
a na trzonie — z tej mąki
chleb piekły kobiety —
dziś — te wiatraki pogubiły pióra
czernią się na polach
zmruszałe szkielety —

To — co piękne
co swojskie
z zagród wiejskich ginie
nie usłyszysz już praczki
jak przy cembrowinie
kijanką klaszcząc
zgrzebne płachty prała —

Te krosna —
które tkaly tęczowe pasiaki
— poduchy haftowane
płuchne jak kołaczki
— te sierpy
— te dzieże

czy studnie z żurawiem...
odchodzą bezpowrotnie
nie spotkasz ich prawie

Nie pozwólmy tych odejść
zbyć głuchym milczeniem
niech odnajdą swe miejsce
choćby w skansenie

Kuźnia stoi tuż przy drodze, nieco niżej od jezdni. Z tyłu, na zboczu wzgórza zieleń i domy, z przodu, po przeciwnej stronie ulicy — główne instytucje gminy; bank spółdzielczy, nieco dalej zabytkowa, wyniosła Wieża Ariańska mieszcząca GOK, szkoła, stary dworek z Urzędem Gminy i nowoczesny, przeszklony pawilon handlowy. Wszystko położone malowniczo, jakby na obrzeżach wąwozu czy starorzecza, po którego dnie jeszcze dzisiaj toczy wody niewielki strumyk o dumnej nazwie Bystra. Ale w te pogodne trzy dni sierpniowe centrum Wojciechowa była nie gmina, ani Dom Handlowy, ale kuźnia Romana Czernieca ozdobiona masztami, kolorowymi odwieńców i transparentowym napisem: III Ogólnopolski Konkurs Kowalstwa Ludowego i Artystycznego. Po jej prawej stronie przycupnęła estrada, po lewej — zaimprovizowana wystawa kowalstwa artystycznego, stoły i stoiska kiermaszowe.

Niewielu już kowali pracuje w kraju. W Wojciechowie zachowało się aż dwu. Dwie kuźnie w jednej miejscowości, to jak na nasze czasy — rzadkość. Okazuje się, że tradycja może działać wiele. Do kuźni Romana Czernieca zjeżdżają się rolnicy dla podkucia konia z promienia kilkunastu kilometrów. Wszakże nie tej umiejętności poświęcony był konkurs. Spotkali się tu kowale, którzy obok usług dla

STANISŁAW WEREMCZUK

Kowalskie wesele

rolników uprawiają kowalstwo artystyczne wywodzące się z dawnej tradycji ludowej. Lity metal w sposób szczególny potrafi przemawiać do nas. Ukształtowany artystycznie, prócz piękna ma w sobie jeszcze utajoną siłę, jakby moc wewnętrzną. Toteż popyt na artystyczne wyroby kowalskie jest duży a kowali mało. Stowarzyszenie Twórców Ludowych np. wśród dwu tysięcy członków zrzesza zaledwie czterdziestu dwóch kowali. Do Wojciechowa przyjechało osiemnastu. Byli wśród nich członkowie STL i osoby niezrzeszone, a nawet młodociani uczniowie towarzyszący mistrzom. Kowali byłoby chyba daleko więcej, gdyby nie fatalnie opóźnione żniwa. Wszystkich witał, jak przystało na gospodarza terenu, naczelnik gminy Józef Buda znajdując dla każdego ciepłe słowa.

I tak w słoneczny poranek 21 sierpnia rozpoczęło się wielkie,

przydrożne kucie. Nie przesadziłem — przydrożne, bowiem przed obszerną, nową, murowaną i dobrze wyposażoną kuźnią kowale ustawili przenośne kowadła i paleniska z dmuchawami, tak że wszystko rzeczywiście odbywało się „przy drodze”. Bez żadnych trudności każdy mógł zobaczyć, jak odbywa się proces kształtowania metalu, jak wprawne dłonie mistrzów potrafią „bez trudu” uczynić go plastycznym, ukształtować, ozdobić a potem nadać mu ostateczną formę świecznika, zawiasu czy kraty, która zaczyna już żyć odtąd własnym życiem. I być może dzięki temu była to przedziwna a nawet zdumiewająca impreza. Drogą sunęły raz po raz kombajny, terkotały ciągniki z przyczepami wyładowanymi zbożem, intensywne, pracowite życie biegło niby obok, a jednak nie obok, gdyż kowadła dzwoniły równie wielkim wysiłkiem.



Władysław Gąsienica-Makowski, Zawias kuty w metalu, Zakopane

Było to wszystko bardzo zwyczajne a przez to prawdziwe, a nawet niejako symboliczne; obok siebie, w wysiłku rodziły się — chleb i piękno. „Piękno jest po to, by zachwycało do pracy, praca — by się zmartwychwstało” — mówił w wierszu nasz wielki wieszcz, Cyprian Norwid. Moje wynurzenia można potraktować jako refleksje inteligenta ale reakcje uczestników imprezy, to już inna sprawa, to rzeczywistość.

Otóż przez cały czas trwania konkursu nie było nawet chwili, w której by przy kuźni, wystawie, czy skromnych stoiskach kiermaszowych nie gromadziło się kilkadziesiąt a nawet kilkaset osób. Od dźwiękających „siódmy krzyżyk” po dzieci. Ktoś szedł po chleb do sklepu, przystawał na kwadrans, inny jechał rowerem załatwić sprawę w urzędzie, załatwił, popatrzył na kucie, jechał dalej, jeszcze inny zatrzymał samochód czy ciągnik. Byli i tacy, którzy odłożyli bieżące zajęcia, by się „napatrzeć”. Kuracjusze z odległego o kilka kilometrów Nałęczowa dojeżdżali autokarami, inni robili piesze wycieczki do Wojciechowa. Nawet autobus miejskiej komunikacji z odległego o 25 kilometrów Lublina (tak — powiadają ludzie — gmina nam to załatwiła...) na chwilę tylko zatrzymywał się na ostatnim przystanku, a ponieważ drugi jest w zasięgu wzroku i przy kuźni, tu lokował swoje oczekiwanie na kolejny kurs.

Po południu, a w zasadzie tuż pod wieczór, wyciszało się kucie ale ożywała estrada. Tu już tłum gęstniał. Przez te trzy dni występowało kilka zespołów, m.in. ZPiT „Dąbrowica”, kabarety „Kręt” z Urzędowa i „Czarny salceson” z Krasnegostawu, zespół KGW z Gutanowa. Największe jednak i zrozumiałe zainteresowanie budziły miejscowe zespoły, z samego Wojciechowa, a więc utytułowana m.in. główną nagrodą ogólnopolskiego festiwalu w Kazimierzu, nagrodą im. Kolberga, znana z radia i TV Kapela Wojciechowska, nowo powstała orkiestra dęta OSP oraz zespół folklorystyczny mający duże tradycje i dorobek, kierowany przez Zofię Jośko. To właśnie on z dużą kulturą i smakiem potrafił dostosować swój program do imprezy kowalskiej. Okazało się przy tym, że taka z pozoru zwyczajna praca, jak podkucie konia może być wspaniałym widowiskiem.

Zajęchały więc przed kuźnię od-

świętnie przygotowane wozy w zaprzęgach, zaczęło się podkuwanie urozmaicone występami artystycznymi. Konie ze stoickim spokojem znosiły „dłubanie” w kopytach dwu a nawet jednocześnie trzech kowali. Ale dopiero podkucie konia „dzikiego” wzbudziło prawdziwe emocje. Zadania tego podjął się młody, miejscowy kowal, gospodarz kuźni, Roman Czerniec. Istotnie, koń podniecony tłumem szarpał się w zaprzęgu stając raz po raz „dęba”, aż rolnik uznał za stosowne poskromić go fizycznie, także i dla bezpieczeństwa zebranych. Kowal gestem skarcił gospodarza, chwycił konia za uzdę, klepiąc i głaszcząc zawarł z nim jakąś taką przyjaźń a potem szybkim, zdecydowanym ruchem chwycił konia za nogę, wygiął pod odpowiednim kątem i uwięził w swoich kołanach. Poszły w ruch przygotowane narzędzia, koń bezradnie „wodził” głową po publiczności, jakby u niej szukał ratunku. Jedno kopyto, podobną metodą — drugie i po kwadransie koń jest „obuty”. Komisja sprawdza jakość pracy, publiczność szaleje rzucając „swego” kowala w górę a pozostali kowale z niedowierzaniem kręcą głowami. Ale zanim to się stało zespół zarekomendował „swego” kowala pieśnią, której słowa ułożył miejscowy rolnik Józef Kowalski. Owa pieśń nadała temu fragmentowi imprezy specjalnego, lokalnego kolorytu niezaprogramowanego przez organizatorów. Ale tak się działo zawsze w kulturze ludowej.

Wspomnieliśmy organizatorów a o nich dotąd nie było ani słowa. I nie przez przypadek, bowiem ku ich chwale chciałem pokazać, jak impreza zafunkcjonowała w środowisku. A zafunkcjonowała wspaniale. Teraz więc przejdźmy do spraw ogólniejszych. Organizatorem III Ogólnopolskiego Konkursu Kowalstwa Ludowego i Artystycznego był lubelski Ośrodek Kultury Wsi „Scena Ludowa” (Oddział w Lublinie) oraz ZW ZMW przy współudziale Urzędu Gminy i Gminnego Ośrodka Kultury w Wojciechowie. Kierownik lubelskiego oddziału „Sceny Ludowej” Marta Mazurek, mimo zmęczenia wszechobecna wśród uczestników konkursu i zawsze uśmiechnięta, tak sprecyzowała cel imprezy:

— Główną ideą konkursu jest podtrzymywanie zanikającego już kowalstwa ludowego. Stawiamy sobie za cel ochronę tej dziedziny,

która w środowisku wiejskim ma bardzo dawne i bogate tradycje.

Dodajmy, że poprzedni konkurs odbył się trzy lata temu, także w Wojciechowie. Pierwszy natomiast kilkanaście lat temu, dokładnie we wrześniu 1970 roku, w kuźni Bronisława Pietraka w Gutanowie, także w woj. lubelskim. Organizatorem był Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych, któremu wówczas prezesował właśnie Bronisław Pietrak. On to, zainspirowany przez znanego etnografa, przewodniczącego Rady Naukowej STL, prof. Romana Reinfussa wystąpił z inicjatywą spotkania kowali oddając na ten cel własną kuźnię. Dzięki Romanowi Wójcickowi z „Chłopskiej Drogi” konkurs połączony został z wyjazdową sesją Klubu Polityki Kulturalnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, przez co uzyskano propagandowe zainteresowanie kowalstwem, odsyłałym już wówczas w środowiskach opiniotwórczych — „do lamusa”. Zapytałem Bronisława Pietraka uczestniczącego również i w obecnym konkursie, do którego reaktywowania, jako działacz „Sceny Ludowej” także się przyczynił, o różnice i podobieństwa z pierwszym konkursem.

— W Gutanowie — powiedział — było 32 kowali, 65 dziennikarzy naszych i 4 z NRD, była telewizja. Ale konkurs nic nie stracił na znaczeniu, chociaż odbywa się przy mniejszym zainteresowaniu kowali. Gdyby był koks i liniowe żelazo, kantówka, więcej kowali uprawiałyby kowalstwo artystyczne. Obecnie dostępne jest tylko żelazo zbrojeniowe, twarde a to nie nadaje się do kucia. A co do samego przebiegu konkursu; tu, w Wojciechowie, widać większe zainteresowanie środowiska i władz gminnych niż na pierwszym konkursie.

Władysław Gąsienica - Makowski, znakomity kowal-artysta, znany nie tylko na Podhalu, przyjechał z Zakopanego z synem Andrzejem — kowalem i poetą oraz z zięciem Andrzejem Kowalczykiem. Ze względu na zdrowie sam już nie kuje, na konkursie, obok etnografów pełnił rolę jurora. Oto jak ocenił konkurs:

— Za mało tu młodych, prócz syna i zięcia oraz gospodarza kuźni nie spotkałem młodzieży. Straciliśmy całe lata, nie wolno nam było uczyć. Kto się uparł, musiał płacić duży podatek a i tak uczeń nie nabywał żadnych praw. Czy to

intratny zawód? Można zarobić i do 50 tysięcy miesięcznie ale trzeba się napracować. U nas się nie pracuje osiem godzin, nie ma też wolnych sobót. Ja zresztą nigdy nie patrzyłem na pieniądze, tylko na to, czy się ludziom podoba. A co do konkursu; tu są starzy, doświadczeni kowale, nie ma tu lepszych ani gorszych, tylko jeden robi szybciej a drugi wolniej. Nasze podhalańskie kowalstwo jest bardziej zdobione, tu nieco prostsze. Jako juror nie użyłem ani razu jednego punktu, a punktacja wyniosła od jednego do pięciu. Dla nas kowali nie są jednak najważniejsze nagrody, konkurs to nasze wielkie święto. Tak uważa większość kowali. Cieszy nas, że możemy się spotkać, razem popracować, podpatrzeć coś niecoś jeden od drugiego, porozmawiać, nacieszyć się sobą.

Roman Czerniec, zawsze pełen energii, uśmiechnięty, uczynny występował na konkursie w nietatwej, dwojakiej roli: uczestnika i gospodarza. Koledzy po fachu wyrażali się o nim z dużym uznaniem i sympatią. Ale jak zwykle bywa przy dużych imprezach, kłopotów miał sporo.

— Kłopotów się nie pamięta — powiedział — kryją się pod satysfakcją z tej imprezy. Jestem z niej bardzo zadowolony, dużo mi dała. Zobaczyłem świetnych fachowców. Są jeszcze wspaniali kowale w naszym kraju, ale jest ich coraz mniej...

W namiocie ustawionym nie opodal kuźni dla potrzeb organizacyjnych spotkałem naczelnika gminy, Józefa Budę. W trakcie trwania konkursu urzędował w zasadzie nie w UG, a wśród kowali i publiczności. Zyskał przez to duże uznanie i sympatię kowali. Zapytałem naczelnika o jego opinię o konkursie.

— Trzy lata temu — powiedział — przyjechała do nas „Scena Ludowa” z propozycją przyjęcia kowali z całej Polski. Przyjęliśmy chętnie. Wojciechów po raz pierwszy wówczas zobaczył górali. Dałem 15 tys. na nagrody, teraz 25. Udało się nam utwardzić plac przed kuźnią z pożytkiem dla konkursu ale i dla rolników, którzy korzystają tu z usług przez cały rok. Przedtem utwardziliśmy zatkę przed kuźnią. W przygotowaniach duże zaangażowanie wykazał Roman Czerniec, młody kowal w trzecim pokoleniu. Myślę, że po takim „kuciu” tradycja kowalstwa



Władysław Gąsienica-Makowski

nie zaniknie, przynajmniej w Wojciechowie. A kowalstwo, to usługowe ale i artystyczne jest bardzo wsi potrzebne. Nasza gmina jest wybitnie rolnicza, nie ma tu ani ara odłogów, młodzi przejmują gospodarstwa, nie ma wolnej ziemi. Dowodem jest taki oto fakt: bank nie udzielał w ogóle kredytów na zakup ziemi, bo wolnej nie ma. Pracowitość rolników i tych starszych, i młodych jest wręcz przysłowiowa, toteż gmina produkcyjnie znajduje się w czołówce wojewódzkiej. Sporo się buduje. Ale obok pracy, Wojciechów ma bardzo duże tradycje kulturalne, są one nadal rozwijane. Mamy przecież sławną w skali kraju kapelę, ostatnio powstała strażaka orkiestra dęta, UG z własnych funduszy zakupił jej część instrumentów. Bardzo aktywnie działa zauważany w skali wojewódzkiej zespół KGW z Wojciechowa 1, prowadzony przez Zofię Jońską. W Wojciechowie - Wsi powstał drugi zespół pod kierownictwem Janiny Zięby, działają zespoły KGW w Gaju Starym i Lubkach - Wsi, w Cyganówce. Tak więc impreza kowalka nie przysłała na puste pole. Co z niej zyska Wojciechów? Wzbogaci swoje życie kulturalne, teraz na następny konkurs wszyscy będą już czekać. Zyska także rozgłos, sławę, co szczególnie dla młodych, osiadłych tu, nie jest bez znaczenia.

Potwierdzenie słów naczelnika znalazłem, tuż po rozmowie, wśród

publiczności, kiedy to „podśluchałem” urwane zdanie: „O, nasz Wojciechów idzie w górę!”.

W niedzielne, słoneczne południe 23 sierpnia cały Wojciechów, walnie zasilony przybyszami, wyległ na trasę przed kuźnią, skąd strażaka orkiestra dęta uroczystie prowadziła kowali na pięknie położony, otulony drzewami plac przy Wieży Ariańskiej, mieszczącej GOK. Kowali posadzono na honorowym miejscu oraz indywidualnie, każdego z osobna zaprezentowano publiczności. Rozpoczęły się występy zespołów artystycznych, w trakcie których Marta Mazurek ogłosiła wyniki konkursu. Nagrody wręczał przewodniczący Regionalnej Rady Społeczno-Kulturalnej Wsi Edward Chanaj wspólnie z sekretarzem ZW ZMW w Lublinie Martą Strus. Był to moment wzruszający; każdemu z laureatów orkiestra grała „tusz”, żywo reagowała publiczność, tak że jeden z laureatów, Stefan Jabłoński odczuł potrzebę zwierzania się publiczności słowami: „Zrobiło mi się miękko na sercu, chociaż mam twardą, kowalską duszę...”.

A oto laureaci konkursu: I nagrodę jury złożone z etnografów i kowali przyznało Zbigniewowi Kujawie z, Włodzimierki, woj. wrocławskie, II — Andrzejowi Kowalczykowi z Zakopanego, III — Mieczysławowi Zaniewskiemu z Płońska. Wyróżnienia kolejno otrzymali: Andrzej Gąsienica-Makowski, Roman Czerniec, Stefan Jabłoński, Bronisław Pietrak, Ignacy Lytka, Aleksander Adamczyk, Tadeusz Radomski, Wincenty Chętnik, Franciszek Wiktoś, Krzysztof Solecki, Damazy Chętnik i Józef Majewski.

W kategorii mistrz — uczeń nagrodę otrzymał Stefan Jabłoński ze swym wnukiem Jackiem Paszkowskim ze wsi Szaniec położonej w woj. kieleckim, natomiast nagroda specjalna Ośrodka Kultury Wsi „Scena Ludowa” oraz nagroda tygodnika „Nasza Wieś” — za najlepsze podkucie konia, przypadła Romanowi Czerniecowi z Wojciechowa.

Prócz nagród przyznanych przez jury, regulamin konkursu przewidywał nagrodę kowali. Zdobył ją, drogą głosowania wszystkich uczestników konkursu, Stefan Jabłoński.

III Ogólnopolski Konkurs Kowalstwa Ludowego i Artystycznego przeszedł już do historii. Myślę, że

był przedsięwzięciem udanym i potrzebnym. Również jego lokalizacja okazała się chyba najlepsza z możliwych, mimo kłopotów z zakwaterowaniem (uczestnicy musieli dojeżdżać na noclegi do Natączowa i Bełżyc). Zresztą i to można chyba rozwiązać w przyszłości, jako że były lata, kiedy w Wojciechowie urządzano całe kolonie dla dzieci. Wojciechów zapewnił po prostu naturalny, a nawet niepowtarzalny klimat imprezy osadzonej w tradycjach ludowych. W mieście np., nawet z najlepszymi hotelami, byłaby czymś sztucznym, wyizolowanym. Praktyka pokazała, że mimo mizernej propagandy w prasie, konkurs ściągnął sporą widownię spoza Wojciechowa, o czym świadczyła ulica zapelniona parkującymi samochodami z rejestracją lubelską oraz innych miast i gmin. Wreszcie dla samych bohaterów imprezy — kowali był cennym przeżyciem integrującym, inspiratorskim i poznawczym.

Jest wszakże parę problemów, które dla przyszłości konkursu są chyba nie bez znaczenia. Przede wszystkim przedyskutowania wymaga sama nazwa, gdyż obecna nie jest zgodna z formułą konkursu. Moim zdaniem nazwa powinna brzmieć: Ogólnopolski Konkurs Ludowego Kowalstwa Artystycznego. Obecna przeciwstawia niejako kowalstwo ludowe artystycznemu, sugeruje możliwość odejścia od tradycji, przez co zaciemnia kryteria. Myślę także, że pożytecznym byłoby rozszerzenie kręgu współorganizatorów i dla rangi imprezy, i dla liczby uczestników odpowiadającej nazwie — ogólnopolski. Jak dotychczas „Scena Ludowa”, a praktycznie parę pań o gorących sercach, jest osamotniona w swoich poczynaniach. Ze zdumieniem np. odnotowałem nieobecność w imprezie przedstawiciela Zarządu Krajowego ZMW. Nie dlatego by miał „uświetnić” imprezę, ale by się jej przyjrzeć, skoro ZMW patronuje „Scenie Ludowej”. Skojarzenie np. motorowego zlotu gwiazdzistego czy rajdu młodzieży wiejskiej z konkursem mogłoby przynieść interesujące efekty i w poznawaniu tradycji wsi, i urody kowalstwa oraz jego współczesnej użyteczności także dla młodych, choćby w budownictwie mieszkaniowym. Przy takich rozwiązaniach konkurs należałoby organizować co dwa lata, a nawet co roku, miałby wówczas zwiększoną atrakcyjność. Póki co, cieszymy się jednak tym, co jest.

TADEUSZ MICHALSKI

Przydrożne kuźnie

Kuźnie wiekowe
z dziada pradziada
czynią ostatni pokłon ziemi
grzebiąc kości przyciesi modrzewiowych

Odszedł im młodości zapach
podsycany miechem kowalskiego czynu
kowadlane serce jeszcze dudni
psalm uporu

Przydrożne kuźnie jak wezwanie czasu
resztkami buntu iskier
wykrzesują swe istnienie

WAWRZYNIEC HUBKA

Żeby móc tak

Żeby móc tak wziąć w ręce kamienie,
które w ludzkich zaległy odłogach
— określane potocznie sumieniem —
i ułożyć na krudach przed Bogiem.

Niechby na nie Bóg ręce położył
— przebodzone dla ludzi i świata —
niejeden by z kamieni tych ożył,
widząc w bliźnim nie wroga, lecz brata.

Nie byłoby nędzarzy na ziemi,
krwi niewinnej na placach i brukach.
Ty na pewno byś wszystko odmienił,
ale gdzie Cię, mój Boże, mam szukać?!

ZYGMUNT BUKOWSKI

Wygnanie

Ciężko było opuścić dom
I klony w pąsowych kokardach
Szliśmy ścieżką przez skiby
zorane pod siew niespełnionej nadziei
Rozpaczliwie wołał za nami
Świelik w krużganku
I winogrono uczeplone szczytu
Każdy w tobołku dźwigał rozpacz
I wszystko co ukochał swoim sercem
Topole u drogi wciąż stały na palcach
By jak najdłużej widzieć nas
Ginących w silnym żalu jesiennego poranka

Tradycje architektury ludowej a współczesne budownictwo wiejskie

● DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

nomicznym i użytkowym stanowi ona najgorsze rozwiązanie. A co smutniejsze — deformuje kulturowy krajobraz wsi, ukształtowany poprzez współdziałanie człowieka z przyrodą. Tenże przecież krajobraz jest wytworem kultury człowieka, jego działalności w środowisku naturalnym, stosunkiem do tradycji i do życia we współczesnej kulturze. Może być piękny, mądrze zagospodarowany, ale także jak wykazują obecne doświadczenia, może być świadectwem głupoty ludzkiej szpetoty i dehumanizacji.

Mówiąc o obecnym stanie architektury i krajobrazu zadawać możemy pytania, jakie siły i kto steruje budownictwem wiejskim, estetyką, kształtowaniem krajobrazu? W czasach, kiedy temu zagadnieniu poświęcono wiele konferencji naukowych i gospodarczych, napisano wiele rozpraw, artykułów, w tej sprawie wypowiedzieli się światli ludzie, uczone gremia. Odpowiedź na te pytania znalazłem także w artykule prof. Kazimierza Wejharta „O sytuacji naszej urbanistyki i architektury — dziesięć prawd” (Trybuna Ludu nr 177 z 1—2.08.1987), w którym został z troską przedstawiony zdeformowany krajobraz wiejski i pretensjonalna architektura. Ale podkreślił Profesor i taką prawdę: „Przypomnieć trzeba, że w gminach brak jest fachowców do podejmowania właściwych decyzji przestrzennych; projektantów, którzy gwarantowałyby jaki-taki poziom architektury. Niepokojące! A więc tak ważnym problemem dla kultury narodowej zajmują się ludzie zupełnie nie przygotowani do roli urbanisty i architekta”.

Stan taki stanowi istotny problem, gdyż duża grupa rolników zaczyna krytycznie odnosić się do obecnego budownictwa, które jest drogie, niezbyt funkcjonalne i mało estetyczne. Przekonałem się o tym w trakcie badań nad budownictwem drewnianym. Wyniosłem z nich następujące spostrzeżenia: wielu rolników wniosło poprawki do typowych projektów domów i budynków gospodarczych a zmiany te polegały na przystosowaniu do potrzeb gospodarczych wewnętrznych funkcji budynków. Dokonano wielu poprawek z zakresu konstrukcji, dostosowując ją do lokalnych możliwości pozyskania materiałów budowlanych. Rolnicy doskonałą, na miarę własnych wyobrażeń, elewacje budynków, poprzez wprowadzanie elementów dekoracyjnych, bądź pokrywając ściany (przeważnie loggi) różnymi malowidłami przedstawiającymi zwierzęta, motywy roślinne lub geometryczne. Działalność ta wpływa z zakorzenionych potrzeb zdobniczych, tak bujnie rozwiniętych na przełomie XIX/XX wieku, z dążności do nadania swojemu domostwu cech indywidualnych, wyróżniających go z jednolitej, podobnej do siebie zabudowy mieszkaniowej. Można do tych poczynań odnosić się krytycznie, można

je ośmieszać, ale nikt w kraju, jak dotychczas, nie podjął działań korygujących, wskazujących na estetyczne wzorce, wypływające ze współczesnej kultury ogólnopolskiej.

Mimo panującego powszechnego zafascynowania wiełozłobowymi kamienicami, daje się coraz częściej obserwować wśród rolników krytyczny stosunek do nie wykorzystanych „salonów”, gdyż w piętrowym domu nierzadko zajęta jest przez gospodarzy tylko część pomieszczeń, reszta stoi w praktyce nie zamieszkała i pełni funkcję reprezentacyjną. Wiele osób zdaje sobie sprawę, że przy brakach opału nie ogrzane pomieszczenia ulegają zawilgoceniu i dewastacji, a włożone w budowę ciężko zdobyte pieniądze nie przynoszą spodziewanych efektów. Co prawda tak krytycznie nastawionych rolników jest niewiele, ale ci, którzy zaczynają wątpić w zalety obecnego budownictwa stanowią grupę, która może stać się zaczynem odejścia od gigantomanii.

W oparciu o cytowane dane statystyczne i o zasady obecnej polityki rolnej gwarantującej trwałość gospodarstw indywidualnych można wnosić, iż wzrosło społeczne zapotrzebowanie na nowe domy, budynki gospodarcze i urządzenia techniczne niezbędne w nowoczesnym rolnictwie. W zabudowie wsi należy się liczyć z powstaniem nowych budowli związanych z obsługą rolnictwa i przetwórstwem. Tutaj rodzi się postulat tworzenia modelu wsi i rolnictwa przyszłości. Brak takiego modelu utrudnia zrozumienie tendencji polityki rolnej, a także utrudnia racjonalny rozwój zabudowy przyszłej wsi, kształtowanie zagrody. Zapewne w niedalekiej przyszłości, wobec upowszechnienia się maszyn i urządzeń technicznych niezbędne będą niektóre dotychczasowe budynki w zagrodach np. stodoły. Tendencje modernizacyjne, które tworzyć będą nowy etap w zabudowie mogą doprowadzić do dalszego pogłębiania chaosu w przestrzennych układach ale mogą również przyczynić się do odtworzenia piękna kulturowego krajobrazu wsi.

Rodzi się więc potrzeba wzbudzania przez działaczy społecznych, oświatowych, kulturalnych i twórców ludowych ruchu społecznego na rzecz edukacji społeczeństwa w kierunku podnoszenia świadomości kulturowej, kultury życia codziennego, szacunku dla własnych tradycji i świadomego kształtowania krajobrazu kulturowego w nowych warunkach cywilizacyjnych. Czas pilnie wymaga wypracowania nowych zasad urbanistycznych wsi, uwzględniających aktualne i przyszłe potrzeby rolnictwa. Stąd jak najszybciej muszą odrodzić się naukowe ośrodki urbanistyki i architektury mogące pogodzić zachodzące zmiany modernizacyjne z historycznymi układami wsi. Domagać się przy tym należy od wszystkich zainteresowanych, ażeby charakterystyczne cechy architektury ludowej stały się inspiracją w projektowaniu nowych domów, budynków gospodarczych i usługowych. Chodzi o zachowanie odpowiedniej skali budynków do otoczenia, tworzenia ich na miarę człowieka i jego potrzeb, przywrócenie w nowej formie zdobnictwa architektonicznego, kolorystyki ścian, zachowania proporcji ścian do dachów. Chodzi wreszcie o przywrócenie budynkom mieszkalnym i gospodarczym dawnej funkcjonalności.

Spełnienie tych postulatów może przyczynić się do powstania na wsi krajobrazu uwzględniającego dawne tradycje dostosowane do nowych czasów.

RYSZARD KRÓLIKOWSKI

Kazimierz w one dni

Mówią: „miasteczko malarzy”, „perła renesansu”, „unikalny zespół architektoniczno-krajobrazowy”; wszystkie te nazwania zasłużone, ale raz do roku, na przełomie czerwca i lipca kazimierskie uliczki i wielką misę rynku wypełnia i opanowuje ludowa muzyka.

Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą chyba nikomu przedstawiać nie trzeba, boć ten kawaler ma już 21 „roków”. Narodził się w Lublinie, na łonie Wojewódzkiego Domu Kultury, poczęty z ducha umiłowania wszystkiego, co jest autentyczną sztuką, a więc również chłopskiego śpiewu i muzykowania. Każdy regulamin festiwalu podkreśla, iż impreza pragnie służyć prezentowaniu istniejących jeszcze na wsi polskiej tradycji autentycznego folkloru, w odróżnieniu od tandetnego często folkloryzmu. Z założenia więc w Kazimierzu nie włącza się do koncertów konkursowych zespołów pieśni i tańca, gdzie kapela gra mocno stylizowane tańce, nadto akompaniując solistom. Polski śpiew ludowy — czego się nauczyłam obserwując wiele festiwalowych imprez — był jednogłosowy i właśnie bez towarzyszenia muzyki. Sam głos ma być muzyką, a słowa pieśni — Poezją.

Takie zjawiska zdarzają się na deskach festiwalowej estrady. Tych desek sceny o wiele za dużo, za dużo mikrofonów jak na jedną, często niepozorną osobę. Ale jeśli to jest owo autentyczne zjawisko, ów śpiewaczy talent — to głos Jej i Jego czy Ich bez wzmacniaczy i mikrofonów przeleci ponad drewnianą szopą stanowiącą naturalne zamknięcie sceny na Małym Rynku, przewierci się poprzez jarmarczny hałas targów sztuki ludowej, zignoruje dźwięki kapeli strojącej swe instrumenty i doleci do uszu czysty i świeży — niepowtarzalny. Tak śpiewa Krystyna Placha ze Zdziłowic, Michalina Mroziak z Przejęśławia, Helena Goliszkowa z Karczmisk, Jadwiga Rynkiewicz, śpiewaczki z Drelowa, zespół z Niedrzwicy Kościelnej, Dunajnicy z Łukowej, krakowiaczy z Gdowa, a ogień Anna Malec, Helena Goliszkowa, Maria Kozłowa. Tak śpiewał w tym roku zespół z Szypliszek, leżących, jak mówią miejscowi, „przy trakcie do Petersburga”. Ci, uprawnieni bliskością tradycji wschodu, śpiewali dwugłosowo, ale jakże piękne, stare, polskie pieśni, jak ta o „sieroteczce”, której lzy ciężkie jak kamienie.

Pierwsza nagroda przyznana przez jury, nagroda dziennikarzy, a można też powiedzieć — nagroda publiczności, bo przecież nie dla nagrody tylko oklasków śpiewali bardzo późnym wieczorem na czarownym, również pod względem akustyki — dziedzińcu Domu Architektury. Kilkanaście metrów dalej, pod oknami tego samego budynku toczyła się dorożna, festiwalowa zabawa; z hukiem, gwarem, ciemnością przemieszana ze światłem, ludźmi, którym kręciło się w głowach nie tylko od tańca... A tu — w białych koszulach Szypliszki



Stanisław Wlazło — bębniści w kapeli z Kludna, woj. radomskie

pachnące zbożem i lnem, z pieśnią i głosami niedzistejszej urody. Pełni godności, mądrzy — rozumiejący ból i radość życia.

To, że znaleźli w tym roku spore grono wiernych słuchaczy świadczy, iż festiwal w Kazimierzu ma, oprócz jurorów, grupę koneserów, no powiedzmy miłośników, ludzi smakujących prawdziwy miód sztuki wyrażającej się poprzez głos i instrument. I że szukający mogą tu coś znaleźć.

Ot, w zupełnie odmiennym stylu od Ilrycznych Szypliszek — p. Stanisław Wlazło, bębniści z Kludna. „Jak ja zagram to od razu ludzie oczy podniosą” — mówi przed wejściem na festiwalową scenę. I rzeczywiście, już przy

Laureaci „Baszt”
XXI Ogólnopolskiego
Festiwalu Kapel
i Śpiewaków Ludowych

KAZIMIERZ * 1987



Kapela „Wiatroki” z Rydzyny, woj. leszczyńskie



Nina Nikolajuk z Dobrynia Dużego, woj. białskopodl.



Leon Widz ze Zdziłowic, woj. tarnobrzeskie

pierwszym oberku ludzie na stojąco oklaskują bębni-
stę, który wybijając takt bawi się instrumentem w spo-
sób prawie cyrkowy przejawiając tym swoje poczucie
humoru i radość z życia. No lubi pan Stanisław żarty i
już. W rozmowie z ładną dziewczyną będzie mrużył
figlarnie oko i podkreślał, że „na swoje siedemdziesiąt
przecież nie wygląda”.

Do zjawisk festiwalu w Kazimierzu należeli, legendar-
ni już dziś, bracia Bździuchowie z Aleksandrowa Biłgo-
rajskiego, skrzypek z Powiśla pan Wójtowicz grający
nocą sobie a Wisłę na stopniach przystani. A te „He-
ródki” roznoszące „Orawę” po uliczkach i domach Ka-
zimierza, a te niezapomniane „słomcoki” z Limanowej,
a ten Józiek Broda sprzed lat, jeszcze nie konferansjer
imprezy tylko „prosty” multiinstrumentalista, o którym
Staszek Jaskółka powiedział, że „Józek potrafi zagrać
i na palcach u nogi, ino mu się kierpców nie chce zesu-
wać”.

Historia festiwalu stanie się zapewne przedmiotem
dysertacji naukowej, ale jego legenda pozostanie w pa-
mięci „wiernych”. A wierna festiwalowi jest przede
wszystkim ekipa organizatorów, niemal niezmienna od
1976 roku. Wtedy to po raz pierwszy pojawiła się w
Rynku Dużym postać króla Kazimierza w złotym płasz-
czu i czerwonej koronie (projekt „nadwornego” plastyka
festiwalu — Adama Killiana), zaś władza „wykonawcza”
spoczęła (takie czasy) w rękach kobiet — Elżbiety Sen-
dejewicz (komisarz) i Krystyny Chruszczewskiej (kie-
rownik artystyczny imprezy). Wtedy też miałam honor
po raz pierwszy wraz ze Staszkiem Jaskółką zapowiadać
ludowych muzyków i śpiewaków. I tak już zostało. Od-
tąd wykonawców oglądam z bliska, rozmawiam z nimi
przygotowując zapowiedź, zaś na występ patrzę od „ty-
łu”, przez dziury w płocie. Jest to „ogład” imprezy bar-
dzo specyficzny, ale kto wie, czy czasem nie ciekawszy
od tego, który jest udziałem cierpliwych jurorów przez
wiele godzin siedzących przed sceną.

Kilka lat temu gazeta festiwalowa „Burczybas” infor-
mowała o dwóch „stanach”, w jakich występują człon-
kowie komisji oceniającej — „juror z wody”, gdy festi-
wal deszczowy i „juror z rożna”, gdy z nieba leje się
żar. W tym roku, po tej zimnej wicinie, były chwile,
że jurorzy omal nie wystąpili w trzeciej postaci jako
„jurorzy z lodu”.

A co za sceną? Ta trema! Każdy stara się wypaść jak
najlepiej, kobiety poprawiają włosy, fartuchy, chustki.
Niekórzy siedzą przejęci i milczący (przeważnie męż-
czyźni), inni przeciwnie, opowiadają coś wesołego, aby
się trochę rozluźnić. Dzieci, a było ich sporo w tego-
rocznym konkursie „Duży-Mały” — na ogół spokojne,
zapatrzone w Mistrzynię i Mistrzów. Kiedy za sceną
pojawiają się dzieci wtedy również i wielu reporterów.
Zaginiony chłopiec w zgrzebnej koszuli i słomianym
kapeluszu wywołuje uśmiech, wzruszenie, jest dziś ład-
ny w tym, co kiedyś było tylko biedne. Dzieci góralskie
zdumiewają talentami, połotem, inteligencją. Jak to się
mówi — mają „coś” we krwi.

Za festiwalową sceną jest jak w życiu. Raz w blasku
urody wehodzi dziecko, raz gospodyni, po której twa-
rzy i rękach widać ciężką pracę w polu, a raz ktoś,
kogo na scenę wprowadza się trzymając pod rękę i nio-
sąc przy tym krzeselko. Są ludzie zdrowi i chorzy,
sprawni i kalecy. Opowiadają nam „jak to w życiu”
o niedawnych weselach i pogrzebach. Są tacy, którzy
dostali już wiele nagród na różnych festiwalach, bywa-
li w świecie, kulturalni, zdyscyplinowani, jak to się

mówi „patrzący swego”. Ale zdarzają się też, ludzie od-
bierający pobyt w Kazimierzu, jego urodę, pogodę, mu-
zykę jak parodniowy pobyt w prawdziwej Arkadii. Ci
mają cały czas lzy w oczach, chodzą i wszystkim dooko-
ła dziękują. Widać, że pobyt w Kazimierzu jest dla nich
chwilą szczególną, bardzo szczęśliwą. Tacy „rozanieleni”
byli w tym roku państwo Romaniukowie — a w roku
ubiegłym śpiewaczka pani Danilukowa. Może to zbieg
okoliczności, ale wszyscy oni byli z kresów woj. białsko-
podiaskiego. Czyżby w tamtych stronach istniała jeszcze
piękna sztuka wdzięczności?

Czego mi na festiwalu brakuje po wielu latach ser-
decznego związku? Otóż, pewnie to głupio zabrzmiał, ale
brak mi... dobrobytu lat siedemdziesiątych. Nawet król
Kazimierz w Rynku miał 14 m wysokości, koroną sięgał
niemal kamienie Przybyłków, które wtedy również pre-
zentowały swą urodę o własnych siłach, bez wsparcia
o rusztowania, jak czynią to dzisiaj. A gdy już nawet
rusztowania się pojawiły Adam Killian usiłował zakryć
ten wstyd wielką ludową chustką... Dziś i rusztowania
gołe i wstyd kryzysowy; ajenci bez żenady przywala
do desek reklamy sklepików zaopatrzonych tak, że
dawni kazimierscy handlarze przewracają się w grobach.

Z tego co wiem, a wiem, bom przecie blisko biura,
organizatorzy imprezy nigdy nie szastali pieniędzmi. Ale
co innego nie szastać, co innego nie mieć. Dziś po pro-
stu nie wystarcza, by zaprosić wiele kapel o bogatym
składzie, a nikt inny, choćby się nie wiem jak starał,
nie zabyłby tak w rynku, nie zaświadczy o istnieniu
czterodniowego ludowego wesela. Inna sprawa, że ta-
kich kapel i na wsiach jest już mniej, ale w swym
protokole końcowym jury słusznie dopominało się o nie-
obecnych na tegorocznym festiwalu muzyków i śpiewa-
ków z regionów, gdzie te tradycje są jeszcze żywe —
z Kaszub, Puszczy Białej i Zielonej, Mazowsza.

Brakuje mi więc byłego rozmachu w plastyce i mu-
zyce, brakuje festiwalowego życia poza rynkiem Małym
i Dużym. Ani o minutę nie przedłuża się dziennego ży-
woła kawiarni, cukierni czy wiatarni. Z Domu Prasy
kapela dawno przepędzono na cztery wiatry, a bufetowa
z barku starannie zamyka podwoje (w sobotę wieczorem),
żeby czasem ktoś nie przyszedł. Tak zwane „ognisko”
w ruinach zamku, gdzie serwowano kielbaski i piwo
przyprawiało o lęk każdego, kto nie lubi i nie musi być
za bardzo podchmielony. Niezawodną aktywność przeja-
wiają kazimierskie przekupki. Tak w handlu jak w prze-
wożeniu lubianek i pudeł do magazynku w starych
„Jatkach” czyli dosłownie na scenie festiwalu. Komi-
sarz prosił, naczelnik błagał, aby nie wjeżdżał z towa-
rem na scenę, przynajmniej w czasie trwania koncer-
tu. Nie pomogło. Czego nie da się zwalczyć, trzeba po-
lubić. Przekupka z załadowanym wózkiem została naz-
wana festiwalową „Mutter Curragé”.

Gdzie te rejsy „Marzanna” do Puław, gdzie te kon-
certy w amfiteatrze, w Nałęczowie, Dęblinie, gdzie pow-
roty? Gdzie ten młodzieniec z kapeli, który porwawszy
bałcię w tańcu trzymał ją wysoko nad głową aż zmi-
tygował go głos kolegi — „Franus, nie do Wisły, bo nie
strzymie”. Gdzie wreszcie radość tamtych lat, kiedy to
nawet zde gustowany redaktor Ibis próbował grać na
basach z „Heródkami”, a że nie bardzo mu to szło Wan-
da Czubernatka w mig ułożyła kuplecik: „Znacznie łat-
wiej pisać w prasie niżli grać na kontrabasie”.

Ot co; mimo wszelkich kryzysów festiwal trwa. Jest
imprezą pożyteczną i piękną. Czyż inaczej tkwilibyśmy
przy niej tak serdecznie?



Kołodnicy

Antoni Jopkiewicz, Obrazy olejne,
Skaryszew, woj. radomskie

Stary i Nowy Rok



* To miejsce *

WALENTY JARECKI

Dzień zimowy

spadł śnieg
i gwiazd strzępkami
zakrył cały ranek

i kwitnie
wśród śladów sanek
których szelest
pomknął w las

wiatr się pochylił
w ukłonie
białymi czapami drzew
na powitanie

MARIA MAJCHRZAK

To miejsce

Jest takie miejsce
gdzie zima
ma kolor zielony
szarość
zamienia się w biel
nieosiągnięty cel
zasypia jak dziecko
nowo narodzone
Jest takie miejsce
gdzie wszystkie
drogi się łączą
każdy kąt
pachnie nadzieją
wichry tumanem nie
nie wieją
Gdzie woda i chleb
stają się
przemienieniem
cisza jest ukojeniem serc
otwiera się mowa
i niepotrzebne słowa —
Gdzie światło
zabija cienie
oczcu serdecznym
spojrzeniem
Kochana wyciągnięta
dłoń
tam jest mój
dom

STANISŁAW DERENDARZ

Skrzypią saneczki

W pas mi się kłania
śniegowej burzy duch,
w dole, w górze, dokoła —
po prostu wszędzie,
srebrzysto-biały puch.

Wiatr potężniejąc
szarpie kapotę
i lejce z ręki wrywa,
zagania w pola
tumany śniegu —
jęcząc,
jak uwolniona cięciwa.

Coraz to cieniej
skrzypią saneczki,
coraz to głośniej
dzwoneczek dzwoni,
i coraz szybciej
pędzi mój konik.

Schylając głowę do przedniej nogi
uskoczył w prawo,
uskoczył w lewo,
jak gdyby szukał do domu drogi.

ALOJZY NAGEL

W Betlejemie

W daleczym Betlejemie
Urodził się knopiczek
A jego biedno mema
Nie miała prawie nick
Witają Gue pasturce
Je czec anielski śpiew
Kol kumu stoi Józef
E śpiewie z niema też
Sprowadzo gwiozda Królów
ze wschuedu mądrech trzech
Rechteje Herod miecze
Bue dzece zabic chce
Chutinkue na uesółku
stąd zwiornąc trzeba precz
Be późni w Nazarece
Mógł lat trzedzesce zec

Knopiczek — chłopaczek
mema — mama
nick — nic
pasturce — pasterze
Je czec — słyhać
kok — przy
kum — żłób
rechteje — szykuje
chutinkue — prędziutko
zwiornąc — uciekając

JÓZEF CHOJNACKI

Szczęśliwy

Szczęśliwy
kto zawsze potrafi
władać swym milczeniem
kto wie co robić
by w oczach ludzi
być blaskiem
a nie cieniem

Szczęśliwy
kto okrucy radości
codziennie
ogłada z bliska
albo idąc przez życie
zapomni
że oset
w garści zaciska

14 czerwca br. otwarte zostały pięćdziesiąte dziesiąte Międzynarodowe Targi Poznańskie — największa i najważniejsza impreza wystawiennicza polskiego handlu zagranicznego. Uczestniczyło w niej 3850 wystawców, w tym 2100 firm zagranicznych z 38 państw kilku kontynentów. Największą ekspozycję z państw socjalistycznych przygotowały: ZSRR, NRD, CSRS i Bułgaria, natomiast z wystawców zachodnich — RFN, Austria, Włochy, Szwajcaria, Wielka Brytania oraz po sześćdziesięciu przerwie Stany Zjednoczone.

Atmosferę targów dało się odczuć prawie na każdym kroku. Atrakcyjnie prezentowało się centrum miasta, gdzie nad wieloma sklepami zawisły kolorowe markizy. Świętecznie wabiły dekoracje witryn handlowych, które przygotowali plastycy z Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii, NRD, Węgier. Święteczny nastrój zakłócały nieco uwierające „drobnostki”, jak choćby ogromne kłopoty z zaparkowaniem samocho-du czy zjedzeniem obiadu. Konia z rzędem temu, kto po zamknięciu targów znalazł wolne miejsce w restauracji. Z noclegami również było źle, ale to jeszcze można zrozumieć, wiadomo, Poznań dysponuje taką a nie inną bazą noclegową i w najbliższym czasie nic tu nie ulegnie zmianie.

Dla każdego zwiedzającego, który pierwszy raz przebrnął bramę terenów targowych, na początek niemiła niespodzianka — wstęp 500 zł. Cena ta obejmowała tylko jednorazowe wejście na teren targów. A pragnę zwrócić uwagę, że zwiedzenie wszystkich pawilonów w ciągu jednego dnia było fizyczną niemożliwością. Zeby przynajmniej z grubsza zapoznać się z ekspozycją targów, należało poświęcić na to co najmniej dwa dni, a więc praktycznie wstęp wynosił 1000 zł. Rozumiem, że koszt zorganizowania targów jest ogromny, ale czy aż tyle musiał płacić zwiedzający?

Pewną trudność dla zwiedzających stanowiła numeracja pawilonów. Nie były one usytuowane kolejno wg numerów. Numery pawilonów są zgodne z kolejnością oddawania ich do użytku. A więc obok pawilon o niskim numerze znajdował się pawilon z wysoką numeracją. W tym labiryncie numerów można było się z trudem „połapać” dzięki tablicom informacyjnym. Wydaje mi się, że najlepiej był oznaczony pawilon nr 26,

Sztuka ludowa na Międzynarodowych Targach Poznańskich

w którym od kilku lat wystawia swoje wyroby „Cepelia”. Jest to jedyny pawilon, do którego można dojść bezbłędnie dzięki specjalnym oznaczeniom. Należy również dodać, że jest on umieszczony w bardzo dobrym miejscu. W sąsiedztwie znajdują się pawilony Stanów Zjednoczonych i Japonii. Są to dwie wystawy zawsze najbardziej oblegane przez publiczność. Myślę, że to również przyczyniło się do zwiększenia popularności ekspozycji „Cepelii”.

Wystawiały tu swoje wyroby Spółdzielnie Pracy Wytwórców Rękodzieła Ludowego i Artystycznego: „Milenium” z Krakowa, „Kanon” z Warszawy, „Sztuka Ludowa” z Białegostoku, „Tradycja” z Czechowic-Dziedzic, „Folklor” z Poznania oraz „Art-Region” z Sopotu. Na wystawie prezentowano: wyroby z galanterii i odzieży skórzanej (nesesery, torby podróżne, torebki damskie, myśliwskie, młodzieżowe, paski, etui, okładki, pantofle damskie, męskie, dziecięce, płaszczki skórzane, kurtki, marynarki, bluzy, spódnice itp.); stroje regionalne (chusty tybetowe i haftowane, fartuszki haftowane i malowane, hafty na aksamicie); dzianinę ręcznie wykonywaną, tkaniny dekoracyjne regionalne, tkaniny artystyczne ręcznie tkane, obrusy, serwety (ręcznie haftowane, szydełkowane); artykuły pamiątkarskie i użytkowe z żelaza kutego, mosiądzu, miedzi i cyny; różne wyroby ludowe pamiątkarskie; rzeźby, ikony, witraże, obrazy olejne, malowane na szkle, wycinanki, kwiaty, pajęczki, wianki, palmy, szopki, ozdoby choinkowe oraz lalki i maskotki, zabawki, wyroby z drewna, ceramikę, wyroby z bursztynu, srebra, artykuły z wikliny, trzciny, rogożyny, łuby i słomy. Jak widać różnorodność towarów olbrzymia, w której sztuka ludowa została przemieszana z rzemiosłem użytkowym. Godne podkreślenia jest również i to, że wyroby były eksponowane w bardzo ładnej oprawie plastycznej, która podkreślała walory artystyczne wystawianych

prac. Ciekawie prezentowały się wyroby ze srebra i bursztynu, które miały wydzieloną, osobną część.

Osobiście zaskoczyła mnie bardzo sprawa nazwisk autorów eksponowanych prac. Tylko na kilku rzeźbach podano nazwisko autora. Na pozostałych wyrobach pisano nazwę artykułu i ewentualnie spółdzielni, która wystawiała dany wyrób. Katalogi informacyjne wydane przez „Cepelię” również ograniczały się tylko do podania nazwy artykułu, a w wielu przypadkach tylko do podania symbolu (np. katalog wyrobów z wikliny).

Podczas rozmowy z kierownikiem Zespołu Polityki Handlowej, Markiem Szczepańskim, dowiedziałem się, że w pawilonie „Cepelii” mogą wystawiać swoje wyroby tylko ci twórcy, którzy są członkami określonej spółdzielni „Cepelia”.

Kierownik Działu Eksportu Spółdzielni Wytwórców Rękodzieła Artystycznego „Kanon” — Andrzej Ziętek był bardzo zadowolony z umów jakie podpisał na targach z zagranicznymi kontrahentami. Okazało się, że wszystkie wyroby zostały sprzedane. Z moich obserwacji wynika, że także i zainteresowanie osób prywatnych sztuką ludową było duże. Wielu zwiedzających pytało, gdzie można zakupić eksponowane prace. Była taka możliwość na terenie targów — na stoiskach przeznaczonych dla nabywcy krajowego.

Okazuje się nie po raz pierwszy, że wyroby ludowego rzemiosła artystycznego a także sztuka ludowa mogą przysporzyć krajowi sporo dewiz. Czy nie czas pomyśleć o większej ofercie autoryzowanej niejako — czystej, autentycznej sztuki ludowej? Droga do tego wydaje się być prosta; trzeba zainteresować eksportem nie tylko twórców ludowych zrzeszonych w spółdzielczości cepeliowskiej ale wszystkich. Inicjatywa taka miałaby korzystny wymiar ekonomiczny ale także i kulturowy, co nie jest bez znaczenia.

JAN

DONAT NIEWIADOMSKI

Orka złotym pługiem

W wydany niedawno zbiorze *Kolędowanie na Lubelszczyźnie* podano wiele tekstów o archaicznym rodowodzie kulturowym. Wśród nich interesujące wydają się przede wszystkim kolędy noworoczne, zawierające motyw orki złotym pługiem (nr 107, nr 108). Pieśni tego rodzaju występują w opracowaniu J. Bartmińskiego *Kolęda i jej odmiany gatunkowe*, a nagrane zostały przez J. Adamowskiego i W. Dębskiego. Wykonawcami byli: męski zespół kolędniczy z Lukowej i J. Skomra ze wsi Zerdź.

W tradycyjnym folklorze polskim takie kolędy pojawiły się stosunkowo rzadko. Było ich zwłaszcza mało w odniesieniu do innych kolęd wykonywanych w okresie świąt Bożego Narodzenia. Nawet w grupie pieśni hymnicznych przeznaczonych dla gospodarza wyróżniają się one obecnością starodawnego znaku złotego pluga. Pozostałe kolędy gospodarskie, podające życzenia powodzenia rolnego w nowym roku kalendarzowo-przyrodniczym, są już oparte na odmiennych motywach. Przeważnie wykorzystują symbolikę drzewa życia, centrum świata lub umieszczają rolnika w wymiarze kosmicznego stworzenia. Druga znacząca część kolęd dotyczy dziewczyn i posiada najczęściej charakter miłosno-matrymonialny. Pozostałe śpiewano m.in. parobkom oraz „dziewuchom”, którym chciano dokuczyć (typ tzw. tekstów „ozbieranych”).

Do tej pory opublikowano kilkanaście XIX-wiecznych pieśni bożonarodzeniowych, skupionych wokół motywu orki złotym pługiem. Najwięcej przekazów znajduje się w dziele O. Kolberga, np. w tomach 5, 26, 35, 49 i 56, ukazujących folklor Krakowskiego, Mazowsza, Przemyskiego, Sanockiego, Krośnieńskiego i Rusi Czerwonej. Część tekstów mieści się w czasopiśmie etnograficznych: w 9 tomie „Ludu” (zapis L. Młynka), w 3 tomie „Materiałów Antropologiczno-Archeologicznych i Etnograficznych” (zapis W. Tetmajera), w 2 tomie „Ludu”, w 9 tomie „Zbioru Wiadomości do Antropologii Krajowej”. Niektóre można odnaleźć w zbiorach pieśni ludowej (por. J. Konopka, *Pieśni ludu krakowskiego*). A

jeszcze inne w monografiach etnograficznych (por. J. Świętek, *Lud nadrabski. Od Gdowa po Bochnię*).

Współcześnie tego typu teksty zapisał F. Kotuła w 1965 roku pod Przeworskiem i w powiecie łańcućkim, ogłaszając je następnie w zbiorze *Hej, leluja ...* Ciekawe rezultaty osiągnęła też w 1970 roku A. Kisieleska, wykrywając podobne utwory w miejscowościach położonych na wschód od Sanoka.

Najpełniej, najciekawiej sytuację wykonawczą kolędy gospodarskiej przedstawia W. Tetmajer i jego przekaz warto tutaj przytoczyć: na „Święty Szczepan — koło 10 wieczorem wychodzą z karczmy i zaczynają obchód od dworu. Chałupy obchodzą za porządkiem «z końca». Stanąwszy pod oknem rozpoczynają «Zacynanie». Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Przystępujemy do Pana Gospodarza z cicha po kolędzie, cy śpicie, cy nie śpicie, cy nam kolędę gotujecie — Alleluja! Po czym rozpoczynają natychmiast kolędę gospodarską. Kończą tzw. oddawaniem. Chwała Tobie Jezusu na wysokiej gorze — hej nam hej! Da nam ludziom pokój na niskim pagórze. Hej nam hej! Tobie gospodarzu, tobie ta piosnecka, hej nam hej! Tobie ta piosnecka, da nam kolędecka, hej nam hej! leluja. Po gospodarskiej pytają: «bedziemy ta jesce komu?» i kolędują dziewczkom i parobkom”.

Według zapisu W. Tetmajera warto także przekazać śpiewaną wówczas kolędę, która zresztą zawiera prawie wszystkie elementy charakterystyczne dla wymienionej serii utworów.

1. A wyńdze do nas Panie gospodarzu — hej nam hej, hej nam hej!
2. A my co wiemy, to ci uopowiemy hej nam hej, hej nam hej!
3. Bo na twoi roli złoty puzek stoi,
4. A przy tym puzku śtery konie v cuzku,
5. A za tym puzkiem sam Paniezus chodzi,
6. A święty Scepan kuoniki Mu vodi.
7. Naświetsa Panienska śniadanko Im nosi,
8. Swego Synacka zeby jad prosí.
9. Dej ze tu Boze dwojakie zboze,



Janina Guska, *Kołodnicy*, rzeźba ceramiczna, Denków, woj. kieleckie

10. Miedziano słome, a zote zboże,
11. A będą tu zeńcy sami modzieńcy,
12. Będą zniwiarecki same panienecki,
13. A będą tu snopy, jako siana kopy.
14. Pojado tu fury, jak o niebie chmury.
15. Panie gospodarzu nie wychodź do pola
16. Da bo pobłondzis między kopeckami.
17. Da jako miesiąc między gwiazdeckami.

Zespół postaci ukazanych w kołędach gospodarskich przeniesiony został wyłącznie ze świata religii chrześcijańskiej. Najczęściej pojawia się Matka Boska, a prócz tego w pracach rolnych biorą udział Jezus Chrystus, sam Bóg, święty Paweł, Piotr, Szczepan i Jan Chrzciel.

Obraz Boga i osób pochodzących z boskiej rzeczywistości kształtuje się poprzez zabiegi nadawania twórcom duchowym cech ludzkich. Chłopi wprowadzają Boga i świętych do kultury rolnej, formują ich na swoje podobieństwo.

Matka Boska upodabnia się do wiejskiej gospodyni, wykonującej prace mieszczące się w kręgu tradycyjnego podziału obowiązków, dokonanego w rodzinie chłopskiej. Gotuje jedzenie, sporządzony pokarm znosi w pole oraczom i siewcom, zachęca do odpoczynku, życzy powodzenia.

Zachowania Boga, Jezusa, świętego Pawła, Piotra, Jana, Szczepana odpowiadają zachowaniom gospodarza i jego pomocników, najczęściej synów. Bóg orze lub sieje pszenicę. Boscy pomocnicy orzą, poganiają woły albo konie, sieją zboże.

W kołędach rysuje się obraz wielkiej rodziny boskiej wykonującej prace będące udziałem ziemskiej rodziny chłopskiej. Bóg otrzymuje cechy gospodarza, wypełnia akty w największym stopniu sprawcze, twórcze; orze i sieje. Jezus i święci realizują się przeważnie w działaniach o znaczeniu podrzędnym: niekiedy orzą, ale z

reguły zajmują się wołami i końmi. Porządek ziemski zostaje zachowany w świecie ponadludzkim.

Wielokrotnie bogowie i postaci planu boskiego poprzez swoje postępowanie uzależniają człowieka od siebie. W przypadku kołęd gospodarskich antropomorficzne ukazanie ich czynności umożliwia jednak zbliżenie nieba i ziemi. Pomiedzy Bogiem-gospodarzem a chłopem-gospodarzem powstaje odpowiedniość, wyrażana w rolnych kategoriach orki i siewu, należących do praktycznego życia wiejskiego. Następuje jakby ponowne wcielenie Boga w kształty ludzkie i objawienie tego wcielenia w materii pieśni hymnicznych, złączonych z czasem narodzin Syna Bożego. Bóg staje się wówczas wedle określenia S. Czernika „Wielkim Kmieciem”.

Postaci boskie podlegają uciłowienieniu w konkretnych pracach rolnych. Zachowują wszakże podstawowe wyróżniki ponadziemskiego obywatelstwa, widoczne w przeniesieniu na teren upraw roślinnych atrybutów boskości, kryjących się w znaku złota. Najczęściej występuje złoty plutek, ale niewiele mniejsze są notowania wołów i koni, ogólnie złotych lub obdarzonych „złotymi rogami” i „złotym siodełczkiem”.

Tak duże przeniknięcie symboliki złota do kołęd zgodne jest z powszechną tendencją pieśni ludowych, a na właściwości tego sposobu obrazowania zwrócili m. in. uwagę J. S. Bystron i S. Czernik.

Bystron umieszczał złoto w serii epitetów „stoły ci-sowe”, „misy bursztynowe”, „łyżki cynowe”, „stoły marmurowe”, uznając owe określenia za oznaczniki bogactwa, czyli piękna, albowiem lud piękno utożsamiał z bogactwem, okazałością, przedmiotami wykonanymi z najcenniejszych materiałów (por. *Artyzm pieśni ludowej*). Złoto i zbliżone do niego pokrewne, cenne tworzywa miały pełnić w ujęciu Bystronia rolę kompensacyjną. Przez symbolikę bogactwa powoływały ponad rzeczywistym światem wymarzony świat chłopskiego szczęścia.

Ustalenia S. Czernika dotyczą głównie rodowodu znaku złota, wyprowadzanego z czasów antycznych a ugruntowanego w okresie średniowiecza. W zakresie interpretacji wysnuwa on jednak zaskakującą myśl. Twierdzi, że „złoto obrzędowe pojmowane było nie w przenośni,



Figurki z szopki bożonarodzeniowej.
(Ze zbiorów Muzeum Lubelskiego)

lecz realistycznie" i nieco dalej dodaje: „po prostu (...) malowane bywały dla przepychu grzywy i ogony, rogi i kopyta zwierząt — koni, wołów, baranów” (por. wstęp do *Polskiej epiki ludowej*, s. XXXIV). Zatem dla Czernika pług pozostaje wyłącznie pługiem, tylko dla przepychu przyozdobionym złotem, bez nacechowania symbolicznego.

Złoto posiada natomiast znaczenia istotniejsze. Należy je przede wszystkim traktować jako materialny wyraz treści abstrakcyjnych. Z tego punktu widzenia przydatne okazują się rozważania M. Rzepińskiej, która dowodzi, że blask złota jest uważany za „widomy”, dostępny zmysłom znak obecności, odbłask najwyższego, niewidzialnego światła” (por. *Studia z teorii i historii koloru*, s. 146). Światłem tym jest Bóg, a blask złota staje się jego ziemskim wyobrażeniem.

Złoto wyrażające sacrum występuje przeto w kolędach gospodarskich jako atrybut uczłowieczonych boskich wykonawców. Objawia się w trakcie zwykłych prac dokonywanych przez niezwykle postaci. Kolor szlachetnego metalu nasycza swoją mocą sakralną narzędzia uprawy roli i zwierzęta biorące udział w pracy. Przepojenie siłami sakralnymi orki i siewu jest tak duże, że hierofania ta doprowadza do przeistoczenia czynności rolnych z czysto technicznych — na kreacyjne, mieszczące się w perspektywie pierwszego aktu stworzenia. Pług, orka i siew nie mają odtąd wymiarów świeckich, stają się składnikami świętego ceremoniału corocznych narodzin życia w przyrodzie.

Celowe wydaje się także przywołanie innej warstwy symbolicznej złota, ukształtowanej już w czasach przedchrześcijańskich. Metal ten posiada bowiem barwę słońca, przejmuje też jego siłę vitalną. Dlatego w Egipcie połączono go z wegetacją; wiercono również, że królowie rozdając poddanym złoto utrzymują ich życie. U Greków z kolei symbolem istnienia okazały się złote jabłka Hesperyd. Dawni bogowie nieba pogodnego, m.in. helleński Zeus, także wykazują więź organiczną ze światłem. Moc ich przejawia się — jak pisze M. Eliade w *Traktacie o historii religii* — w blasku, przybierającym kształty płomieni, żaru, ognia, a zadania polegają na rozbudzaniu płodności.

W zarysowanym tle tworzy się interesująca linia kulturowa: bóg (król) — blask (słońce, ogień, złoto) — życie. Linię tę o starodawnym rodowodzie dostrzegamy w kolędach gospodarskich. Z tym, że długotrwały proces przystosowywania chrześcijaństwa do kultur przedchrześcijańskich przyczynił się do przekształcenia pierwotnego pasma znaczeniowego. Uaktualniono je przez wprowadzenie do tekstu postaci religii katolickiej, usunięcie znaków słońca i ognia, oraz wykonywanie pieśni w czasie świąt Bożego Narodzenia. Zmiany te sprawiły, że przewagę zyskało sacrum realizujące się w perspektywie wiary chrześcijańskiej.

Ranga zabiegu uciłowieczania Boga, Jezusa, Matki Boskiej i świętych pańskich polega zaś na doprowadzeniu do ubóstwienia gospodarza, do uwznioślenia jego pozycji społecznej i wykonywanych przez niego czynności. Wyniesienie rolnika do poziomu boskiego staje się możliwe po wytworzeniu paraleli (a nie zamienni jak proponuje S. Czernik) między agrarnymi praktykami boskimi i ludzkimi. W takim ujęciu gospodarz powtarza w zasadzie wzorcowe działania Boga, dąży do powielenia sakralnej sytuacji. Dlatego kolędy gospodarskie przynoszą obraz istot boskich, wypełniających w paśmie



Tadeusz Mirowski, Maska kolędnicza, Kędzierzyn-Koźle, woj. opolskie

wyobraźniowym prace rolne, należące w czasie świeckim do obowiązków społeczności chłopskiej.

Tak przedstawiona praca musi zapewnić pożądane wyniki. Z tego względu w kolędach gospodarskich pojawiają się obrazy urodzaju, będące w gruncie rzeczy wywołaniem sytuacji, która zaistnieje dopiero w czasie świeckim. Ziemia przeniknięta świętością osiąga stan szczególnego rozwoju. Jej plody rozprzestrzeniają się, rozlewają po polach. Ich nadmiar widoczny jest w porównaniach, zestawiających znamiona urodzaju ze zjawiskami ilościowymi i objętościowymi. Stąd kopy i snopy zboża są takie jak kłosa, a jest ich tak dużo, jak krepki deszczu, jak gwiazd i chmur na niebie. Do zwiezenia zboża używa się tyłu wozów, że również przypominają one chmury rozłożone na niebie. Rolnicy ścinają srebrne i miedziane łodygi zbóż, zbierają złote i srebrne kłosa. Robót tych nie dokonują już postaci boskie, ale sami chłopci, gdyż pole i ziarno raz nasycone świętością nadal przechowują w sobie, aż do zbiorów, energię sił ponadludzkich sprzyjających rozrodekości.

Uświęcone postępowanie rytualne wzmogło niezawodność postępowania technicznego. Bogowie i święci porządkowani zostali potrzebom rolnym, w czym dostrzegamy utylitarne traktowanie wiary w społecznościach chłopskich. Sacrum wypełniło rolę wywołania urodzaju. Rolnicy przyjęli wobec sił religijnych postawę czci, a zarazem przystosowali je do własnych idei i potrzeb ekonomicznych. Uznali, że bogate plony zaspokoją potrzeby. Z tego powodu w bóstwach chrześcijańskich zobaczyli przede wszystkim moce płodności, a religię obdarzyli ziemskim przeznaczeniem.

Z badań nad folklorem

„Jak działają dziś kapele ludowe, w czym przejawia się ich kulturotwórcza rola w społeczności lokalnej, jaki będzie ich los”?

Pytania te, określające przedmiot badań cytujemy ze wstępu do pracy magisterskiej Mariana Puszkę, przed dwoma laty studenta socjologii KUL, słuchacza seminarium z zakresu socjologii kultury. Osobiste zainteresowania muzyczne skłoniły autora do realizacji tematu: „Rola ludowego zespołu muzycznego w tworzeniu kultury lokalnej (na przykładzie kapeli Bednarzy ze wsi Podhorce)

MARIAN PUSZKA

Ogień z ducha ludzi

„Muzyka winna krzesać ogień z ducha ludzi” — są to słowa Ludwiga van Beethovena odzwierciedlające poglądy wielkiego mistrza na siłę i potęgę zawartą w muzyce. Uprawianie muzyki niesie ze sobą wielkie wartości duchowe. Pozostawia niezapomniane przeżycia i doświadczenia płynące ze spotkania z pięknem. Być może mieszkańcy Podhorce doświadczyli w swoim życiu rozkoszy i radości, którą daje spotkanie z muzyką. Fakt, że w Podhorce przed II wojną światową działało aż 7 kapel nie jest bez znaczenia. Było to ewenementem i świadczyło o niezwykłym wprost rozśpiewaniu i docenianiu roli muzyki w życiu człowieka. Fakt ten staje się jeszcze bardziej wymowny, gdy zauważymy, że w sąsiednich miejscowościach podobne zjawisko nie miało i nie ma miejsca.

Podhoreccy muzykanci zdobyli szybko rozgłos i sławę, dzięki czemu angażowano ich do uświetniania wielu imprez, zabaw i wesel. Brak środków materialnych oraz duża odległość od Lwowa i Rzeszowa, gdzie najczęściej dokonywano zakupu instrumentów, stawiała członków kapeli przed koniecznością własnego wykonawstwa. W owym czasie wykonawstwem instrumentów trudnili się: Marian Bednarz, Jan Drelich, Marian Drupka, Franciszek Zajma, Antoni Iwanicki, Michał Grębski.

W atmosferze powszechnego muzykowania rozwijał swe uzdolnienia muzyczne Ignacy Bednarz — założyciel istniejącej do dziś kapeli. Ignacy Bednarz (1908—1982) był kontynuatorem tradycji muzycznych wsi, jak i swojej rodziny. Dziadek Marcin Bednarz grał na skrzypcach, a także robił skrzypce własnej konstrukcji. Matka

Podhorce tu duża wieś na Wyżynie Lubelskiej, w obecnym województwie zamojskim. Szczególne umuzykalnienie tutejszych ludzi (10 % mieszkańców gra na instrumentach) wiąże autor pracy z osadnictwem galicyjskim, jakie nastąpiło w roku 1871, gdy dobra ziemskie Podhorce będące pod administracją rosyjską przeszły w ręce kilkudziesięciu kolonistów z powiatów: rzeszowskiego, kolbuszowskiego, niska lańcuckiego, krośnieńskiego, bocheńskiego. W wielu pieśniach i utworach instrumentalnych wykonywanych dziś przez kapelę Bednarzy dostrzeżono (badania Pracowni Folkloru Religijnego IMK KUL) cechy charakterystyczne dla folkloru galicyjskiego. Pochodzenie repertuaru świadczy o autentyczności Kapeli Bednarzy, bowiem kapele autentyczne podtrzymują i wykonują repertuar stary, przekazywany drogą tradycji ustnej. Autentyzm kapeli potwierdza też stare instrumentarium.

Oto badania i konkluzje magistra Mariana Puszkę.

M.B.

była osobą bardzo uzdolnioną muzycznie. Mając osiem lat Ignacy Bednarz zbudował swój pierwszy instrument i rozpoczął indywidualnie edukację muzyczną podpatrując starszych kolegów. Angażowały go wówczas do gry kapele Wyjadacza, Bieleckiego, Paska i Kamińskiego.

W 1922 roku Ignacy Bednarz wraz ze swymi braćmi założył kapelę nazwaną później „Ignacego Bednarza”. Kapela bardzo szybko zyskała dobrą opinię w środowisku, jeśli chodzi o poziom wykonawstwa i bogactwo repertuaru. Przez częste granie Ignacy Bednarz zyskał dużą biegłość techniczną w grze na skrzypcach. W 1935 roku rozpoczął pracę jako organista (samouk) w parafii Podhorce. Funkcję organisty pełnił nieprzerwanie do 1982 roku, tj. do chwili śmierci.

II wojna światowa przerwała passę powszechnego muzykowania i znacznie przerzedziła szeregi miejscowych muzykantów. Część zginęła w czasie działań wojennych, inni wyjechali z Podhorce. Po wojnie Ignacy Bednarz zaangażował kilku nowych muzykantów wiejskich i Kapela ożyła na nowo. Rozpoczął również prowadzenie chóru mieszanego i kółka teatralnego. W latach sześćdziesiątych wskutek eksplozji muzyki młodzieżowej popularność Kapeli Bednarzy zmalała. W roku 1967 nastąpił moment przelomowy w historii Kapeli Bednarzy: Ignacy Bednarz został zaproszony do wzięcia udziału w Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu. Niestety, nie mógł odpowiedzieć pozytywnie na zaproszenie ze względu na pełnioną funkcję organisty. Przez 9 lat nie brał udziału w żadnym festiwalu i przeglądzie kapel. Dopiero w 1975 roku, dzięki staraniom nauczycie-

li Ireny i Adolfa Korzeniowskich, skrzypek Ignacy Bednarz i bębniści Antoni Bednarz pojechali do Kazimierza zajmując tam I miejsce. Sukces ten zmobilizował Bednarzy. Dobra passa rozpoczęła się na nowo, o czym świadczą zdobyte nagrody i wyróżnienia.

W 1982 roku zmarł Ignacy Bednarz, co spowodowało chwilowe zawieszenie działalności kapeli. Bratanek Ignacego — Antoni Bednarz przejął kierownictwo nad Kapelą i dokonał uzupełnienia składu osobowego. Kapela Bednarzy ponownie wznowiła swą działalność. Działalność Kapeli Bednarzy przyczyniła się w dużej mierze do powstania Gminnego Ośrodka Kultury w Podhorcach. Dzięki aktywnej działalności i poziomowi, jaki reprezentuje Kapela wśród mieszkańców wsi upowszechniło się przekonanie, że potrzebny jest tego typu obiekt we wsi, w którym Kapela i inne zespoły kulturalne uzyskająby miejsce do prób, ćwiczeń i występów. Podobnego zdania były również władze lokalne, uznające dobro kulturalny wsi, w którym poczesne miejsce zajmuje Kapela Bednarzy. Sam fakt dużego zaangażowania w budowę Antoniego Bednarza i pozostałych członków Kapeli, cieszących się dużym autorytetem we wsi, ułatwił społeczne poparcie tej inicjatywy. Obecnie współpraca między Kapelą Bednarzy a GOK-iem układa się bardzo dobrze. Członkowie zespołu przejawiają dużo troski o wysoki poziom pracy Ośrodka Kultury w swojej wsi. Antoni Bednarz pełnił funkcję przewodniczącego Społecznej Rady Nadzorczej Gminnego Ośrodka Kultury, co umożliwiło mu znaczny wpływ na kierunek pracy kulturalnej w środowisku.

Obecność kapeli dostrzegamy w większości imprez organizowanych przez kierownictwo GOK-u, (Dożynki, Dzień Matki, Dzień Strażaka, Dzień Seniora). Współpraca taką doprowadza do osiągnięcia trwałych rezultatów jeśli chodzi o stosunek mieszkańców do dóbr kultury. Gminny Ośrodek Kultury w świadomości mieszkańców jest bardzo dobrym krzewicielem wartości kulturalnych i czynnikiem aktywizującym wieś do uczestnictwa w kulturze.

Nie jest to jedyna forma aktywizacji kulturalnej środowiska dokonywanej za sprawą Kapeli. Inną formą jest „wyławianie” i angażowanie mieszkańców wsi do kapeli, bądź umożliwianie im zaprezentowania swych umiejętności muzycznych, czy śpiewaczych na terenie wsi i poza nią. Kapela Bednarzy w świadomości mieszkańców uchodzi za wiodącą prym w działalności amatorskiej. Można podać wiele przykładów współdziałania Kapeli z miejscowymi muzykantami, będącymi członkami innych zespołów i kapeli.

Wiele zaangażowania wykazali członkowie Kapeli w działalności orkiestry dętej, którą w latach pięćdziesiątych prowadził ksiądz Jerzy Orzeł. Bednarzowie stanowili trzon orkiestry. Owcześnie kierownik Kapeli i jednocześnie organista w Podhorcach, Ignacy Bednarz wspólnie z księdzem kierował orkiestrą. Dokonywał transkrypcji pieśni religijnych na instrumenty dęte. Żeliszław Bednarz grał na bębnie, gdyż w okolicy Podhorców uchodzi za bardzo dobrego bębniście. Bednarz grał na flecie lub klarncie, gdyż potrafi grać na tych dwu instrumentach.

W wyniku pasji powszechnego muzykowania w Podhorcach powstawały zespoły muzyczne. Wiele z nich w miarę upływu czasu ginęło, niektóre przetrwały dłużej. Kapela Bednarzy nawiązywała współpracę z działającymi we wsi zespołami. Bednarzowie służyli radą, pomocą, zachętą do dalszej pracy. Wspólnie z innymi

zespołami występowali na terenie wsi. O takiej współpracy opowiada sołtys wsi: „Mając 28 lat założyłem zespół w składzie: 2 saksofony, gitara, akordeon i perkusja. Część pieniędzy na zakup instrumentarium otrzymaliśmy z funduszu straży pożarnej. Zespół nasz grał przez kilka lat i prawie się rozleciał, bo niektórzy z nas poszli do wojska. Później graliśmy we trzech. Nie szło jednak to granie tak dobrze, jak przedtem, bo było nas za mało. Graliśmy coraz mniej. Do wojska poszedł akordeonista i saksofonista. Gdy byliśmy w takich kłopotach, wtedy właśnie Bednarze zwerbowali nas i kiedy zrobiliśmy kilka prób, to na jakichś uroczystościach kościelnych czy świeckich graliśmy razem. Bednarze dołączyli jeszcze innych grających i było nas chyba 15 czy 14 — nie pamiętam dobrze. Jeśli była np. „Pasterka”, czy odpust w Podhorcach, czy jakaś uroczystość świecka, czy pogrzeb, to graliśmy”.

Z wypowiedzi wynika, że pomoc Bednarzy przyszła w najbardziej odpowiednim momencie, gdy istnienie zespołu było zagrożone. Okazana pomoc przedłużyła działalność zespołu i rozszerzyła skalę tej działalności.

Obecnie w Podhorcach działa również dwuosobowa, rodzinna Kapela Knapów. Jej działalność do pewnego momentu była sporadyczna i na niewielką skalę. Knapowie pozostawali w cieniu Bednarzy. Mimo tego Bednarze zachęcali Knapów, aby rozpoczęli bardziej aktywną działalność. W 1983 roku Kapela Knapów w wyniku usilnych zachęt Antoniego Bednarza wzięła udział w Przeglądzie Kapeli i Zespołów Śpiewaczych w Zamościu, który miał wyłonić reprezentację regionu na festiwal w Kazimierzu nad Wisłą. Zanim jednak Knapowie wyjechali do Zamościa, rozpoczęli regularne próby, aby przygotować odpowiedni repertuar. Antoni Bednarz i pozostali członkowie Kapeli służyli radą i pomocą Knapom. Wiele cennych uwag i wskazówek Bronisławowi Knapowi udzielił Żeliszław Bednarz, obaj bowiem grają na bębnie, każdy w swojej kapeli. Pomoc Bednarzy koncentrowała się zwłaszcza na doborze repertuaru, gdyż jest to jedno z ważniejszych kryteriów oceny występującej kapeli przez jury. Bednarze mieli duże doświadczenie jeśli chodzi o udział w festiwalach i przeglądach, dlatego pomoc ich była szczególnie znacząca.

Przeгляд w Zamościu zakwalifikował Kapelę Knapów z Podhorców do udziału w festiwalu w Kazimierzu. Sukces przerósł oczekiwania — Kapela Knapów zajęła I miejsce na festiwalu w Kazimierzu.

Proces urbanizacji wsi doprowadza do zaniku wielu obrzędów i zwyczajów. Zjawisko to potwierdza w swych badaniach J. Klimaszewska: „Obecnie następuje powszechny powolny zanik obrzędów i zwyczajów. Tradycyjne zwyczaje powołane do życia w innych warunkach historycznych i społeczno-gospodarczych celem wypełnienia ważnych dla życia i bytu człowieka funkcji i odgrywających w życiu wsi znaczną rolę, dziś stosunkowo rzadko są kultywowane w tych samych celach. Głównym powodem ich przetrwania jest bądź nadanie im innej funkcji, bądź przywiązanie do dawnych tradycji, przy czym funkcja ich ogranicza się zwykle do zabawy”.

Taki też los spotyka wiele obrzędów i zwyczajów w Podhorcach. Zwyczajem, który pozostał już tylko w pamięci ludzi starszych było kolędowanie z kapelą po wsi. W repertuarze Bednarzy znajdują się melodie związane z tym zwyczajem. Jednym z powodów zaniku tego zwyczaju może być fakt, że władze administracyjne niższego szczebla w pewnym okresie utrudniały kultywowanie

zwyczajów ze świętami chrześcijańskimi, traktując je jako manifestację przekonań religijnych.

Do zwyczajów kultywowanych we wsi nadal należą dożynki. Kapela jest ich organizatorem. Dożynki we wsi odbywają się dwukrotnie. Raz organizowane są przez księdza proboszcza w kościele parafialnym. Mają następujący przebieg: wierni gromadzą się na Mszy św., podczas której święcone są przez nich wykonane wieńce dożynkowe. Po Mszy św., jej uczestnicy dzielą się przyniesionym ciastem, które ma symbolizować tegoroczny urodzaj. Podczas Mszy św. Kapela Bednarzy wykonuje pieśni religijne: „Pod Twą obronę”, „Dziękuję, o Panie”, „Wielbię Ciebie”, „Bądźże pozdrowiona”, „Czego chcesz od nas Panie” i inne.

Drugie uroczystości dożynkowe odbywają się w GOK-u. Do wzięcia w nich udziału zapraszani są przedstawiciele władz gminnych. Również przygotowane są wieńce dożynkowe, które delegacja składa na ręce przedstawicieli gminy. Po części oficjalnej występuje Kapela Bednarzy, wykonując swoje pieśni i utwory instrumentalne.

Kapela Bednarzy nie bierze udziału w tradycyjnych wiejskich weselach. Obecnie wesela, jeśli chodzi o stronę muzyczną, zostały zdominowane przez zespoły grające przede wszystkim repertuar nieludowy.

Procesu zanikania obrzędów i zwyczajów ludowych w Podhorcach nie powstrzymuje działalność Kapeli Bednarzy.

Bardzo ciekawy jest stosunek młodzieży do Kapeli. Dostrzegamy tu dualizm zachowań. Z jednej strony młodzież uczestniczy dość licznie w występach Kapeli, co potwierdzają badania ankietowe i obserwacja. W jej świadomości Kapela jest potrzebna na wsi, prezentuje wysoki poziom i powinna jeszcze częściej występować na terenie wsi. Z drugiej strony Kapela — zdaniem młodzieży — „szerzy kulturę i obyczaje tamtych ludzi”, a z działalności Kapeli dumna jest dlatego, że odnosi sukcesy poza wsią i może reprezentować wieś na zewnątrz. Młodzież nie bierze udziału w „potanówkach” organizowanych przez Kapelę. W życiu prywatnym nie śpiewa pieśni upowszechnianych przez Bednarzy. Świadczy to, że młodzież rodzimą kulturę lokalną traktuje jako przeżytek, jak coś, co przemija. Zauważamy dystans młodzieży do tradycyjnego folkloru muzycznego. Wydaje się być to skutkiem dużego wpływu muzyki rozrywkowej, rozwoju miejskich aspiracji wśród młodzieży wiejskiej. Tezę tę zdaje się potwierdzić następujący przykład. Młodzieżowy zespół „Fifty-fifty” przejął niektóre pieśni ludowe śpiewane przez Kapelę, ale wykonuje je w tempie szybszym i na innych instrumentach: gitary, organy elektryczne, perkusja. Do młodzieży bardziej trafia folklorizm niż autentyczny folklor. W związku z urbanizacją wsi i zapatrzeniem się młodzieży na miasto wytworzyła się u niej postawa krytyczna wobec tradycyjnej kultury.

Młodzież jest zbyt mocno związana z nurtem muzyki rozrywkowej i wydaje się nie rozumieć folkloru utworzonego przez pokolenie starsze. Poparcie, jakie wyraża młodzież dla działalności Kapeli nie oznacza wcale, że chce sama ją kontynuować.

Autentyczne kapele ludowe są dziś zjawiskiem ginącym. W miejsce autentycznego folkloru wchodzi folklorizm, który prowadzi do zaniku kapel ludowych. Nie wiadomo, czy temu zjawisku nie ulegnie Kapela Bednarzy, która do dzisiaj ma jeszcze wiele z autentyzmu ludowego.

WŁADYSŁAW MŁYNEK

Synku

Stój se czasym nad Olzą,
kaj zómczyska ostatek,
pługym myśli przeorej
zarośnięte ściernisko,
weź ziymi między palce
jak święteczny opłatek,
bo tu twoich praocjów
stare było siedlisko.

Uczcij spróchniałe w ziyimi
twojij kolybki zręby,
złotym monetóm mowy
w sercu zbuduj przybytek,
żyj żywotym pradziadów,
umiyrej jako dęby,
bo z nich aji po śmierci
ludzie mają użytek.

Jałmużne chyń pod nogi
tymu, co ci ją dowo,
za zbrodnie zapłać chlebym,
byś miał czyste sumiyńi,
a choć bejesz żył prosto,
poczciwie aji zdrowo —
i tak musisz iść światym
z wielkim, ciężkim brzymiyńim.

Bier od żywota tela,
wiele ci w nim wystarczy.

Rób tak, byś był szczęśliwy,
nie myśl o wielkij sławie.

Swoim własnym hónorom
nie śmiesz nigdy frymarczyć,
a i tak zamiast z orła —
dają ci piórka pawie.

Zodnymu nie bydź sługą,
zodnymu nie bydź panym,
idź prosto, nie wybocej
z jednej obranej drogi,
głodnym dej skibke chleba,
izy otrzij uplakany —
smutnym rozdowej serce —
sobie dowej ostrogi.

Wrośnij jak skała twardo
między nasze gróniczki,
szanuj swoją ojczyznę,
abyś był w nią szczęśliwy.

Jak insi będą milczeć —
śpiywej nasze pieśniczki.

Taką niechej spuściznę,
byś po śmierci był żywy.

● pisarstwie ludowym w ogóle, a na Śląsku Cieszyńskim w szczególności

W ostatnich dziesięcioleciach obserwujemy znamienne zjawisko, będące niejako fenomenem naszych czasów. Jednak w odniesieniu do Śląska Cieszyńskiego ma ono tradycję wielowiekową, umotywowaną osobliwym spletem najróżniejszych czynników. Otóż w miarę wzrostu roli szkoły, książki, kultury i oświaty coraz więcej ludzi odczuwa potrzebę aktywnego uczestnictwa w życiu duchowym. Nie zadowala się pozycją odbiorcy, konsumenta, ale aktywnego współtwórcy, w tym i na polu literatury. Po prostu szuka samookreślenia w przemóżnym świecie kultury masowej, która unifikuje, zaciera jednostkowość, oryginalność, traktuje człowieka jako cząstkę skomplikowanego mechanizmu, na którego działanie nie ma on prawie żadnego wpływu. Nie zadowala się, byśmy — jak pisze Edward Sapir — część naszego życia spędzili jako zwierzęta pociągowe, pozostały czas jako apatyczni konsumenci dóbr nie noszących na sobie żadnego piętna naszej osobowości. Obserwujemy chwalebny pęd do utrwalania przeżyć i losów ludzkich, dziejów własnych i społecznych, a także wizji i dążeń artystycznych. Rosną szeregi tych, co chcą po sobie pozostawić ślad również i w tej sferze kultury literackiej, określanej jako pisarstwo ludowe. I tutaj zaraz problem merytoryczny. Co to jest pisarstwo ludowe? Kogo zaliczyć do pisarzy ludowych? Na podstawie jakich kryteriów? Podobnych pytań nasuwa się wiele.

Stanisław Pigoń, wybitny znawca różnych dziedzin literatury, w tym i nas interesującej, stwierdził, że „*nowoczesne piśmiennictwo ludowe to piśmiennictwo powstające na dzisiejszej wsi, mające za autorów włościan, pracujących na roli, związanych z nią społeczną działalnością. W ten sposób piśmiennictwo ludowe jest wytworem stanu społecznego, wyodrębnia się od literatury inteligentkiej i mieszczańsko-robotniczej. Pisarze ludowi to pisarze - chłopci, pochodzący ze wsi i na wsi bytujący*”.

Wylęcza Pigoń z ich kręgu pisarzy robotniczych czy wysferzonych synów chłopskich, „*niby wyobcowanych z chłopskiej struktury psychicznej, bo przekroczyli horyzont chłopskiej umysłowości*”. Jest to, naszym zdaniem, znaczne zawężenie problematyki, oparte wyłącznie na kryterium genealogiczno-geograficznym i socjalnym, zasłane na dodatek subiektywnymi określeniami (chłopska umysłowość, chłopska struktura psychiczna), pozostawiające na boku istotę zjawiska, którą jest charakter owego pisarstwa. Jest ono niewątpliwie determinowane czynnikami socjalno-geograficznymi i kulturowymi, ale jego istotą nie jest owa determinacja, ale wynik, niejako produkt. Bo przecież utalentowany chłop może przekroczyć barierę pisarstwa ludowego (nie może być przecież określany jako pisarz ludowy tylko z racji swego pochodzenia, zatrudnienia i zamieszkania), z kolei pisarzami ludowymi mogą być i są ludzie nie spełniający tych wymogów. Jest to zatem kwestia typu, charakteru

twórczości, którą pochodzenie, wykształcenie, środowisko wspiera, motywuje, ale nie są to wyznaczniki definitywne, rozstrzygające.

Utarło się specyficzne spojrzenie na pisarstwo ludowe, traktujące je jako Kopciuszka, jako niższe stadium prawdziwej literatury, jako coś gorszego i mniej wartościowego. Otóż trzeba tu powiedzieć wyraźnie, że taki punkt widzenia jest oczywistym pomyleniem pojęć i niezrozumieniem istoty rzeczy. Literatura ludowa (jako nieanonimowa twórczość literacka) nie jest ani lepsza, ani gorsza od literatury wykształconej. Jest po prostu inna. Pisarz, startujący na polu literatury wykształconej, jeśli okaże się nieudolny, nie staje się automatycznie pisarzem ludowym. Własnych grafomanów ma zarówno i ta, i tamta literatura. Widać z tego, że jest to kwestia pisarstwa, języka, poetyki, mniej natomiast tematyki, a jeszcze mniej pochodzenia, zatrudnienia itp. A zatem, powtarzamy, typ twórczości jest najistotniejszy — ukształtowanie języka dzieła literackiego, reguły organizacji wypowiedzi literackiej, przy czym należy mieć na uwadze różnice między pisarstwem ludowym i dla ludu (literatura odpustowa, jarmarczna).

ANIELA KUPIEC

Wio, kóniczki!

Już orocz przistanął w miedzy obeschniónej,
przeżegnał się krzyżym i pognoł kóniczki,
już plug swój zapuścił do ziymie spoczniónej,
zorse ją nejpieknij, nasieje pszeniczki.

Kładą sie już skiby wolno, kapke bokym,
skowrónek se śpiywo pod samutkim niebym,
chómął skrzipi cicho w tákcie krok za krokym,
ziymia wiosną wónio i razowym chlebym.

Pójdym za tym plugym, pójdym za oroczym,
co po grudach kroczo, co z rozmachym sieje,
nieba weznę w dionie i poniesę oczy,
i posieję w polu storoczne nadzieje.

I posieję w polu, niech z pszynicą rosna,
niech zlym uradują nejszumniejszą wiosną
i hardy plón dają kierejsi jesyni.

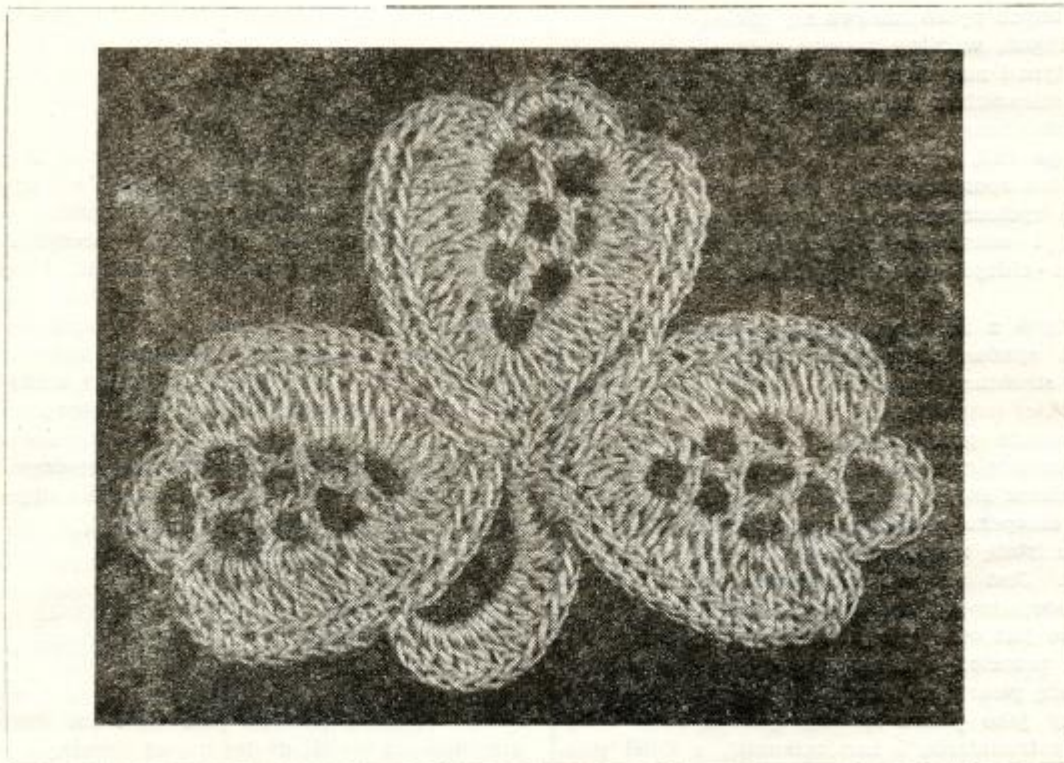
Wio, kóniczki gniade, po polu, po polu,
niejedno już wsioli do tej naszej ziymie,
ale nie pozwólmy rozsiywać kákolu.
co w przekupnej duszy na dnie kansi drzymie.

Stanisław Pigoń akcentuje więc podmiot twórczości, ograniczając przy tym lud do wsi (pojęcie oświeceniowe i romantyczne). A przecież „lud” to pojęcie historyczne, zmienne w czasie. W związku z tym tak samo należy traktować i pisarstwo ludowe. W określeniu „pisarstwo ludowe” bardziej dynamicznym elementem jest, jak zauważyliśmy, wykonawca czynności, twórczości, stabilniejszym zaś jej charakter, co przemawia za takim właśnie rozwiązywaniem zagadnienia. Jest to równocześnie droga trudniejsza, bo łatwiej przecież powiedzieć, że pisarzem ludowym jest chłop, niż sprecyzować istotę tej literatury, która na Śląsku Cieszyńskim, zwłaszcza tym, który dziś znajduje się w obrębie Czechosłowacji, ma tradycje zupełnie wyjątkowe. Na samym jej początku wypada umieścić Jakuba Gallacza, wolnego chłopca z Cierlicka Dolnego (tej wsi, gdzie tragicznie zginęli Zwirko i Wigura), który w pierwszej połowie wieku XVIII napisał wiersz upamiętniający założenie kościoła ewangelickiego na Wyższej Bramie, wówczas jeszcze przed Cieszynem, czyli poza jego murami. Po nim w wartość słowa poetyckiego wnikali Adam Sikora, Jerzy Brudny, Franciszek Siwek, Franciszek Chlebowczyk, ze współczesnych zaś w szeregu tym wymienić należy Adama Wawrosza, Karola Piegzę, wreszcie Ewę Miłerską, Anielę Kupcową, Władysława Młynka i Annę Filipów, choć w przypadku tych dwojga ostatnich nie cała ich twórczość mieści się w tej konwencji. A zatem co najmniej od wieku XVIII po dzień dzisiejszy płynie nieprzerwanie strumień cieszyńskiego pisarstwa ludowego, spełniającego w różnych okresach najróżniejsze funkcje, polegające na kształtowaniu postaw estetycznych, moralnych, społecznych i narodowych, co obserwujemy do dziś. Stąd m.in. bierze się siła tej poezji czy literatury w ogóle. Ogromne zapotrzebowanie na tego rodzaju twórczość jest warunkowane także historią nadolziańskiej ziemi. Śląsk bowiem, na skutek oderwania w I połowie

XIV wieku od Korony Polskiej znalazł się poza korytem, którym płynął nurt polskiego życia literackiego i językowego. Był więc zdany na własne siły; twórczość ludowa była tu namiastką literatury narodowej, a gwara — język literacki okresu Reja i Kochanowskiego — normalnym jej tworzywem. I stąd niebawem przywiązanie do języka ludowego i twórczości w nim rozwijanej. Jednakże siła tej literatury wynika jeszcze z czegoś innego: z jej właściwości artystycznych i tematycznych. Poruszała się i porusza wokół treści fundamentalnych, takich jak ziemia, ojcowizna, mowa i człowiek. Jest zatem swoistym drogowskazem, odsłania korzenie, bo obcy jest jej kosmopolityzm i wąski indywidualizm. Wrasta w glebę, trzyma się jej kurczowo, dlatego jest tak autentyczna i prawdziwa, i mocna. Dotykając ziemi to dla tej literatury także jej forma, sprawdzona przez stulecia, stąd nie rozbijająca się o bariery między twórcą a odbiorcą, co dla recepcji, zasięgu oddziaływania tejże jest sprawą wyjątkowej wagi. I znowu przestrzec tu należy przed opozycyjnym (do literatury tzw. wysokiej) wartościowaniem konwencji formalnych tego pisarstwa. Mamy bowiem do czynienia z autonomicznymi cechami jego poetyki. Gdy więc zrekapitulujemy to wszystko, gdy uświadomimy sobie wielofunkcyjność tej literatury, jej walory społeczne, artystyczne i historyczne, wówczas odpowiedź na pytanie, czy ma ono rację bytu w okresie lotów kosmicznych, będzie jednoznaczna.

* * *

Autor artykułu — Daniel Kadłubiec jest językoznawcą z Ostrawy, członkiem Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w czeskim Cieszynie, laureatem nagrody im. Oskara Kolberga.



Maria Kulej, Koronka koniakowska, Koniaków, woj. bielskie

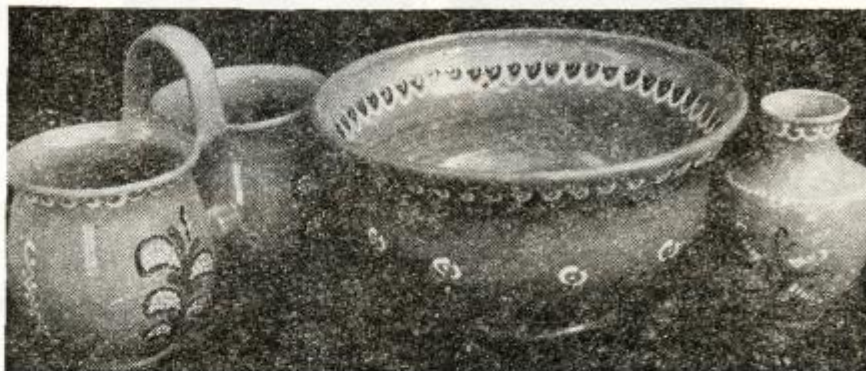
Zdobnictwo w garncarstwie ludowym Toruń • 1986 r.

W połowie grudnia 1986 r. rozstrzygnięty został w Muzeum Etnograficznym w Toruniu ogólnopolski konkurs „Zdobnictwo w garncarstwie ludowym”. Współorganizatorami było Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Związek Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „Cepelia”. Był to już drugi ogólnopolski konkurs garncarski zorganizowany przez Muzeum w Toruniu, będący poniekąd kontynuacją pierwszego pn. „Garncarstwo ludowe” z 1978 r.

W regulaminie podkreślono przede wszystkim konieczność pokazania tradycyjnego zdobnictwa na naczyniach typowych dla danego regionu czy ośrodka. Jednym z ważniejszych założeń tego przedsięwzięcia było poznanie aktualnego stanu ceramiki ludowej i pozyskanie nowych nabytków do kolekcji zgromadzonej przez Muzeum po poprzednim konkursie.

Zaproszenia do udziału i regulaminy otrzymało 213 garncarzy na terenie całego kraju. Udział w konkursie zgłosiło 100 osób. Ostatecznie zgromadzono 2023 prace od 69 garncarzy z 40 ośrodków. Jak widać konkurs nie objął wszystkich czynnych pracowni garncarskich, a przyczyny tego były różne. Część warsztatów bowiem ogranicza się obecnie do wyrobu niemal niezdobionych doniczek na kwiaty, część garncarzy nie była w stanie zaopatrzyć się w potrzebne w tym przypadku polewy czy glazury, inni wreszcie nie podjęli tego zadania ze względu na zły stan zdrowia, który nie pozwala na toczenie dużych naczyń użytkowych.

Cały materiał konkursowy można w zasadzie podzielić na dwie podstawowe kategorie, które ułatwiają porównywanie ze sobą prac o zbliżonym charakterze i cechach: siwaki i biskwity oraz ceramika glazurowana (zdobiona różnymi technikami). Najliczniej reprezentowane były w konkursie ośrodki garncarskie północno-wschodniej

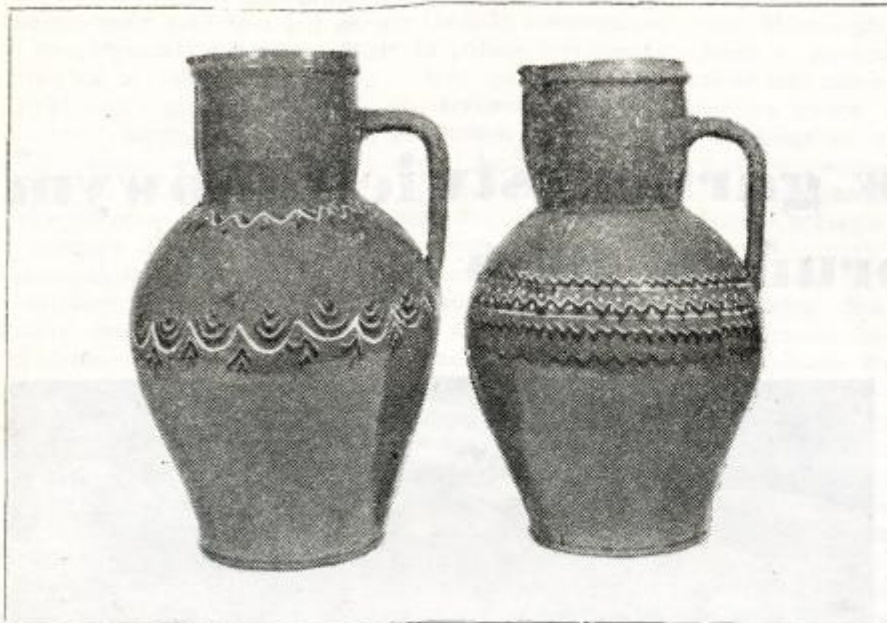


Ryszard Necel, Wyroby ceramiczne, Chmielno, woj. gdańskie

Polski (Fodlasie), południowo-wschodniej (Lubelskie, Rzeszowskie) i Polski centralnej (Mazowsze, Kieleckie). Wśród nadesłanych wyrobów przeważała ceramika glazurowana, zdobiona przeważnie małaturną, ale również innymi technikami (np. ryt, flamerowanie, fladrowanie, nalepianie). Nagrodą pierwszą Ministerstwa Kultury i Sztuki, wyróżniono w tej grupie naczynia Ryszarda Necla z Chmielna (Kaszuby). Tym razem (w odróżnieniu od poprzedniego konkursu) garncarz przygotował imponującą kolekcję naczyń typowych dla tego wielopokoleniowego już warsztatu, stosując barwne polewy i doskonałej jakości glazury. Tradycyjne „neclowskie” motywy zdobnicze (kwiat tulipanu, gwiazda kaszubska, wianek czy rybia łuska) szczególnie dobrze podkreślają urodę dużych naczyń jak: dzbany, misy i wazon. Jeżeli garncarz ten poradzi sobie z zaopatrzeniem przede wszystkim we właściwe kolorystycznie angoby, to sędzię należy, iż jego wyroby mają szansę osiągnąć poziom artystyczny kaszubskiej ceramiki z czasów Leona Necla (ojca) czy dziada Franciszka Necla. Drugą I nagrodę w tej kategorii, przyznaną z funduszy Cepelii, otrzymał Andrzej Ruta z Medyni Głogowskiej — garncarz o renomie ustalonej już od lat. Jest on

przede wszystkim niedoścignionym mistrzem w zdobieniu naczyń ginałą już techniką fladrowania. Podobnie jak w 1978 r., tak i tym razem zestaw jego wyrobów był niezwykle bogaty, a tradycyjne formy dzbanków i miski zdobione wspomnianą techniką przy użyciu barwnych, kontrastowych pólw (głównie zielono-białe) nie znalazły żadnych konkurentów w tak dużym ośrodku, jakim jest Medynia.

Jedynie jeszcze Jan Kot, który otrzymał II nagrodę, dobrze sobie radzi z tą trudną techniką, co szczególnie daje się zauważyć na różnej wielkości miskach. Przygotował on na konkurs największy zestaw naczyń (ponad 200 szt.) od dużych form użytkowych do drobnej dekoracyjnej galanterii malowanej wielobarwnymi angobami, przy pomocy typowego rożka. Jest też w tej kolekcji kilka przykładów ceramiki wytwarzanej współcześnie na potrzeby lokalnego rynku, dekorowanej m.in. ornamentem nalepianym, ale są one na różnym poziomie artystycznym, chociaż pod względem technicznym doskonale, jak wszystkie jego wyroby. Zaznaczyć tu należy, iż cały komplet przygotowany przez J. Kota (nawet najmniejsze naczynia) świadczył przede wszystkim o doskonałym opanowaniu rzemiosła przez tego



Jan Kot, Dzbany, Medynia Głogowska, woj. rzeszowskie

Fot. Jan Świdorski

garncarza (staranne wytoczenie, „czysty” ornament, gładka, lśniąca glazura, bezbłędne proporcje).

II nagrodę otrzymał również Jerzy Pługowski, syn nieżyjącego już Zdzisława — ostatni kontynuator tradycji garncarskich w Pułtusku. Ten młody twórca dobrze poradził sobie z typową dla regionu kurpiowskiego, a ściślej ośrodka wyszkowskiego techniką zdobniczą, jaką jest flamerowanie. Przygotował dość dużą serię tradycyjnych naczyń, głównie dzbanki i buńki. Część z nich pokryta jest w całości podbiałą i zdobiona delikatnym, uproszczonym ornamentem z zastosowaniem wspomnianej techniki flamerowania, inne np. misy i buńki — skromnie malowane białą angobą — linie faliste, wężyki, kreski, kropki.

Kolejna II nagroda przypadła Zygrydowi Gajewskiemu z Urzędowa. Ośrodek ten, nie posiada bogatych tradycji zdobnictwa, ale garncarz wykonał duży zestaw typowych naczyń użytkowych, stosując prosty, ryty ornament. Oszczędnie położona glazura dała ciekawy efekt kolorystyczny — ciemno-czerwony czerep, glazura w odcieniach zieleni, często brązowo-rdzawe kropki — rezultat wypału. Ostatnią już II nagrodę w tej kategorii otrzymał Stefan Konopczyński z Bolimowa. Tradycje tego warsztatu znane są niewątpliwie wszystkim zajmującym się ceramiką ludową w Polsce, a biorąc pod uwagę wiek

garncarza (rok ur. 1901) należy z uznaniem spojrzeć na przygotowany przez niego komplet naczyń. Delikatna malatura z typowymi motywami roślinnymi i bolimowskim płazkiem nie jest już może tak subtelna, jak kilka lat temu, ale nadal tworzy doskonałą całość z bezbłędną formą przede wszystkim dzbanów i dużych mis.

Wśród garncarzy, którzy w tej kategorii otrzymali III nagrody wyróżnić należy szczególnie Mariana Biernackiego z Kłodawy, w woj. krośnieńskim. Decyzja wzięcia udziału w konkursie zapadła — jak się wyraził — „w ostatniej chwili” i wykonał niewielki, bo liczący ok. 20 sztuk zestaw tradycyjnych, użytkowych form, stosując prosty, ale barwny ornament, przeważnie o motywach roślinnych. Wśród jego wyrobów obok naczyń znalazły się również trzy okaryny.

III nagrodę otrzymał także Edward Gacek ze Skomielnej Białej w woj. nowosądeckim. Wykonane przez niego dzbany, dwojaki i zestaw kilku mis zasługuje na uwagę przede wszystkim ze względu na dobrą malaturę (przeważnie białozieloną). Garncarz ten, jako jeden z nielicznych, korzysta często ze starych wzorów ceramiki, zachowanych w muzeum w Rabce. Wyróżnieniem nagrodzono kilkanaście warsztatów. Wśród garncarzy kieleckich otrzymali je jedynie Leszek Seweryński, Wiesław Rokita, Stefan Sowiński, Tadeusz Połetek i Jan

Armański, co świadczy o wyraźnym obniżeniu poziomu w stosunku do konkursu poprzedniego. Dość licznie reprezentowana ceramika lubelska też znalazła się przede wszystkim w grupie wyróżnień — Antoni Kozioł z Putnowic (poprawny zestaw dzbanków), Edward Kolodyński z Baranowa i Franciszek Chmiel z Dąbrowy Tarnawackiej — stary garncarz, który nieczęsto już siada za kołem. Przyznane zostało również jedno wyróżnienie specjalne w oddzielnej kategorii ceramiki odlewanej za dobrą i bardzo staranną adaptację tradycyjnej techniki i stylu zdobniczego garncarstwa pokuckiego na ceramice współczesnej. Otrzymał je Rudolf Gąsior z Biełska-Białej.

W kategorii siwaków i biskwytów, jak już wspomniałem, I nagrody nie przyznano, chociaż grupa tej ceramiki przygotowana na konkurs tworzyła duży zespół. Nagroda II przypadła w udziale 2 garncarzom — Józefowi Kraszewskiemu z Czarnej Wsi Kościelnej i Eugeniuszowi Cabanowi ze Szczekocin. Bardzo dobre formy i poziom techniczny zaprezentował J. Kraszewski, syn niedawno zmarłego Antoniego Kraszewskiego. Na szczególną uwagę zasługują tu trzy dużych rozmiarów naczynia, dzban, gar dwuuszny i dzieża — tradycyjnie zdobiona (właściwie gładzone, czy też polerowane) na całej powierzchni pionowymi lub poziomymi prążkami. Ten młody twórca, jeżeli tylko nie zrezygnuje z pracy przy kole garncarskim, może już wkrótce sięgnąć nawet po najwyższe nagrody. Natomiast E. Caban, to jedyny już obecnie garncarz w tak dużym ośrodku, jakim były dawniej Szczekociny. W poprzednim konkursie otrzymał III nagrodę, a na obecny wykonał cały szereg tradycyjnych naczyń, o ciemnoszarej, niemal matowej powierzchni, typowych dla jego warsztatu. Były to przede wszystkim jedno i dwuuszne garnki, dzbanki, dzieżki i donice, które zyskały wysoką ocenę jury.

III nagród w tej kategorii przyznano aż cztery: garncarzom z Zalesia w woj. rzeszowskim — Janowi Wosiowi, Bolesławowi Pankowi Bolesławowi Jurkowi, Walentemu Grzesikowi i Franciszkowi Lewkowiczowi z Bidaczowa Starego w woj. zamojskim. Niestety, siwaki rzeszowskie również ocenione zostały niżej w stosunku do poprzedniego konkursu. Wszyscy ci garncarze przygotowali poprawne kolekcje na-

czyn o tradycyjnych formach i zdobieniu (wyglądanie całej powierzchni, pionowe układy linii prostych, falistych, kratki), wypalone na siwo, z ładnym srebrzystoszarym połyskiem, ale niestety nikt z nich nie osiągnął jeszcze takiego mistrzostwa, jakie cechowało wyroby Jana Gąsiora — najlepszego niegdyś garncarza w tym ośrodku.

Wyróżnienia wśród siwaków podzielił między sobą garncarze z Podlasia — Bolesław Piechowski (poprzednio I nagroda), Tadeusz Piechowski i Aleksander Ancutko z Lubelszczyzny — Jan Kwiatkowski i Kazimierz Wanarski z Pawłowa oraz Czesław Grzesik z Zalesia. Dwa wyróżnienia w tej kategorii przypadły również Wacławowi Górczyńskiemu z Ostrowca Świętokrzyskiego i Wacławowi Snieciowi z woj. płockiego za zestawy naczyń biskwitowych. W. Górczyński, który poprzednio wyróżniony został II nagrodą, tym razem przygotował niedużą kolekcję głównie współczesnych wyrobów, produkowanych masowo na okoliczne rynki. Cechują je dobre proporcje, staranne wykonanie i tradycyjny, malowany ornament (linie proste, faliste w kolorze białobrązowym oraz ryt tzw. „grzebykowy”).

Oceniając w skrócie efekty konkursu podkreślić należy, iż założone w regulaminie cele w większości zostały spełnione. Konkurs objął niemal wszystkie ważniejsze ośrod-

ki (czynne aktualnie) i pozwolił zapoznać się z wieloma problemami nurtującymi garncarstwo ludowe, z prawie wszystkimi kłopotami i niedomaganiem tego rzemiosła.

Sukcesem jest również fakt, że konkurs spotkał się z szerokim zainteresowaniem wśród garncarzy. Prawie wszyscy potraktowali jego warunki bardzo rzetelnie, przygotowując reprezentatywne dla swoich warsztatów kolekcje. Przeważały naczynia o typowych, tradycyjnych dla poszczególnych regionów i pracowni motywach zdobniczych. Podkreślić też należy, że w ubiegłorocznym konkursie wzięło udział kilku nowych garncarzy ze znanych już ośrodków (np. B. Panek — Zalesie, A. Szutko — Czarna Wieś Kościelna), jak również garncarze z ośrodków, które nie uczestniczyły w konkursie w 1978 r. (np. M. Biernacki — Kłodawa, F. Chmiel — Dąbrowa Tarnawacka). Z żalem też odnotować należy, że z grona garncarzy odeszło (z powodu zgonu lub utraty zdrowia) kilku bardzo dobrych rzemieślników — J. Gąsior z Medyni Głogowskiej, A. Kraszewski i S. Mosiej z Czarnej Wsi Kościelnej i C. Latoszek z Pułtuska.

Muzeum Etnograficzne w Toruniu uzyskało bardzo cenne informacje o aktualnym stanie garncarstwa ludowego na terenie Polski i znacznie powiększyło kolekcję ceramiki ludowej liczącą już ponad 5500 sztuk.



Szabasówka — siwak

Fot. Jan Świdorski

WŁADYSŁAW SITKOWSKI

Madonna leśna

Nawet dziadek nie pomni
Twego narodzenia
a Ty wciąż strzeżesz
tych dróg rozstajnych
na których krzyżowały się
wojenne bezdroża

Zakłęta w zmurszałej kapliczce
z zafrasowanym licem
spalonym ogniami dziejów
wsparta na postumencie
zbroczonej żywicy sosny

W wizerunku Twoim
zatopione
wszystkie tajemnice
leśnych rozważań
okrytych grubymi mchami
z cierniową boleścią

Przychodzę do Ciebie
Madonno ciszy leśnej
na te drogi krzyżowe
z drogowskazem
Twojego spojrzenia
by złożyć wiązanek wrzosów
przepasaną promieniem słońca

WŁADYSŁAW SITKOWSKI

Siostry moje

Moja ty siostrzo brzozowa,
Dziewico smutnych zdarzeń,
Takaś ty pełna zadumy,
Siostrzo mych leśnych marzeń.

Jodło ty moja strzelista,
Co chronisz bór od wichury
I modły wznosisz do niebios,
Boś pobożnością z natury.

Sosno, królowo Roztocza,
Kolebko moja żywiczna,
Ty bursztynowy klejnocie
Zawsze pachnąca i śliczna.

Stoję przed wami i patrzę
I serce me wali z trwogi,
Zanućcie tę leśną symfonię,
By czas nie zwałił was srogi.

Pamięci

prof. Józefa Burszty

U mawiałem się z Profesorem Bursztą na dłuższą, spokojną rozmowę o kulturze chłopskiej przy okazji Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu, któremu od lat wiernie towarzyszył jako juror. Tuż przed rozpoczęciem festiwalu, w połowie czerwca, przysłał do organizatorów kartkę z informacją, że czuje się niezbyt dobrze i tym razem w pracach jury nie będzie mógł wziąć udziału. Z przekazu rodziny wiem, że „zwolniony” na parę dni ze szpitala do domu, w dniu rozpoczęcia festiwalu niecierpliwie oglądał wszystkie dzienniki telewizyjne bezskutecznie oczekując wśród lawiny często błahych informacji choćby małej wzmianki o tej wielkiej imprezie. Nie doczekawszy się żadnego przekazu, nieco poirytowany chwycił nawet za kartkę i długopis, by dać wyraz swemu oburzeniu w liście skierowanym do kierownictwa TV. Po namyśle jednak zrezygnował. Był już za słaby. W tym małym zdarzeniu przejawiał się cały Profesor Burszta, bez reszty oddany sprawie wsi, jej kulturze i ludziom, żywo reagujący na wszystko, co istotne, związane ze wsią — nawet w ciężkiej chorobie.

Wkrótce radio i telewizja poinformowały o Jego śmierci. Nie będzie już ani wywiadu, ani rozmowy. Piszę te słowa z osobistym smutkiem, należał bowiem do ludzi, których brak odczuwa się dotkliwie. Nawet przy sporadycznych, rzadkich kontaktach pozostawiał po sobie pewien rodzaj przyjaźni, życzliwości i gotowości służenia swoją osobą oraz wiedzą. Tak też było i przy narodzinach Stowarzyszenia Twórców Ludowych, w którym później, przez długie lata był wiceprzewodniczącym Rady Naukowej. To niemało mieć oparcie czy potwierdzenie w rzeczywistym autorytecie, korzystać z dojrzałej myśli i doświadczenia. Tego autorytetu zabraknie nam najbardziej, zabraknie usmiechu i życzliwego zainteresowania.

Prof. Józef Burszta, etnograf i socjolog, badacz historii kultury wsi i historii gospodarczej urodził się 17 kwietnia 1914 roku w Grodzisku Dolnym. Studiował na uniwersytetach warszawskim i poznańskim. W latach 1937—39 pracował w Państwowym Instytucie Kultury Wsi w Warszawie. Po wojnie wykładał w Uniwersytecie Łódzkim jako zastępca profesora a następnie od 1959 roku w Uniwersytecie Poznańskim, gdzie w 1966 roku uzyskał tytuł profesora zwyczajnego.

W 1961 roku podjął wielki trud pomnikowego wydania „Dzieł wszystkich Oskara Kolberga” (66 tomów), jako redaktor naczelny Komitetu Redakcyjnego. Od 1967 r. redagował „Lud” — organ Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, był także członkiem redakcji „Ethnologia Slavica” w Bratysławie i „Ethnomedizin” w Hamburgu. Słowackie Towarzystwo Etnograficzne

i Węgierskie Towarzystwo Etnograficzne, w uznaniu międzynarodowego znaczenia dorobku naukowego, przyznały prof. Józefowi Burszcie członkostwo honorowe. Podobne znaczenie miała wiedeńska nagroda Herdera, a także liczne nagrody krajowe, m.in. Nagroda im. Oskara Kolberga i Główna Nagroda Wielkopolskiego Towarzystwa Kultury. Profesor Burszta został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Pozostawił po sobie ponad 320 publikacji naukowych, wśród których na podkreślenie zasługują następujące opracowania książkowe: *Wież i karczma* (1950), *Spółczesność i karczma* (1951), *Szkice z dziejów wsi* (1955), *Od osady słowiańskiej do współczesnej wsi* (1958), *Kultura ludowa Wielkopolski* (1960), *Stare i nowe w kulturze koszalińskiej* oraz dwa ostatnie dzieła syntetyczne — *Kultura ludowa — kultura narodowa* (1974) i *Chłopskie źródła kultury* (1985). Przyjdzie nam do nich niejednokrotnie wracać.

Mimo ogromu pracy naukowej i dydaktycznej, potrafił znaleźć jeszcze czas na uczestnictwo w życiu społeczno-naukowym i społeczno-kulturalnym. Przewodniczył Komitetowi Nauk Etnologicznych PAN, był członkiem kilku rad naukowych, m.in. pełnił funkcję przewodniczącego Rady Naukowej Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie, brał udział w pracach jury imprez folklorystycznych w kraju i za granicą.

Od wczesnej młodości czynnie uczestniczył w ruchu ludowym. Przed wojną działał w ZMW RP „Wici”, po wojnie był członkiem SL i ZSL. Należał do grona ludowców, którzy swoje życie i pracę traktowali, jako dojrzałą służbę wsi.

Można by zakończyć, to nieco wspomnieniowe słowo, konwencjonalnym zwrotem — nauka polska poniosła wielką stratę. Byłby on nad wyraz prawdziwy ale niepełny. Profesor Józef Burszta, tytan pracy, umysłowość o szerokich horyzontach, był jednocześnie bardzo ludzki, skromny, „dostępny”, wychodzący naprzeciw innym bez cienia pozycji, oschłości czy zrozumiałego nawet dystansu. Był po prostu wielkiego formatu człowiekiem wnoszącym swoją osobowością ożywczy, twórczy nurt nie tylko do nauki ale i do życia; do środowisk, które miały okazję zetknąć się z nim bliżej czy nawet przelotnie. Dlatego będzie nam Go bardzo brakowało, dlatego rzeczywiście nauka polska, kultura, ruch ludowy i wieś polska poniosły wielką stratę w wymiarze społecznym, a dla wielu — i osobistym.

STANISŁAW WEREMCZUK

MELANIA BURZYŃSKA

Opowieść wigilijna

I

Wszyscy we wsi mówili, że stara Bartczycha jest złą macochą. Gdy Bartkowi umarła żona, zostało dwoje dzieciaków: pięcioletni Jasek i trzyletnia Ewka.

Ciężko było Bartkowi z dziećmi — ni to jeszcze do roboty, ni samych w domu zostawić, by nie zrobili jakiej głupiej psoty czy nieszczęścia. Ale — jak to głosi przysłowie: przez ludzi do ludzi... Znajomi wyswatali mu babę z drugiej wsi, akurat też wdowę i też z dwojgiem dzieci, tylko o rok starszych. Mówią — nie będzie gadała, że na twoje dzieci robi, bo będzie po równemu. No i Bartek się ożenił z babą.

Rok już upływał od owego ożenku. Bartek widział, że jego dzieci coś takie osowiały i mizerne, ale na pytania, czy nowa matka je bije, odpowiedziały:

— Nie.

— A czy daje jeść?

— Daje.

To, że przy tym spuszczały oczy, jakoś uchodziło uwadze Bartka, a jeśli czasem co pomyślał, to kładł na karb smutku po stracie matki. One zaś wiedziały, co je czeka od macochy, gdyby się poskarżyły.

A macocha — oho! Miała już swoje wyliczenie. Gdyby dzieci Bartka nie było, jej synowi przydałoby się całe gospodarstwo, a córce większy posag. A tak, one są pierwszymi u ojca dziedzicami. Uplanowała więc szatański plan.

Gdy nadszedł wigilijny dzień, a Bartek tego dnia pojechał na drugą wieś do siostry pomóc w gospodarstwie, bo szwagier był chory, Bartkowa zawołała Jaska i Ewkę i tak im mówi:

— Macie tu postronek i sanki. Idźcie do lasu, nazbieracie chrustu, to w święta lepiej w chacie napalimy, by było ciepłutko.

A trzeba wiedzieć, że mróz był tęgi.

— Tylko mi nie wściecie się bez drzewa wracać — do-dała macocha.

Dzieci wiedziały co to znaczy wrócić bez drzewa. Znow będzie ich w tajemnicy przed ojcem głodzić i bić. Ona zaś wiedziała, że w lesie wszelkie gałązki zasypał śnieg i dzieci nic nie znajdą.

Poszły więc dzieciaki Bartka z sankami, które nawet puste trudno było uciągnąć po głębokim śniegu. Z trudem, zziębnięte dotarły do lasu. Łażą, łażą, a tu nic, ani patyka, ani gałązki. Ale poczuły, że w lesie trochę ciepiej, więc zagłębiały się weń w nadziei, że dalej może coś znajdą. Zamiast chrustu zobaczyły pod drzewem wiewiórkę, która umknąwszy na sosnę skakała po gałęziach, z drzewa na drzewo. Dzieci, urzeczone i ucieszone niezwykłą zabawą, szły za nią coraz głębiej w las zapomniawszy o celu swojej wyprawy.

Zaczął padać śnieg, zasypując ślady. Dzień zimowy był krótki. W lesie jeszcze prędzej się kończył. Gdy dzieci spostrzegły, że zaszły za daleko, Jaś pierwszy oprzytomniał.

— Ewuś, co zrobimy? Wracać pora, a my nie nie nazbieraliśmy. Macocha zbije.

— E tam! Już tatko będzie w domu, to nie da bić. Wracajmy.

Gdy chciały wracać po swoich śladach, okazało się, że są widoczne tylko na małym odcinku, dalsze zatarta ciemność i śnieg. Głodne i zmarznęte szły bez celu, zostawiwszy sanki, bo ich już nie mogły uciągnąć. Szły, szły i płakały.

W pewnym momencie niebo zrobiło się jakby jaśniejsze, dzieci zorientowały się, że to droga. Jasek rzekł:

— O droga!

— Ale ja już iść nie mogę. Usiądźmy pod drzewem, bo mi się chce spać.

— A mnie jeść się chce strasznie, ale tu nic przecież nie ma. A tam w domu, chyba już jedzą?

— A jedzą. Kartofle z kapustą i grzybami.

— Rosolek na śledziowych łebkach, co po nie macocha wysłała mnie do karczmy Jankiela.

— Kutię z makiem!

Na wspomnienie o kutii obojgu znow łyzy popłynęły i usiedli pod najbliższym drzewem. Jasek, aby żal doszedł do zenitu, krzyknął:

— Oj, i racuchy z makiem!

Po chwili poczuł, że mała usypia.

— Ewuś, nie śpij bo zamarzniesz!

— No to co?

— To umrzesz.

— Czy to boli?

— Nie wiem, czy to boli, bom nie umierał ale chyba boli.

— A jak umrę, to pójdę do mamy?

— No, pewnie.

— A czy mama w niebie?

— Na pewno w niebie, bo była bardzo dobra.

Ucichli rozważając o niebie; gdzie jest mama, tam musi być dobrze. I tak oboje objął sen. A śnieg padał i padał, a wiatr wiał zadymką.

II

W obszernym dworze pani Cecylia chodziła niespokojnie od okna do okna, z pokoju do pokoju, to znow do kuchni, nasłuchując dzwonek janczarów. Ale na dworze tylko wiatr targał gałęzmi pobliskich drzew i śnieżycą tańczyła we wszystkie strony. Wieczera od dawna wystygła, a mąż nie wracał. Pojechał trzy dni

temu do dalszych znajomych w ważnej sprawie, obiecując wrócić najpóźniej w wigilię, w południe. A był bardzo słowny. A tu wieczór, a jego nie ma. Pani Cecylia przypuszcza najgorsze — no bo na wigilię nie wrócić do domu?

Te złe myśli przyniosły i falę żalu. Tego by brakowało: samej jeść wieczerzę z domownikami, bez tego jednego, tak drogiego człowieka. Bo nigdy najmniejszym słowem, ni gestem nie wymówił jej bezpłodności, on, który tak bardzo kochał dzieci, a więc i chciał je mieć. Czy nie dlatego tak dbał o swoich pracowników i służących, a szczególnie o ich dzieci? Wieczerza wigilijna miała być w ich gronie. W salonie ustawiono stoły, a czeladź miano zwołać na wieczerzę dzwonkiem podwórzowym.

Pani Cecylii zamiera serce. Jeszcze raz, bez nadziei zagląda w okno i woła lokaja:

— Dzwon!

Rozległ się podwórzowy dzwonek, do dworu zaczęli wchodzić ośnieżeni ludzie. Strzepywali śnieg w sieni; zaś do świetlicy — salonu wchodzili śmiało, bo państwo byli z każdym po przyjacielsku, a nie po pańsku. Pani Cecylia wskazywała miejsca starszym, lokując między nimi dzieci, a małuchów przy rodzicach. Pytała, czy nie brak nikogo?

— Tak, moi drodzy — rzekła biorąc opłatek w rękę. — Traf jakiś czy zły przypadek spotkał naszego pana, bo nie wrócił na ten uroczysty wieczór do domu. Puste są nie tylko tradycyjne miejsca, ale i jego krzesło.

Tu przerwała, bo krtań jej się ścisnęła. Otworzyła usta, by mówić dalej, wtem jej ucho uchwyciło ujadanie psa i dźwięk janczarów. Krzyknęła: — Jedzie!

III

Pechową drogę powrotną miał pan Piotr. Wyjechał od przyjaciół wcześniej, dobrze obliczywszy siły koni na te trzydzieści parę wiorst drogi do domu, by zdążyć w porę. Gdy ujechali parę wiorst, gniady zaczął kuleć. Okazało się, że zgubił podkowę. Na szczęście pan Piotr w każdą drogę zabierał ze sobą psa. Stary pies był w drodze nieoceniony. Ostrzegal i bronil przed wilkami, grzał pana nogi, gdy wlaź pod kozuch na saniach, którym były nogi okryte, wskazywał nieomylnie drogę, aportował rzucone rzeczy. Pan Piotr, zatrzymawszy konie, przywołał go do siebie, pokazał puste końskie kopyto i wskazując ręką kierunek, rzucił: — Szukaj! Pies pobiegł jak strzala, tylko tuman śniegu było widać, a Piotr ze służącym pojechali dalej, by w jakiejś wsi znaleźć kowala, co podkowę przybije. Nim dotarli do wsi, pies z podkową wrócił.

Kowal się znalazł. Rad, że mu się trafił bogaty klient, w mig przybił podkowę. Jechali więc śpiesznie dalej, pies radośnie skakał koło sanek, a pan Piotr, pewny pomyślnego powrotu, puścił wodze myślom.

Był w domu przyjaciół. Ileż tam u nich gwaru, śmiechu i powitań, gdy dwoje starszych dzieci wróciło na święta ze szkół do domu. A w domu było jeszcze dwoje młodszych — syn i córka. A on jedzie tylko do żony, ich dom jest pusty. Prawda, są jeszcze domownicy — służba. Dba o nich, kocha, ale to nie jest to samo. Oni mają swoje rodziny.

Pogrążony w smutnych myślach usnął. A tymczasem zaczął padać śnieg, zrazu lekki, a potem coraz gęstszy. Wiatr gnał zadymkę. Konie coraz to przechodziły w stępa, a pies wskoczywszy do sanek, wkręcił się pod kozuch na pańskich nogach, grzejąc je i siebie. Spał pan, może zdrzemnął się i sługa, bo gdy się pan obudził, ściemniło się prawie. Jechali lasem. Pan kazał pognać

konie, ale że śnieg zasunął grubo drogę, gniady szarpnięty do biegu potknął się i złamał dyszel.

— A niech to licho porwie! — ryczał furman.

— Cicho, nie godzi się w święty wieczór wzywać licha. Toż wilija blisko.

— Właśnie, wilija. A my gdzie ją jeść będziemy?

Gderając wszedł do lasu, by wylamać umocowanie do dyszla. Sznurki na wszelki wypadek, miał zawsze ze sobą. Furman szukał odpowiedniego kołka, a pies buszował po lesie, naszczekując czasem na harcujące wiewiórki. Gdy furman znalazł odpowiedni kołek i mocował się z nim, pies zaczął mocno ujadać, raz przybiegając do furmana, raz do sanek, to znów w jakiś pobliski krzak.

Pan Piotr, znając swojego psa wiedział, że bez przyczyny tak się nie zachowuje, wygramolił się więc z sanek i poszedł za nim. Ten prowadził go do białej kupki pod krzakiem jałowca z jednej, a drzewem z drugiej strony i zaczął ją rozgrzebywać. W nękającej poświacie nieba pan Piotr zobaczył dwoje skulonych dzieci.

— O, nieba! Walenty!

— A co tam znowu?

— Walenty, chyżo, tu dzieci!

— Kie licho?!

— Prędzej, prędzej, tu są małe dzieci!

Walenty pomyślał: „Głodnemu chleb na myśli, to mu się dzieci zwidziały, a to może jaki kamień zasypany śniegiem”. Ale szedł posłusznie, bo więcej wierzył szczerkanu psa, niż pańskim okrzykom. Zbliżywszy się do ciemnej kupy dotknął ręką:

— Naprawdę, dzieci! I to jeszcze ciepłe!

Jęli tedy zgarniać z nich śnieg, a potem trząść nimi z całej siły. Pierwszy otworzył oczy chłopiec, a widząc obcych, i to jednego z kołkiem, krzyknął:

— Ewcia! Wstawaj, zbójce!

Ale Ewcia długo nie budziła się. Uspokoiwszy chłopca, zabrano śpiącą do sanek, pod kozuchy. Pan zapalał zapalki i oglądał ręce dzieci. Były zimne ale jeszcze czerwone, bo chłopiec, nim usnął, rozcierał ręce Ewki, ze swoimi robiąc to samo. Potem kazał je prędko chować w długie rękawy matczynego kaftana, który miała na sobie.

— Cud, że te dzieci znaleźliśmy żywe!

— A tak cud, tylko że wilija już nie nasza, bo trzeba jeszcze dyszel umocować.

— Pomogę ci, Walenty, to w mig pójdzie.

Jakoż, po dobrej godzinie, znów ruszyli w drogę, lecz zawieja utrudniała pośpiech, co panu Piotrowi legło kamieniem na sercu. — Obiecałem Cecylii, że wrócę w południe — mówił do siebie. Ale radość z uratowania dzieci, stłumiła chmurne myśli. Tylko Walenty mścił swą złość za przepadniętą wigilię gnając konie co sił. Pan nie bronil mu tego ze względu na stan dzieci. I tak, po dwu godzinach, ujrzeli światła swego dworu.

IV

Pani Cecylia, usłyszawszy janczary i szczekanie psa, rzuciła opłatek na talerz i wybiegła na ganek, a za nią służąca z szalem, by się nie zaziębła. Za chwilę z sanek wyskoczył mąż, wołając sługi. Wskazał im dwa tobołki. Gdy rozwikłali je z kozuchów, ze zdumieniem zobaczyli dwoje dzieci. Ewcia zapytała brata:

— Czy my już w niebie, Jasiu?

Ten równie zdumiony odrzekł:

— Chyba tak, Ewciu!

Jeszcze nigdy mieszkańcy rozległego dworu nie mieli tak dziwnej i radosnej wigilii. Po wieczerzy pan Piotr

jął wypytywać chłopca, jako że ten był starszy, o szczegóły tej niezwyklej przygody. Dzieci nie wiedziały jak się ich wieś nazywa, wiedziały tylko, że są Bartkowe i z tej wioski, co przy tym lesie, gdzie zabiłszy. Walenty domyślił się, co to za wieś, gdyż jeżdżąc z panem, znał bliższą i dalszą okolicę. Panu chodziło o to, by jak najprędzej dać znać ojcu dzieci o ich ocaleniu, rozumiał bowiem, co on przeżywa. Dzieci przedstawiły go jako bardzo dobrego.

Kazał tedy drugiemu słudze założyć konia i gnać do owej wsi, dopytać o Bartka, co mu zginęły dzieci i powiedzieć, by się o nie nie niepokoił.

V

Zupełnie inaczej przebiegała wigilia w domu Bartków. Bartek wrócił na przedwieczorz i nie widząc w domu swoich dzieci, zapytał o nie żonę. Ta wzruszyła ramionami:

— Nie wiem. Poszły zaraz po śniadaniu, wzięły sanki. Myślałam, że chcą pojeździć, ale skoro nie przyszły, może wybrały się do swego wujka, a wreszcie, kto ich wie. Na razie siadajmy do wieczerzy.

Ale Bartkowi, bez dzieci, nie było do wieczerzy. Wdział szybko kozuch, założył konia w rozwaliny (rodzaj sań) i pognął do brata zmarłej żony, do wsi odległej o cztery wiorsty. Gdy stwierdził, że tam dzieci nie ma, gnał jak burza do domu. Macocha z dziećmi już były po wieczerzy. Wiedziała, co po powrocie Bartka może być.

Jakoż Bartek wróciwszy, złapał ją za ramiona trzęsąc okropnie.

— Gdzie dzieci?! Gdzie, gdzie dzieci?!

Gdy ona powtarzała, że nie wie, jej córka widząc, że Bartek trzęsie matką, pisnęła spod pierzyny:

— Mama ich wyprawiła do lasu, po chrust na święta, żeby w chacie było ciepło.

Bartkowi z wściekłości zbieleły oczy.

— Ty, wiedzmo! Porachuję się z tobą, kiedy indziej, dziś święty wieczór, nie wolno.

I jak stał, tak pognął do lasu.

A w lesie... Drzewa szumiały kołysane wicherem, śnieg spadał płatami z gałęzi, nigdzie ni śladu, ni widu. Hukał Bartek brodząc w śniegu po lesie, ale nawet echo mu nie odpowiadało. Zrozumiał — daremny trud. Załość ogromna weszła mu w serce i żał za zmarłą żoną. Jakże inna byłaby wigilia, gdyby ona żyła... Jął tedy z płaczem modlić się do niej:

— Nastka, Nastusia! Ty tam sobie w niebie siedzisz, a nie widzisz mego nieszczęścia i żalu. Poproś małeńkie Boże Dziecię, by się dzieci znalazły. Zdrowe.

I płakał przy tym i łkał a lży mieszając się ze śniegiem splotywały mu na kozuch, ścinając się od mrozu w twardą skorupę.

Jednak po tej modlitwie lżej mu się zrobiło. Myślał sobie: Dzieci mają na sobie obszerne kaftany po matce, to ręce schowają w rękawy. Na nogach mają „kłapy” (chodaki z drewnianą podeszwą obite rzemienną skórą). Nogi owinięte ciepło onucami. Kłapy nie spadną w śniegu, bo są przywiązane do nóg sznurkami. A do tego, dzieci przecież nie stały w miejscu, gdzieś szły. Może są gdzieś już w drugiej wsi. Przecież ich tu w lesie nie znajdzie po nocy. Jutro ponowi szukanie i ludzi się rozpyta.

Pomimo takiego rozumowania turlał się po lesie, dopóki nie poczuł słabości, bo to cały dzień głodny, zdronżony i zropaczony był. Włókł się tedy do domu, gdzie zzuwszy swoje kłapy i zdjawszy kozuch, legł w ubraniu na wyrko, bo żona spała w łóżku z dziećmi, ze strachu

przed nim. Koguty piał już trzecią zmianę. Pomimo biedy usnął jak kamień.

Sniło mu się, że Nastka przyszła z dziećmi do niego, taka piękna i uśmiechnięta i wskazując na nie rzekła: Nie bój się, upilnowałam je. Wstań, uściskaj nas. A on chciał się zerwać z radości, ale jakiś kamień ciążył mu na piersi i nie mógł się podnieść. Dopiero Nastka wzięła go za ramiona i podniosła a on usiadłszy wreszcie otworzył oczy.

Jakże był zdziwiony, gdy zamiast Nastki i dzieci zobaczył przed sobą obcą twarz młodego człowieka, który trzymał go za ręce i trząsał nimi. Puścił je zobaczywszy, że Bartek się obudził.

— Ależ wy, gospodarzu, twardoście spali. Nie dziwo ta, po takiej nocy i takim przejściu.

— A skąd ty, chłopcze, o tym wiesz, coś za jeden?

— A wiem. Nie ma czasu gadać, bom już koniom dał odpocząć i nakarmiłem je, to się prędzej gospodarzu zbierajcie. Dzieci was wyglądają. A gdzie, co i jak, opowiem w drodze.

Epilog

Szczęśliwie skończyła się tedy ta wigilijna przygoda dzieci, Bartka i pana Piotra z żoną. Można by było na tym ją skończyć, ale... Właśnie, gdyby nie owo „ale”.

Nie chcieli państwo Piotrowie puścić ojca z dziećmi do domu, prosili by razem świętowali. W święta pogwarkom nie było końca, dowiedzieli się całej historii Bartkowego życia i niedoli dzieci przy macosze, bo teraz bez strachu opowiedzieli wszystko. Pan Piotr przedstawił ich ojcu swój punkt widzenia.

— Nie mam dzieci. Skoro one są nienawistne macosze, niech zostaną u mnie, będą traktowane jak własne. Oddam je do szkół, a potem niech wybierają zawód, a jakby chłopiec chciał, to mogę mu dać dużo więcej ziemi, niżby miał u ojca. Gdybym własnych dzieci nie miał, byłby dziedzicem.

Bartkowi oczy wyszły na wierzch ze zdziwienia na takie propozycje, kręcił głową patrząc to na państwo, to na dzieci.

— Ale, no... co z żoną i moim gospodarstwem?

— A wiecie co, Bartłomieju? Za chciwość waszej żony, ukarzęcie ją tak: niech tam sama sobie teraz radzi, skoro waszych dzieci chciała się pozbyć. A wy zostańcie tutaj, u nas. Pracę dam lekką, zapłatę dobrą i będziecie blisko dzieci.

Pomyślał Bartek mało wiele, no i zgodził się, bo na żonę, po tej okropności, już by nie mógł patrzeć. Niech tam sama sobie radzi teraz ze swoimi dziećmi. Niech bierze parobka. Do pana rzekł:

— Przystaję, zostaną u was.

Zaufał panu Piotrowi, bo w czasie tych paru dni pobytu dowiedział się od służby o dobroci i szlachetności państwa. Rok przeleciał szybko, zbliżała się następna wigilia. Znowu wiele krzątaniny i wrzawy przedświątecznej, no bo dzieci były wszędobylskie i ciekawe, a pani Cecylia promieniała szczęściem, widząc ich roześmiane twarze, ale i z innego powodu. Gdy przy wieczerzy, łamiąc się oplatkiem, składała mężowi życzenia, usłyszał jej szept: Będę miała dziecko!

Nie mogli się nadziwić domownicy temu, co się nagle stało z panem Piotrem. Złapał żonę wpół i okręcił kilka razy, a potem uściskał oboje dzieci i Bartosza.

— To oni przynieśli nam szczęście — wykrzykiwał.

Gwiazdka

Czterdziestka mi dolatuje, a ja wciąż jestem samotny, nie ożeniony. Czternaście lat minęło jak umarła mi matka. Umierając nakazała bym się ożenił, bo samotny zmarnieję. Dokąd byłem jeszcze młodszy, próbowałem znaleźć sobie dziewczynę, ale bez powodzenia. Na pięciohektorowe gospodarstwo, bez nowoczesnego sprzętu, ciągnika, samochodu, bez atrakcyjnego domu, nie pokusiła się żadna.

Teraz już całkowicie straciłem nadzieję. Znajomi radzą mi sprzedać to wszystko, kupić w mieście mieszkanie i tam podjąć pracę, to wówczas żonę znajdę bez kłopotu.

Ale czy ktoś zrozumie, czym jest dla mnie ta ziemia, te kąty i cały dobytek? Czy zdołałbym od tego odejść? Wszystkie moje wspomnienia z tym są związane. Te świąteczne popołudnia, kiedy inni wzajemnie się odwiedzają, a miodzi jeżdżą na potarćcówki czy inne rozrywki! Ja biorę konia, bydło i idę z nimi w pole. Inwentarz się pasie, a ja słucham śpiewu ptaków, szumu drzew na miedzach i tej ziemi, którą bez słów rozumiem. Tak żyłem się z tą rodzicielką, że znam jej każdą piędź jak własne ręce od pracy na niej splekane. Oj, ziemi, ty moja ziemi. Szczyście ty moim jesteś i nieszczęściem. Modlę się do ciebie i przeklinam cię. Kocham i nienawidzę. A już najgorzej, kiedy święta doroczne przychodzą a ja samiuteńki, tylko ze wspomnieniami, które jak gad jadowity zżerają mi duszę i przywodzą myśl o samotnej starości.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, a myśli już ucieka do wspomnień. Staje mi przed oczami dzieciństwo. Te choinki przez matkę ubierane, kiedy ojciec jeszcze żył i kładł dyskretnie prezenty dla mnie, potem lamaliśmy się opłatkiem i śpiewaliśmy kolędy, a ja na ojcowych kolanach siedziałem. I te późniejsze, gdy już tylko matka żyła, ale stawiała to samo ojcowe krzesło przy wigilijnym stole, aby stało chociaż puste. Smutne to już były wigilie i święta, bo matka wspominając ojca płakała, ale było nas jeszcze dwoje i nawet nie wyobrażałem sobie wówczas czym jest samotność. Teraz, każdego roku ubieram choinkę. Przynoszę ją po kryjomu, żeby ludzie nie widzieli, bo jak mnie ktoś zobaczy niosącego choinkę, to się dziwi i pyta po co mi ona.

Mam trochę błyskotek, bombek, świeczek, jeszcze po matce, dokupuję cukierków i jak uniem tak ubieram. Nauczyłem się gotować najprostsze potrawy i piec ciasto w prodiżu. Nie takie dobre, jak robiła moja matka, ale da się zjeść.

Moja piętnasta już wigilia w samotności. Przygotowałem parę potraw wigilijnych, ubrałem jak mogłem najładniej choinkę, stanąłem przy stole z opłatkiem w ręku

i słucham jak u sąsiadów śpiewają kolędy. W tym smutku pomyślałem, ażeby zawołać psa do izby, nie będę się czuł taki samotny. Pies przyleciał uradowany, więc dałem mu coś smacznego do jedzenia, jednak nie śladałem do wigilii, bo czułem w sobie potrzebę przełamania się z kimś opłatkiem. Stojąc tak przy stole z opłatkiem w ręku widziałem siebie małego w kolysce, najczęściej w tej izbie obok stołu stojącej. I rodziców przy stole, a dalej, w tym samym miejscu co teraz — choinkę.

Naraz przypomniałem sobie, że ta moja kolyska jeszcze jest na strychu i straszny żal ścisnął mi serce. Moje dziecko nie będzie się w niej kołysać i nigdy go nie będę miał, nigdy. Rozumiałem, że muszę w sobie zdławić takie myśli i słysząc, że u sąsiadów śpiewają „Bóg się rodzi...”, włączyłem się do tego śpiewu. Śpiewałem z początku cicho, potem coraz głośniejsze, jak gdybym tym śpiewaniem chciał zagłuszyć ciężar samotności i wspomnień. Naraz, jakby z chęci uczestniczenia w tym moim śpiewie, zawył pies żalonym, prawie ludzkim głosem. Tupnąłem na niego, aby umilkł. Potem już tylko cicho nucąc popadłem w jakieś złudne marzenia. Zdawało mi się, że tuż obok mnie stoi ta dawna moja kolyska, a w niej leży dziecko i uśmiecha się patrząc na choinkę. O, jak bardzo chciałem zatrzymać to złudne widzenie. Bałem się otworzyć oczy, aby nie zginęło. Z rozpaczliwym całej duszy uporem, błagałem nowo narodzonego Jezuska, aby to moje upragnione zwidzenie ucieleśnił. I wtedy błysnęła mi myśl, że skoro jest dziecko, to musi być i matka, a więc żona. Tak. Stoi tuż przed nim i patrzy na niego. Tak, na pewno patrzy, i czuję, że to już nie marzenie — to intuicja. Boję się jednak otworzyć oczy, bo wydaje mi się, że powrót do tego, co było stałoby się nie do zniesienia. Stoję tak z zacisniętymi powiekami, spod których jak groch grube łzy płynące po twarzy spadają na ręce z opłatkiem.

Nie wiem jak długo trwałem z tym modlitewnie potęgującym się we mnie pragnieniem ucieleśnienia zwidów. Wreszcie do kresu sił wyczerpany otwieram oczy i widzę wpatrzoną we mnie zza okna, zapłakaną twarz młodej kobiety. W jednej chwili odzyskałem świadomość, wybiegłem do niej.

— Dlaczego pani płacze? Co pani tu robi? Bardzo proszę, niech pani wejdzie, bo jeszcze u mnie nie było wigilii. Tak jakbym na panią czekał.

— Co panu było? Dlaczego pan tak stał? Skąd te łzy i drżenie rąk? Boże, co się z panem działo, tak nie można! To było straszne.

— Jesteś już od piętnastu lat sam i trochę się rozczuliłem w ten wigilijny wieczór.

Weszliśmy do izby. Pomogłem jej zdjąć palto, usadowiłem przy stole. Milczeliśmy. Wszystko stało się tak nagle, nieoczekiwanie, nie mogłem uwierzyć, że nie jestem sam. Dotknąłem delikatnie jej ramienia pragnąc upewnić się, że to nie złudzenie. Drgnęła. I znów zaczęła mówić, powoli, wyraźnie, spokojnie, jak się mówi do kogoś bardzo bliskiego, z kim przeżyło się wiele lat...

— Nazywam się Krystyna. Jak daleko sięgam pamięcią w dzieciństwo, zawsze byłam w domu dziecka, a słowo matka przez długi czas było dla mnie jakby tajemniczą przechwałką. Dzieci, zaraz z rana, po przebudzeniu się płakały, albo trwały w smutnym zamyśleniu. A potem cicho mówiły do siebie: dzisiaj przyjdzie po mnie mama i zabierze do domu. Dom też był dla mnie czymś niezrozumiałym, a wieczorem przed snem, kiedy już musiało być cicho, dzieci z modlitewnym przejęciem szeptały w ucho jedne drugim o tym, jak piękne są ich mamy. W dniu odwiedzin do niektórych dzieci ktoś

przychodził, rodzice, dalsza rodzina, ale do mnie nikt nigdy nie przyszedł. Jeden raz tylko zabrali mnie jacyś ludzie na wigilię i święta. Wówczas poznałam co to jest dom i rodzina. Od tego czasu i ja wyśniłam sobie bajeczkę o swojej mamie, tacie i domu. Bajeczkę tę często wszystkim wokół opowiadałam, zmieniając ją w pewnych szczegółach, gdy sądziłam, że będzie bardziej atrakcyjna. I tak rosłam, jak wyrzucone z gniazda pisklę łaknące nieznanego mi matczynego ciepła. Gdy zaczęłam chodzić do szkoły i miałam codzienną styczność z dziećmi wychowywanymi w normalnych rodzinach, poznawałam ogrom swojego upośledzenia. Dzieci te okazywały nam, jak nas nazywano — „podrzutkom”, lekceważenie i pogardę. Bolało mnie to ogromnie, ale postanowiłam przynajmniej w nauce wykazać, że jestem lepsza od nich i po pewnym czasie byłam jedną z pierwszych uczennic w klasie. To znacznie poprawiło atmosferę wokół mnie. Skończyłam podstawówkę i ogólniak z dobrym wynikiem, zdałam maturę i chciałam jak najprędzej usamodzielnic się i zacząć pracować. Dostałam skierowanie do pracy w zespole adwokackim i bardzo się tym ucieszyłam, ponieważ przy pomieszczeniach tego zespołu był wolny mały pokój, w którym pozwolono mi zamieszkać. Od tego czasu zaczęłam żyć jak inne młode dziewczęta, bez tego piętna, jakie ciążyło na mnie w domu dziecka. Parę lat upłynęło mi na poznawaniu normalnego, ludzkiego życia. Często chodziłam do teatru, kina, kupiłam sobie trochę ładniejszych ciuszków i stałam się, jak mi często mówiono, ładną, interesującą dziewczyną. Aż przybył do tego zespołu młody, bardzo przystojny i miły adwokat, który od samego początku okazywał mi przychyłność. Pod pozorem, że ma jakąś pilną pracę, pozostawał po godzinach i kiedy już nikogo nie było, przychodził do mnie, do mojego pokoju. Stało się to najgorsze. Zakochałam się w nim swoją pierwszą, dziewczęcą miłością, poza nim nie widziałam świata. Przyrzekał mi małżeństwo i wspomniał przyszłość. Trwało to około pół roku, aż przyszła wiadomość, że kupił sobie mieszkanie i sprowadził żonę z dwojgiem dzieci. W chwili, kiedy się o tym dowiedziałam, zawalił się mój tak naiwnie sklecony świat. Znalazłam się w jakiejś bezbrzeżnej próżni, w której oddychało się nie powietrzem, a bólem tak potwornym, że jedynym ratunkiem wydawała się być tylko ucieczka od życia. Na pół przytomna, prawie nieświadoma tego co robię, powodowana nieznanym mi wewnętrznym nakazem, spakowałam swoje rzeczy i poszłam na stację kolejową. Bez biletu wsiadłam w pierwszy pociąg, który stanął na peronie i pojechałam nie patrząc nawet dokąd on jedzie. Nie pamiętam jak długo jechałam, wiedziałam tylko, że muszę uciekać od niego jak najdalej, aby swym postępowaniem nie przysporzyć nowych wychowanków domu dziecka, bo czułam swoją bezsilność wobec niego. Wreszcie, na większej trochę stacji, wysiadłam nie zastanawiając się nawet, gdzie jestem i co tu będę robić. Gęstniał zimny, jesienny mrok, a ja stałam z walizkami na peronie jakby w półśnie, chociaż wszyscy ludzie dawno już rozeszli się. W pewnej chwili poczułam na ramieniu czyjąś rękę i otworzyłam oczy. Stał przede mną wąsaty staruszek w kolejarzkiej czapce. Popatrzył mi wnikliwie w oczy i cicho poprosił, abym z nim szła, bo na pewno jest mi zimno. Zaprowadził mnie do stojącej w pobliżu budki kolejowej przy przejeździe, kazał usiąść, ustawił w kącie moje walizki i oświadczył, że za chwilę będzie gorąca kawa z mlekiem, tylko zagrzeje na piecyku. Chciałam coś mówić, ale poglaskał mnie delikatnie po głowie mówiąc: „Cichutko, gołąbeczko, cichutko. Jesteś teraz za bardzo nieszczęśliwa, aby coś mówić. Za godzi-

ną kończę służbę, pójdziemy do mnie, tu niedaleko, żona już pewnie czeka z obiadem. Pojesz sobie i razem zastanowimy się jak ci pomóc”.

Nie sposób tego ująć w słowa, jak bardzo ten staruszek pomógł mi uratować w sobie słowo człowiek. Rano poszłam do wydziału zatrudnienia i przyjąłam zaproponowaną mi pracę na poczcie, w miejscowości oddalonej prawie o 20 kilometrów. Zaraz tam pojechałam i zostałam przyjęta. Przydzielono mi pokój w jakimś pofolwarcznym, wielorodzinnym domu z dymiącym piecykiem i żelaznym, zardzewiałym łóżkiem. Pracy na poczcie nie było zbyt dużo, a wynagrodzenie niskie. Najgorsze, że czułam się bardzo samotna, bo ludzie odnosili się do mnie nieufnie. Nadeszły święta Bożego Narodzenia. We wszystkich domach przygotowywano się, przynoszono choinki z pobliskiego lasu, sklep oblegany był od rana do wieczora, a ja patrzyłam jak istota nie z tej planety i byłam jakby niemy świadkiem tych poczyną. Ponieważ nie miałam telewizora ani radia, czasem wychodziłam wieczorem, gdy była ładna pogoda, aby się trochę przejść. Przy okazji znalazłam prawdopodobnie porzuconą, bardzo nieciekawą choinkę i przyniosłam ją do swego pokoju. Następnego dnia kupiłam parę bombek i świeczek, a gdy przyszła wigilia ubrałam ją. Wszystko, co się działo u sąsiadów, w moim pokoju było dobrze słyszalne — chciałam czy nie chciałam musiałam wysłuchiwać przygotowań do wigilii. Gdy gospodyni powiedziała: „No, ojciec, siadamy”. Ewa zaczęła prosić: „Mamusiu, ja pójdę i panią Krystynę poproszę do nas na wigilię. Ona jest sama a pani w szkole mówiła, że w wigilię nie wolno nikogo samotnego zostawić”. „Obejdzie się — krzyknęła matka — a pani jak taka dobra, to niech ją do siebie zaprosi. Widzisz ją, jaka litościwa. Chyba, że chcesz aby ci ojca zbalamuciła. Wychowywana w domu dziecka, wiadomo, co taka potrafi”.

Słowa te czułam jak uderzenia zadane w tył głowy. Aż wszystko ucichło, zniknęło. Pamiętam tylko coś jak dalekie, kościelne dzwony czy śpiewy, błakające się po bezkresnej ciszy, wypełnionej jakby szarą watą, zasłaniającą mi świat. Bardzo powoli wracała do mnie świadomość. Miesiące upływały a ja wciąż trwałam w tym odrętwieniu nie zdając sobie sprawy z tego, że znajduję się w szpitalu psychiatrycznym, w małym pokoiku, sama jedna. Mechanicznie spełniałam wszystko, czego ode mnie żądano, a myśl jakby nieobecna, drzemała w głębinach mózgu.

Pierwsze co zapamiętałam z tego okresu, to siwe włosy i stalowe, wnikliwe oczy doktora, zawsze uśmiechniętą pielęgniarkę i starszą kobietę, która mi usługiwała. Wreszcie, przez zakratowane ale szeroko już otwarte okno, wstąpiła do mojego pokoju wiosna, pełna zielonych, zza okna patrzących drzew. Całkowitego już przebudzenia mojego umysłu dokonało kukanie kukulki. Przez miesiąc jeszcze przebywałam w cudownie pięknym sanatorium a po powrocie miałam bardzo długą rozmowę z doktorem, który wydał mi się wtedy jednym z najlepszych z ludzi. Do wioski, w której pracowałam poprzednio już nie wróciłam. Przywieziono mnie do pracy na tej waszej poczcie i tuż obok, otrzymałam pokój. Chociaż doktor bardzo mi to zalecał, nie umiałam nawiązać bliższych kontaktów z tutejszą młodzieżą. Gdy ktoś na mnie spojrzał, zdawało mi się, że wie o tym, iż byłam w zakładzie psychiatrycznym i sprawdza moje zachowanie. W takim nastroju, gdy ktoś próbował nawiązać ze mną rozmowę, poza urzędowymi sprawami, po

prostu traciłam głowę. Tak zeszło mi lato i jesień. Podczas tego czasu jedyną moją rozrywką było chodzenie do lasu na jagody, na grzyby. Jak już zbliżały się święta Bożego Narodzenia to czułam w sobie z każdym dniem wzmagający się niepokój i modliłam się w duchu, aby na te święta ktoś mnie do siebie zaprosił. Już nie starałam się o choinkę i nie robiłam żadnych zakupów. Po prostu nie chciałam czy bałam się o świętach myśleć. Dzisiaj, po powrocie z pracy, postanowiłam umyć się i zaraz położyć spać z nadzieją, że wigilijny wieczór prześlę. I naprawdę zasnęłam ale nie na długo. Po przebudzeniu, usłyszałam dalekie śpiewanie kolęd, więc szybko schowałam głowę pod kołdrę zmuszając się do ponownego zaśnięcia.

Nie mogłam jednak schować się przed wspomnieniami sprzed roku, które osaczyły mnie jak żywe i już po chwili czułam w sobie rosnący kłęb dławiącego bólu. Boże, żeby nie krzyczeć! Wtedy błysnęła mi myśl — uciekać. Daleko od ludzi, aby jak już nie wytrzymam, nikt mnie nie słyszał a potem niech dzieje się co chce. Jak mogłam najszybciej ubrałam się i wybiegłam na ulicę. Biegłam prawie bez tchu, aby jak najdalej od ludzi i modliłam się jakimś ognistym żarem duszy do nowo narodzonego Jezuska, aby pozwolił mi dotrzeć do końca wsi i nie krzyczeć. Ktoś przebrany za Mikołaja, z workiem na plecach, przeszedł mi drogę. Grupka dzieci przebiegła od domu do domu a ja, uciekałam, aby jak najdalej od ludzi. Już domy stoją coraz rzadziej. Boże, żeby chociaż do tego tam drzewa dobiec. Już resztką tchu dopadłam tego świerka, objęłam go ramionami i przyciskam usiłując zdławić w sobie wyrwywający się już krzyk.

Wtem z tego domku dobiegł mnie przenikliwie żalony śpiew kolędy, potem jakiś żalony skowyt i cisza. Patrzyłam w to oświetlone okno z myślą, że jest tu ktoś bardzo nieszczęśliwy, potrzebujący pomocy. I naraz, sama nie wiem jak to się stało, ustąpił dławiący kłęb z piersi a jego miejsce zajęła troska o to, co dzieje się w tym domku. Podchodzę więc do tego okna i widzę

pana stojącego przy zastawionym stole, z opłatkiem w rękach, z zamkniętymi oczami. I te lzy...

Gdy skończyła, wzięłam ją za rękę i zapytałam:

— Czy wiesz, Krystyno, że to ten pies swoim skowyttem wołał ciebie na wigilię? To on sprawił, że nie jesteśmy samotni, bo mamy siebie nawzajem. Chodź, Burek, jesteś naszym wybawcą.

Burek, powoli, z jakąś psią powagą, podszedł do mnie, uniósł się, oparł przednie łapy na moich kolanach i patrzył mnie, to znowu jej w oczy swoją, po psiemu szczera, wiernością.

— Nie powiedziałem ci jeszcze, Krystyno, że nazywam się Wladek i tak do mnie mów. Zaraz zasiądziemy do wigilli, tylko wszystko już wystygło i trzeba podgrzać.

Zajęliśmy się tym oboje i po chwili łamaliśmy się opłatkiem życząc sobie szczęścia.

— Wiesz, Krystyno, dlaczego miałem lzy w oczach? Zwidziało mi się, że kołyska, w której ja się kiedyś kołysałem stała tu, gdzie kiedyś, a w niej było moje dziecko. I tak strasznie tego zapragnąłem. Kiedy otworzyłem oczy od razu zobaczyłem ciebie. Jesteś więc, Krystyno, najdroższą gwiazdką, jaką kiedykolwiek ktoś otrzymał.

Przytuliła się nagle do mnie powtarzając cicho, z zażenowaniem ale i czułością:

— Na drugą gwiazdkę wszystko już będzie.

— Wszystko — powtórzyłem za nią bezwiednie, bo nagle poczułem się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

— I na każdą wigilię będziemy zapraszać kogoś samotnego — dodała z prośbą w głosie.

Z daleka, gdzieś z głębi wsi doleciała nawracająca melodia kolędy. To młodzi szli na Pasterkę. Nie unawiając się podjęliśmy pełną piersią:

Cóż masz niebo nad ziemią,
Bóg porzucił szczęście Swoje,
Wszedł między lud ukochany
Dzieląc z nim trudy i znoje...

Śpiewając, zapaliłem świeczki na choince, od czter-nastu lat pierwszej, prawdziwej choince w moim, nie, w naszym domu.



Janina Guska, Wigilia, rzeźba ceramiczna, Denków, woj. rzeszowskie

Powozownictwo

Pierwsi nasi ojcowie nie jeździli cugiem, lecz konno cwałowali, chodzili za plugiem.

Tak nieznany, staropolski poeta wyraził wierszem naszą najwcześniejszą i powszechną sytuację pojazdów konnych. Nie znaczy to jednak, że w Polsce nie znano ich i nie używano, wszak mieliśmy Piasta Kołodzieja. Wozy były używane, produkowano je do przewożenia ciężkich towarów a w podróży posługiwano się koniem wierzchowym. Nawet kobiety i duchowni przyzwyczajeni byli do podróży na koniu. Na podstawie zachowanych dwóch źródeł ikonograficznych należy przypuszczać, że już koło połowy XII wieku mogły być używane na dworach panujących wozy paradne *do wielkich uroczystości, przystosowane do zaprzęgu parzystego*, oraz wozy podróżne dla kobiet, ludzi starszych lub duchownych. Ich zewnętrzny wygląd oraz konstrukcję przedstawiają nam dwa bezcenne przekazy z XII wieku związane z historią kultury i sztuki polskiej a jest to płytka z brązowych Drzwi Pieckich (obecnie w Nowogrodzie Wielkim) przedstawiająca proroka Eliasza na czterokołowym wozie i podobna scena z prorokiem Eliaszem wyobrażona na czarze kielicha kanoników regularnych w Trzemeszynie z drugiej połowy XII wieku. Są to oczywiście potwierdzenia istnienia już wtedy w Polsce pojazdów paradnych. Ten czterokołowy wóz o prostej krótkiej skrzyni położonej bezpośrednio na osiach był wozem bez możliwości skrętu. Forma wozu, jego zdobnictwo różni się od znanych z badań archeologicznych wozów chłopskich i transportowych. Jego proporcje i ozdobność, również i uprząży, dowodzą przeznaczenia do celów reprezentacyjnych. Oba przedstawione wozy są o podobnej konstrukcji w parzystym zaprzęgu bezorczykowym.

Pierwsze pojazdy paradne należały w ogóle, w tym czasie, do rzadkości, istnienie ich w Polsce wiąże się tylko z dworem panującym i duchownymi najwyższej hierarchii. Należy dodać, że niektórzy władcy europejscy wstrzymywali rozpowszechnianie się pojazdów paradnych zapewniając je dla siebie.

Z wieku XIII i z pierwszej połowy XIV nie mamy żadnych przekazów ikonograficznych o wozach ani wzmianek w źródłach pisanych. Dopiero miniatura z tzw. Kodeksu Ostrowskiego, przechowywana w Kanadzie (Legenda św. Jadwigi), daje wyobrażenie w jaki sposób podróżowali pielgrzymi w XIV wieku. Przedstawiony jest na niej czterokołowy wóz śląski w parzystym, orczykowym zaprzęgu szlejewym powożonym przez forysia z lewego konia. Wasąg spoczywa na ramie po-

łożonej na drewnianych prawdopodobnie osiach. Konstrukcja mocna, ale nader prymitywna, powodowała silne wstrząsy.

Z drugiej połowy XIV wieku przetrwały liczne wzmianki i lakoniczne wiadomości o istnieniu w Polsce różnych pojazdów, a nawet zróżnicowanych zaprzęgów, ale wozy wciąż stanowiły jeszcze rzadkość. Od kronikarzy dowiadujemy się, że np. biskup krakowski Zawisza miał wiele różnych pojazdów, do których kazał zaprzęgać umyślnie do tego celu przeznaczone konie. „Bogactwem świecił przyborem powozy biskupie, już wówczas rozmaitym kształtem i pod różnymi nazwami budowane”. Te i tym podobne wzmianki historyczne dowodzą istnienia w Polsce pojazdów podróży i paradnych.

Orszak Jadwigi, jadącej z Węgier do Polski w 1384 r., składał się z długiego szeregu dworskich pojazdów, a zamykały go podwozy, wozy pakowne wiozące królewską wyprawę. Jadwiga jechała konno na bogato przystrojonym cieklu (staropol. — koń pod siodło), który to sposób podróżowania był bezpieczniejszy na wąskich, górskich drogach. Dla odpoczynku przesiadała się do dużej, błyszczącej od złotych ozdób i szklanych okien kolebki, którą długo podziwiano, jako wielką rzadkość. Tyle podaje kronikarz, ale z tego nie wiemy, czy był to pojazd czterokołowy, czy lektyka niesiona przez dwa muły. W tym czasie, jak wiadomo, istniały już we Włoszech pierwsze oszklone karety, może więc Jadwiga posiadała ową kolebkę od swej sławnej babki Elżbiety Łokietkówny, której podróży do Neapolu w 1343 r. zapewne zawdzięczamy przyswojenie włoskiego słowa *carreta*. Ponadto wydaje się, iż okres regencji Elżbiety Łokietkówny w Polsce (1370—1375) oraz lata jej pobytu w Krakowie, po panowaniu na Węgrzech i słynnej podróży do Italii, zdecydowanie przyczyniły się do powiększenia liczby kolebek dworskich w Polsce. Przypuszcza się, że zawieszane karety, jakie istniały wcześniej we Włoszech, zostały przywiezione do Polski za pośrednictwem Węgrów.

Kolebką nazywano i lektykę, i pojazd czterokołowy dla kobiet. Lektyki były trakcją konnej lub do mułów. Od kołyszących ruchów Polscy nazywali ją kolebką. Kolebki bywały wielkie i małe, im późniejsze, tym bardziej ozdobne. Skrzynie coraz częściej rzeźbiono, jak gotyckie meble, obijano je z zewnątrz i wewnątrz sukniem lub innymi materiałami. Wyposażano w ruchome wezgielwa oraz wypchane wełną poduszki.

Pałubą zwano nakrycie wozu towarowego, potocznie mógł to być również wóz czterokołowy, transportowy lub sanie kryte budą z płótna czy skóry. Natomiast nazwa rydwan określała pojazd podróży lub wóz lekki,

kręty, transportowy. Nie należy kojarzyć go z rydwanem starożytnym — wozem bojowym i triumfalnym. Wóz, to najstarsze polskie słowo występujące we wszystkich kronikach pisanych po polsku, znaczenie jego było jednak bardzo szerokie, gdyż mogło oznaczać pojazd bojowy, okolicznościowy, triumfalny, reprezentacyjny, podróży transportowy czy gospodarczy, tak że tylko z szerokiego opisu możemy wnioskować o jego rodzaju. Wybór konstrukcji mógł być zależny od stanu dróg, ukształtowania terenu, przeznaczenia pojazdu czy przypadłości podróży. Początkowo pojazdy były parzyste, szybko jednak powiększały się o liczbę czterech lub ośmiu koni.

Pierwszą wiadomość o kolebkach robionych w Polsce przekazuje nam rachunek królowej Jadwigi. Figuruje tam zapis, że za kolebkę dla JMK-ci u Mikołaja Stelmacha kupioną zapłacono 8 grzywien. Jest rachunek za płótna na pokrycie wozu i za naprawę kolebki. Za wóz dla króla „z porządkiem do niego” zapłacono 10 grzywien. To są dowody na istnienie rodzimej wytwórczości. Prawdopodobnie osie do tych wozów były drewniane, gdyż w rachunkach istnieje pozycja za żywicę do ich smarowania.

Kodeks z 1505 roku Baltazara Behema dowodzi istnienia w Krakowie w początku XVI wieku cechu stelmachów i kołodziejów. Mieli oni i swoje godła. Na miniaturze Kodeksu ukazani są przedstawiciele tychże cechów w bójce na maczugi. Mamy tu godło kołodziei — na szkarłatnej tarczy złote koło, oraz godło powoźników (stelmachów) — na lazurowej tarczy zielono-ugrowa kolebka ze złotymi żyłkami podkreślającymi konstrukcję. Kolebki krakowskie malowane lub zdobione rzeźbą, wzmacniane okuciem z metalu o ostrych gotyckich motywach, służyły matronom, żonom dostojników i szlachciankom do bliskich i dalekich podróży. Wyścielane miękkimi tkaninami i poduszkami przydawały wygody i przytulności.

Rosnąca zamożność i pozycja społeczna stwarzały potrzebę reprezentacji, a ta wymagała bogato dekorowanego pojazdu. I tak w XVI wieku napotykamy wiele wzmianek i opisów kolebek, co wskazuje na ich powszechność w Europie a także w Polsce. Złoty Wiek w Polsce był również epoką złotej kolebki. I tak np. w kwietniu 1518 r. król Zygmunt na powitanie swojej drugiej żony, Bony Sforza, wysłał „wygodny powóz”. Była to wspaniała kolebka cała złocona, wybita wewnątrz szkarłatnym aksamitem, z zewnątrz zielonym adamaszkiem. Zaprzęg składał się z ośmiu śnieżnobiałych koni ze służbą w barwie białej. Narzeczony królewskiej towarzyszyły panny z fraucymeru jadące w dwóch kolebkach, z których jedna była zaprzężona w sześć srokaczy, druga w sześć szpaków. A dalej jechało 20 kolebek pokrytych czerwonym suknem, każda zaprzężona w sześć koni. Tak więc szesnastowieczne kolebki były już wtedy w powszechnym użyciu nie tylko u władczyń, ale również u wszystkich możliwych pań polskich i litewskich. Kronikarze wskazują na coraz większy kunszt ich zdobienia. Dochodzi do tego, że drewniane skrzynie złocone, czasem srebrzone, pokrywały je rzeźby snycerskie, hafty na aksamicie, ozdoby z mosiądzu w ogniu złoconego, pasamony, złote frędzle, drogie materiały sprowadzane z zagranicy. Szyto czapraki na konie i kozły stangreckie oraz ubierano w aksamitną liberię służbę dworską. Kolory zmieniały się, jednak zawsze przestrzegano zgodności kolorystycznej obić pojazdów paradnych i strojów służby, jak również i uprzęży na koniach.

Znakomita większość owych luksusowych pojazdów

była, jak wskazują na to ryciny, wciąż jeszcze trzęsącym się wozem o skrzyni położonej wprost na osiach. Obok nich istniały już zawieszane na łańcuchach lub bardziej elastycznych pasach skórzanych, zszywanych dla większej trwałości z kilku warstw, zwane wielorybami. Na osiach przytwierdzano cztery słupki, nieco rozchyłone, do których na zewnątrz umocowywano nadwozie za pomocą owych pasów. Wiszące pudło jednak kolebało na wyboistych drogach.

Język polski XVI wieku zna już wiele słów na określenie różnych pojazdów, a były to: karetka, kareta, karo, kolasa, kolaska, koczy, kocz lub czasem uszczypliwie zwany korabiem. Są to pojazdy od ciężkich do lekkich. Koczy polski stał się popularnym pojazdem podróży polskiej szlachty, zastąpiony później naszą rodzimą bryką. W XVIII i XIX wieku słowo kocz oznaczało już zupełnie inny pojazd. Szesnastowieczne koczce w Polsce objazdy juchtami, do wnętrza używano najmniej sześciu kobierców, wyścielano nimi boki i stopnie do wsiadania, a jeden przerzucony zdołał tył pojazdu. Np. po wyborze Henryka Walezego wjechali polscy posłowie do Paryża „na koczach bardzo świetnie” — opowiadał Joachim Bielski. Nadawały się one zarówno do podróży, jak i do celów reprezentacyjnych. Koczy nie było słowem jednoznacznym, określało każdy duży, przykryty w połowie lub całkiem pojazd niezbyt ozdobny, a więc i karekę, brożek, rydwan. Mimo bardzo powolnego postępu technicznego i nadal utrzymującej się prymitywnej konstrukcji, pojazdy były kunsztownie zdobione i pomysłowo wykańczane. Pracowali przy tym rzemieślnicy-artycyści, jak: snycerz, szmuklerz, złotnik, brązownik, pasamonik (szmuklerz trudniący się wyrobem pasmanterii), tapicer, siodlarz i rymarz. Ci poszczególni majstrzy cechowi musieli ze sobą kooperować, a przy niezbyt precyzyjnym podziale kompetencji, obowiązków i praw wynikały odwieczne spory pomiędzy cechami i majstrami.

Słowo „powoźnik”, na określenie zawodu, istnieje dopiero od XVII w., chociaż już w dokumencie wydanym w 1556 r. Zygmunt August ustanowił w Pabianicach cech currificum, co znaczy robiący powozy. W źródłach pisanych po polsku nazywano ich stelmachami. Postęp techniczny zaczyna obejmować i budowę kolebek, zawieszonych nad ramową konstrukcją podwozia, bez możliwości skrętu. Koła ośmiosprychowe jednakowej wielkości, powożenie możliwe tylko z koni. Wejście do kolebki z boku, wiszący z tyłu stopień mógł służyć dla służby.

Epoka jagiellońska była początkiem rozwoju polskiej produkcji pojazdów konnych, jej intensywnego wzrostu i rozpowszechnienia, szczególnie w połowie XIX wieku. Dla porównania warto dodać, że przy wjeździe w 1592 r. arcyksiężniczki Anny, przyszłej żony Zygmunta II, towarzyszyły jej, prócz pieszych i konnych, 262 osoby w karetach, czyli musiało być tych karet ponad 60. Natomiast we Francji pierwszą karekę notuje się dopiero w połowie XVI wieku. W 1555 roku Walter Ripon zbudował karekę dla księcia Rutlandii, którą uważa się za pierwszą na terenie Anglii. Królowa angielska Elżbieta posiadała drugą, ale dopiero w 1558 r. Tenże sam konstruktor zbudował w 1564 r. pierwszy „wóz” o ruchomym skręcie. Po 20 latach pojazdy, które dziś uznajemy za karety, stały się powszechne w Anglii.

Na tle przytoczonych faktów, Polskę możemy zaliczyć do przodujących w ówczesnej Europie pod względem ilości i powszechności karet. Posiadania ich i użytkowania nie hamowały żadne zakazy, wręcz odwrotnie, liczne

przywileje cechowe dawały coraz to szersze możliwości nabywania modnych pojazdów produkcji krajowej. Na początku XVII wieku posiadanie karety z odpowiednim „cugiem” i służbą stało się zwyczajem polskim. Królowie polscy, zwyczajem europejskim, wysyłali naprzeciw narzeczonych czy żon najpiękniejsze i najmodniejsze pojazdy paradne, które ofiarowywali im wraz z końmi i uprzężą.

Tak więc wiek XVII obfitował we wszelkiego rodzaju uroczyste wyjazdy królewskie, poselskie, ambasadorskie. Dziejopisom i artystom dawały one okazję do uwiecznienia owych wspaniałości czy to piórem, czy pędzlem. Wzrost fortuny magnackiej uzewnętrzniał się przy uro-

czystościach w kraju i wystąpieniach reprezentujących Rzeczpospolitą za granicą. Budziły one zachwyt, podziw, szacunek u współczesnych, potomnym zostawiając świadomość dawnej świetności.

Ponieważ materiał dotyczący rozwoju karety i jej priorytetowej funkcji jako pojazdu całkowicie zamkniętego oraz innych form dworskich pojazdów paradnych jest zbyt szeroki, rozprawkę o pojazdach postanowiłam podzielić na dwa okresy i w następnej podjąć ten temat przechodząc od epoki aksamitnego brożka, przez różne rodzaje karet, ich rozwój techniczny, do czasów manufaktur i fabryk oraz triumfu bryczki i ostatnich dzisiaj warsztatów powozowniczych w Polsce.

WALENTY JARECKI

Poeta ludowy

Zbratany z ziemią do końca,
ze wsią, z powietrzem i z niebem,
z kłosami, z promieniami słońca
pachnącego świeżym chlebem,

zbratany z pługiem i z piórem,
z pieśnią, ze skibą na roli
siał zboże i wiersze, które
wzeszły treścią chłopskiej doli.

Bo jego wiersze jak ptaki,
jak kwiaty w polu, na łące —
z marzeń i ze wzruszeń takich,
jak bicie serca, jak słońce.

Odszedł poeta ludowy.
Wiersze po nim pozostały.
I ślad gwiazdy obok sowy
na belce — ślad życia trwały.

PAULINA ADELA FILIP

Ucieka życie

Życie jest jak koło młyńskie
W zawrotny wir puszczone
Nie spocznie nie cofnie się szalone
Nie czeka aż przyjdzie szczęście.

A ono z trudem przychodzi
Życie pełne chaosu i rozgwaru
Ileż by miało w sobie czaru
Gdyby choć troszkę go osłodzić.

A tak niedużo przecież trzeba
Ażeby uśmiech był wokoło
Jedno serdeczne ciepłe słowo
A już się zniża rąbek nieba.

TADEUSZ MACHNOWSKI

Szczęście

Nieuchwytnie jak słoneczny promyk
zapleciony w dziewczęcym warkoczu

piaszczyste Kurpie lepkie miodem łąki
u wstęgi Narwi — krzyże Ostrołęki

wśród wierzb płaczących radosne obłoki
horyzont coraz jaśniejszy i większy

dzwonnica w ptaków aureoli
między okiem a słońcem — mgła

rwą konie do ślubu
i kościół już dzwoni

w rozwiniętych dłoniach
mlecząc
wschodzi kwiat

ZYGMUNT BUKOWSKI

Zwiastuny jesieni

I znów krwawią jarzębiny
Podorywki pachną odpoczynkiem
Bartłomiej bocki sposobi do drogi
Już przemija czas pieczarek
Wrzosa płoną na torfowiskach
rozwidloną gałązką tarniny
Wnet polecą dzikie gęsi
Babie lato siwe baty
Pozaczepia na kłonicach
Przyjdą deszcze uporczywe
Drzwi napuchną od wilgoci
Jakże by to wszystko cofnąć
Na dni czerwca pozamieniać
Być daleko od tych chłódów
Od tych szronów roziskrzonych
Co zapowiedź zimy niosą

Odchudzanie chudziny

W poprzednim numerze „TL”, w materiale „Sztuka ludowa w szkole podstawowej” pisaliśmy, że program nauczania poświęca plastyce jedną godzinę tygodniowo, w tym sztuce ludowej „aż” dwie godziny w skali roku i tylko w klasie ósmej. Oznacza to, że uczeń, na

wsi czy w mieście, kończąc szkołę podstawową ma szansę w ciągu dwu godzin poznać wszystkie dyscypliny sztuki ludowej czyli wielowiekową spuściznę w tej dziedzinie, do niedawna jeszcze — dwu trzecich narodu. Dobrze i to. Jeżeli nauczyciel ma jakiegokolwiek pojęcie o sztuce

ludowej, a jeszcze posłuży się reprodukcjami czy eksponatami, może przekazać wiele, a przynajmniej pozostawić w świadomości ucznia zrozumienie samego terminu.

Kiedy więc w ostatnich miesiącach zaczęło być głośno o tzw. „odchudzaniu” programów szkolnych, bardzo mnie kusilo, by zajrzeć, co też uczyniono ze sztuką ludową, dodano czy ujęto? Przypadek zdarzył, że wpadła mi w ręce pokaźna broszura „Zmiany w programach nauczania szkoły podstawowej”, wydana przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania — Instytut Programów Szkolnych. Ucieszywszy się autorytatywnym zapewnieniem zawartym w tytule, że wreszcie ktoś będzie uczył szkołę podstawową, zabrałem się do lektury. Gdzieś na czterdziestej pierwszej stronie, nie mogąc powstrzymać emocji krzyknąłem głośno: jest!, na co żona wy-

Wieś Janów, woj. białostockie, znana jest w kraju i poza jego granicami z tradycji tkackich. Dywany dwuosnowowe rodem z Janowa przyciągają oryginalnym wzornictwem, kolorystyką i starannością wykonania. Niektóre przechowywane w prywatnych domach mają już sto i więcej lat. Kryją się za nimi niemalże sagi rodów tkaczek z przekazywaniem umiejętności z pokolenia na pokolenie.

Po okresie stagnacji obserwujemy dziś rozwój ludowego tkactwa artystycznego i powolne reaktywowanie tej umiejętności twórczej również na terenie województwa białkopodlaskiego i siedleckiego, w czym niebagatelną zasługę ma spółdzielczość „cepeliowska”. Jeżeli weźmie się pod uwagę stosunkowo liczne jeszcze grono twórczyń, drobne, o słabych glebach gospodarstwa i wynikającą stąd konieczność poszukiwania dodatkowych zarobków poza rolnictwem, można być optymistą, co do przyszłości tkactwa. Ale czy do końca? Z tym pytaniem zwróciłem się do twórczyń ludowych na zebraniu — właśnie w Janowie. Na odpowiedź trzeba było czekać stosunkowo długo. Widać było niepokój, potrzebę wypowiedzenia się, ale również jakby lęk przed czymś lub przed kimś.

Dyskusja nie kleiła się, choć uczestniczyło w spotkaniu ponad 20 twórczyń. Wreszcie koniec zebrania,

Białostockie „Isaury”

część osób z tradycyjnym słowem do widzenia opuszcza progi gościnnego domu, część pozostaje. I wtedy dopiero się zaczęło.

— Panie, my nie otrzymujemy nawet 50% wartości naszej pracy. Spółdzielnia tkaniny o wymiarach 2,3 m na 1,5 m sprzedaje po 28.500 zł a nam płaci po 13.920 zł. Jeżeli ktoś posiada decyzję emerytalną i wywiązuje się ze zobowiązań, otrzymuje dodatkowo 1300 zł, tytułem dopłaty na składkę ZUS. Co to za dopłata? Dlaczego nie wlicza się jej od razu do należności za tkaninę?

To nie koniec jeszcze upustu goryczy. Okazuje się, że z uzyskanej kwoty ze sprzedaży tkaniny, twórczyni musi pokryć całość kosztów surowcowo-materiałowych. I tak: kupić od spółdzielni wełnę (z importu) po cenie 1000 zł za 1 kg (na tkaninę potrzeba ok. 5 kg wełny), farby za około 800 zł i 6 butelek

octu. Razem koszty surowcowe wynoszą ponad 6000 zł. Gdyby policzyć pozostałe, tj. podróże, energię elektryczną, opał itp. to twórca otrzymuje, licząc od ceny podstawowej, za 1 tkaninę ok. 7000 zł. W dodatku spółdzielnia sprzedaje twórcy wełnę bez podawania jej wilgotności zaliczając na ubytki 12 proc., mimo że faktycznie kształtuje się ona w granicach 15—16 procent.

Tak więc z wyliczeń twórczyń wynika, że za 1 dywan nie otrzymują netto nawet wspomnianych 7000 zł, tj. minimalnego, miesięcznego wynagrodzenia aktualnie obowiązującego w naszym kraju w gospodarce uspołecznionej. Tak, miesięcznego, bo wełnę trzeba sprząść w cieniutkie niteczki, odpowiednio przygotować do tkania, co zajmuje ok. 2 tygodni czasu, oczywiście licząc wiejskie dniówki a nie urzędowy, ośmiogodzinny dzień pracy.

chyliwszy głowę z kuchni zapytała ze zdziwieniem: Co, nasi strzelili gola? Owszem — odburknąłem — ale nie na stadionie, tylko w instytucie. Tym razem nie zdziwiła się.

Zacząłem więc czytać: „Ogranicza się zakres treściowy następujących sformułowań treściowych: sformułowanie na str. 17 „Polska sztuka ludowa i amatorska: malarstwo, zdobnictwo, rzeźba, sprzęty i budownictwo, tradycja i współczesność, sztuka ludowa źródłem inspiracji artystów profesjonalnych otrzymuje następujące brzmienie: „Polska sztuka ludowa i amatorska”: tradycja i współczesność; sztuka ludowa źródłem inspiracji artystów profesjonalnych”.

Niech mi czytelnik daruje żartobliwy ton, gdyż w zasadzie cała sprawa jest żartem. Jakże można ograniczać to, co już i tak było ograniczone do absurdu? Ponadto

wrzucano do jednego worka sztukę ludową i amatorską, co jest — mówiąc delikatnie — nieporozumieniem. Wreszcie sprawa zasadnicza: w państwie, które mieni się państwem robotników i chłopów, w którym trzy czwarte narodu wywodzi swoje korzenie z klasy chłopskiej, w programach szkolnych brakuje miejsca na pobieżne choćby omówienie kulturowego wkładu klasy chłopskiej do kultury narodowej. Tymczasem w tymże samym programie aż roi się od inteligentkich balastów, które z pożytkiem dla ucznia należałoby wyeliminować całkowicie.

No cóż, można i tak. Tylko nie dziwnym się, że młodzież później będzie lekceważyć wszystko, co swoje, że obce wzory będą emanować nie tylko z telewizji ale i umysłów.

STAWER

Tkanie dywanu również trwa w granicach ok. 2 tygodni. Sumując, twórczynie uzyskują po miesiącu pracy w przybliżeniu wynagrodzenie zaledwie za sporządzenie przędzy. W Białostockiem bowiem za samo sprzedanie 1 kg wełny płaci się dziś 1400 — 1500 zł, co daje kwotę przewyższającą już dochód uzyskany ze sprzedaży tkaniny. Dwa tygodnie ciężkiej, zmuśnionej pracy, często również w godzinach nocnych, pozostaje bez zapłaty. Dochodzi do tego jeszcze problem sprzedaży. Do spółdzielni trzeba jeździć minimum dwa razy, tj. zawieźć tkaninę i udać się w innym dniu po wypłatę należności. Prace można oddać tylko w określone dni, jak mówią twórczynie — trzeba jeździć według alfabetu, bo inaczej nie przyjmą.

Dlaczego więc nie upomną się o cenę swojej pracy i co je jeszcze trzyma w kooperacji ze spółdzielnią? Podstawowym problemem są trudności z nabyciem surowców (wełny i farb) oraz ich ceny na wolnym rynku. Drugim jest niepewność zbytu tkanin, zwłaszcza że w niektórych przypadkach w pracę zaangażowana jest cała rodzina. Na pytanie, czy zwracali się z tym problemem do władz spółdzielni odpowiadają — tak, ale zbyto nas szorstko i krótko, powiedziano, że i tak robimy wam łaskę, bo nam się to nie opłaca.

— W dodatku jak się za dużo powie — dorzucają zakłopotane — tkaniny mogą być przyjęte w drugim a nie w pierwszym gatunku. Nie mamy wyjścia...

Kiedy słuchałem tych wypowiedzi, często (nie wiem dlaczego) wyrzucanych z siebie przyciszonym głosem, kiedy patrzyłem na zatroskane twarze i spracowane ręce, twórczynie kojarzyły mi się z wiernymi poddanymi, a nawet zniewolonymi sytuacją, w jakiej się znalazły. Gdy zapytałem — czy mogą użyć ich nazwisk, wołały zachować anonimowość. Tylko jedna z nich zgodziła się na to mówiąc: — I tak już mają mnie dość. Nazwisk więc nie będzie, ale sytuacja ta rodzi pytania: dlaczego w państwie demokracji ludowej twórczynie ludowe z Janowa boją się upomnieć o swoje prawa? Czego, czy kogo boją się? I wreszcie, o co od lat pytają twórczynie a nikt im dotąd nie potrafił tego wytłumaczyć — co powoduje tak znaczną różnicę, bo prawie o 100 proc., między kosztami surowców i robocizny a ceną detaliczną?

Pytania można by mnożyć. Mnie nasuwa się jedno: jak kształtują się przeciętne zarobki pracowników etatowych spółdzielni znajdującej się podobno w „trudnej sytuacji”? Myślę jednak, że nie poniżej minimum.

KANY

BOLESŁAW MAJCHER

* * *

kiedy cię wicher
wytarga
dogaduj się z losem
od nowa
lży
wiatrom zostaw
do scałowania
żywioly uzdrawiają
nawet z miłości
a serce schowaj
na czarną godzinę
dla innych
bo dla siebie
znajdziesz w nim
tylko ból
tak długo
aż zaczniesz cię radować
szczęście czyjeś

* * *

Calusieńkie
sto tuczników
na rok
wychowuje
gumiakamy
oponamy
kartofle im paruje
jus sie całkiem
bosy ostol
woz bez opon
stoi
co on jutro
uparuje
okropnie sie boi
węgla nie
nie moze dostać
choć codziennie lata
a baba
sie drze w chałupie
chiba koniec świata
Dzieciaciny
w rękawicach
lekcje odrabiajo
so az ogłupiale z zimna
nie wiem
cy pozdajo
kiedys we wsi
mieli škole
tera dojezdza
Jak sie weznies
do obrzadku
światlo ci wylaco
chiba jus
to oscennościo
całkiem
nas wykońco

Laureaci Konkursu Literackiego im. Jana Pocka

W czerwcu przypada rocznica śmierci wybitnego poety z podlubelskiego Markuszowa — Jana Pocka (zm. 1971). Na markuszowskim cmentarzu postawiono poecię — chłopu ludową kapliczkę z drewna, a w rynku osady — kamienny pomnik. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i Wydawnictwo Lubelskie wydały tomy poezji, zaś Stowarzyszenie Twórców Ludowych przyjęło na siebie chwalebny trud organizowania dorocznych konkursów literackich im. Jana Pocka. Plan tych konkursów rozstrzyganych tradycyjnie w czerwcu potwierdza trafność pomysłu organizatorów z Lublina. Nadesłane utwory świadczą o niesłabnącym zainteresowaniu, mimo zmian zachodzących na wsi, tworzywem słowa. Konkurs jest przeglądem ludowej twórczości literackiej pozwalającym ocenić zainteresowania tematyczne i poziom artystyczny ludowej poezji.

W tym roku nadesłano 75 zestawów prac 71 autorów. Napłynęło 215 utworów literackich, w tym 26 utworów prozatorskich. Członkowie Sądu Konkursowego, któremu przewodniczyła prof. dr hab. Alina Aleksandrowicz, przyznali następujące nagrody:

W dziedzinie poezji:

I — Zygmuntovi Bukowskiemu z Mierzeszyna, woj. gdańskie za zestaw utworów;

II — Wawrzyńcowi Hubce ze Zlatnej, woj. bielskie za wiersze „Zeby móc tak”, „Wiosna 1937”;

III — Bolesławowi Majchrowi z Barczącej, woj. siedleckie za wiersze „Zawalidroga”, „Kiedy ci wicher”;

III — Tadeuszowi Michalskiemu z Przedborza, woj. piotrkowskie za wiersze „Przydrożne kuźnie”, „Podniosłem podkowę”.

W dziedzinie poezji przyznano także dwa wyróżnienia — Sabinie Szymbor z Lublina i Władysławowi Sitkowskiemu ze Zwierzyńca.

W dziedzinie prozy I nagrody nie przyznano. Nagrodę II otrzymała Stefania Kaplanowa z Suchoj Beskidzkiej, woj. bielskie za opowiadanie pt. „Hanka”. Nagrodę III przyznano Janowi Kowalskiemu z Iławy, woj. olsztyńskie za opowiadanie pt. „Jaś i Kasia”. Ponadto w dziedzinie prozy przyznano jedno wyróżnienie Stanisławowi Pudelkiewicz z Krzeszowa w woj. tarnobrzeskim.

Stwierdzając, że poziom artystyczny utworów poetyckich nadesłanych na tegoroczny konkurs był dość wysoki i wyrównany jury dostrzega potrzebę poszerzenia tematyki i szukania nowych rozwiązań artystycznych w utworach pisanych prozą. Jury sugeruje wyjście poza tradycyjną gawędę czy legendę ludową, szukanie materiałów interpretujących sferę społeczno-obyczajową współczesnej wsi.

Większość nagrodzonych prac publikujemy w tym numerze „TL”, pozostałe — w następnych.

M.B.



•Przed wręczeniem nagród

Fot. Piotr Maciuk



Bolesław Majcher odbiera nagrodę z rąk prof. dr hab. Aliny Aleksandrowicz

Fot. Piotr Maciuk

ZYGMUNT BUKOWSKI

Gdzie była wieś

Pamiętam jak była tu wieś
I pola wkoło kolorowe jak witraż
W ogrodach kwitły słoneczniki
I maki białe w fioletowych serdakach
Każdy rok miał tyle dni uroczystych
Tyle różnych zdarzeń
W zielone świątki
W izbach było zielono niczym w gaju
Na Zielną lud spieszył
Do Trąbkowskiej Panienci
By przed Jej tronem złożyć żniwne korony
A dziś tu pustkowię
W podartej sukmanie skarży się u drogi
Nikt nie śpiewa u kapliczki
W miejscu świątka klon maleńki rośnie
Nie ma starej topoli zagnieżdżonej jemiolą
Polne róże pachną — dla nikogo
A świat uboższy o tą wielką miłość
Chłopa do ziemi

Zabawa na ludowo

Już po raz ósmy w Pырzycach odbyły się niekonwencjonalne „Spotkania z Folklorem” — jak zechecieli nazwać ową imprezę organizatorzy. Nazwali tak, bowiem nie znaleźli żadnego innego. Z wielką uwagą obejrzałem wszystko to, co przedstawiano na scenie i poza sceną. Niestety, niczego co nazwać można byłoby folklorem w Pырzycach nie znalazłem, ale cóż, dla organizatorów folklor to wszystko to, co można wystawić. Nie będę się tu wdawał w teoretyczne rozważania na temat zasadności posługiwania się terminem folklor. W moim przekonaniu cała owa zabawa na ludowo, jaka w dniach 28 — 31 maja 1987 roku zaistniała na pyrzyckiej scenie, może mieścić się jedynie w kategoriach folkloryzmu. Scena nigdy nie była i nie stanie się sytuacją folklorotwórczą. Poza tym, spotkałem tam olbrzymie pokłady sztuczności i absolutnego braku autentyzmu. Bo czyż może nie zdumiewać fakt, iż zespół folklorystyczny ze Skwierzyny występuje w stroju szamotulskim, a treści repertuarowe pochodzą z innych jeszcze, odległych zakątków Polski. Czyż nie może dziwić fakt, iż „Zespół Ziemi Bańskiej” spod Gryfina wprowadza do swojego repertuaru folklor górnośląski, bo ten akurat najbardziej członkom zespołu się podoba, a członkinie zespołu śpiewaczego z Brzeska swój „ludowy” strój uszyły z tego, co było w sklepie. To prawda, że „tak krawiec kraje jak mu materii staje”, ale nieprawdopodobnej wprost dowolności i ignorancji posuniętej do granic absurdu nie można niczym usprawiedliwić.

Tyle moich wątpliwości. Były jednak w Pырzycach, a raczej w okolicznych wsiach, elementy niezwykle interesujące, stanowiące o wsi polskiej w ogóle. Mam tu na myśli piątkowe spotkania „zespołów u zespołów”. Oto bowiem okazuje się, że organizatorzy przewidzieli ugaszczanie przyjezdnych zespołów przez zespoły miejscowe. I tu dopiero spotkałem się z fol-

klorem, słownym i muzycznym, wykreowanym bez żadnych obciążeń, bez tremy. Tak po prostu bawi się wieś, i te formy, jeśli w przyszłości zajdzie taka potrzeba, winny być oceniane najwyżej. Ta szalona zabawa, np. w Chwarstnicy czy Brzesku Szczecińskim, w scenerii przepięknego budownictwa ludowego typu anglosaskiego i niespotykanej architektury sakralnej, musi przyjezdnym na długo utkwąć w pamięci. Gościnność gospodarzy przerasta wszelkie wyobrażenia, a i fizyczną wytrzymałość gości — to również charakterystyczne cechy Pырzyckich Spotkań.

O ile poziom Spotkań był równy, tzn. utrzymujący się na równej, niskiej płaszczyźnie, to z pewnością ozdobą imprezy były występy słowackiego zespołu pieśni i tańca „Kopanica” z miejscowości Myjava. Ten kierowany przez Mariana Kosika zespół dał popis niezwykle żywiołowej muzyki, tańca i śpiewu, co oczywiście musiało się podobać, wszak występy takie obliczone są na widownię, nie zaś na zaspokojenie swoich indywidualnych potrzeb i ambicji. Bravo dla organizatorów za zaproszenie zespołu ze Słowacji.

W sobotę, tj. 30 maja, po występach odbywających się w pobliżu dawnej Baszty Pijackiej, organizatorzy Spotkań zorganizowali sesję naukową, poświęconą zagadnieniom folkloru scenicznego, amatorskiego ruchu folklorystycznego itp., a co z pewnością sesją nie było. Mimo to należy odnotować nie tyle fakt jej zaistnienia, co spostrzeżeń, jakie na tym roboczym spotkaniu padły. W toku dyskusji ugruntowały się trzy stanowiska dotyczące folkloru Pomorza Zachodniego z uwzględnieniem szczególnej sytuacji etnograficznej tego regionu. Po pierwsze: zaproponowano totalną ingerencję w ruch amatorski i jego treści repertuarowe. Po drugie: postanowiono, by rzecz pozostawić samą sobie, by rozwijała się samostannie, ale była obserwowana i badana, naukowo. Po trzecie zaś: nie-

zwykle interesująca okazała się sugestia o potrzebie i możliwości sięgnięcia po pierwiastki słowiańskie regionu, z czasów minionych. Ta odważna propozycja wywołała wielkie poruszenie wśród organizatorów Spotkań, którzy zadeklarowali zainteresowanie taką możliwością. Słowiańskie pierwiastki folkloru Pomorza Zachodniego, a Ziemi Pырzyckiej w szczególności, możliwe są do odtworzenia dzięki pracom Alfreda Haasa i Otto Knoopa drukowanym na łamach „Blatter fur pommersche Volkskunde”, „Baltische Studien”, „Zeitschrift des Vereins fur Volkskunde”, „Unser Heimat”, „Unser Pommerland”. Jednakże badania oparte na tychże czasopismach byłyby bardzo kosztowne, stąd też ich realizacja pozostaje pod znakiem zapytania i w rękach organizatorów Spotkań.

Kończąc należy powiedzieć, że Przyrzyckie Spotkania z Folklorem jeszcze w tym roku nie należały do przedsięwzięć najszcześniejszych. Wyraźnie rodzi się potrzeba zmiany formuły tej imprezy, a wówczas wielki wysiłek organizatorów może zaowocuje udanym pokazem.

WOJCIECH ŁYSIAK



Janina Kałuziak, Miś ze słomy, Chojne, woj. sieradzkie

O brodziły nam „dni” różnych miejscowości. Są one okazją do koncentracji działania animatorów i prezentacji dorobku placówek kulturalno-oświatowych. Od lat obserwując to doroczne świętowanie z niepokojem stwierdzam jednak, że w wielu przypadkach na owych „dniach” kończy się działalność wielu placówek powołanych przecież do całorocznej organizacji życia kulturalnego środowiska. A i schemat „dni” jest bardzo podobny, bez względu na charakter i tradycje regionu — najczęściej jest to przemarsz dzieci i młodzieży, parada zespołów, kilka koncertów, jakieś konkursy czy pokaz, innego dnia spotkanie, czy kilka spotkań ze znanymi ludźmi kultury, najczęściej ze stolicy... i wszystko. Nie dziwnego, że po kilku latach owe „dni” kończą swój żywot, a jeśli trwają, to formalnie, bo ludzie się już tym nie interesują.

Znam jednak ośrodki, w których „dni” nadal angażują wiele środowisk, a ich program jest stale wzbogacany o nowe elementy. Tak jest np. w Kwidzynie (woj. śląskie). Od trzech lat tym nowym elementem programu „Dni Kwidzyna” jest „Turniej gawędziarzy ludowych”. Przyznam, że przed trzema laty ich inicjatorom nie wróżyłem powodzenia. Wszak podejmowali się organizacji imprezy w środowisku, ba, w regionie bez wielkich tradycji gawędziarskich. Choć dawniej, w czasach germanizacji Dolnego Powiśla gawęda była jedną z form przekazywania wiedzy o Polsce i utrzymywania polskich i rodzinnych tradycji. Jednak po zakończeniu wędrowek ludnościowych, kiedy w Kwidzynie i okolicy osiedlili się ludzie z różnych regionów Polski, także emigranci, gawęda zanikła. Potwierdziły to badania etnograficzne mgr Haliny Samplawskiej — obecnej kierownika i kustosa Muzeum w Kwidzynie. Potwierdza to również brak miejscowych uczestników czwartego już „Turnieju gawędziarzy ludowych”. Od początku uczestniczą w nim gawędziarze z Polski Południowej i Kaszub. Trzykrotnie już gościli w Kwidzynie: Barbara Madejowicz, Janina Wołoch, Marian Janik i Stanisław Jurkowski. Ale organizatorzy

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Turniej Gawędziarzy Ludowych

Turnieju nie zrażali się małą ilością zgłoszeń, brakiem krajan z Dolnego Powiśla i przewagą gości z innych regionów Polski. Wszak dzisiejsi mieszkańcy tego regionu też z różnych stron przyjechali i chętnie słuchają gwary swoich ojców. Niech przypomną sobie gwarrę i gawędziarskie tradycje, może to pobudzi ich do własnego działania?

W tym roku do Turnieju zgłosiło się 24 gawędziarzy (rekord) a przy-

jechało 22, praktycznie ze wszystkich regionów Polski. Najliczniej reprezentowani byli oczywiście górale, to już tradycja. I trochę... rozczarowali. Nie tylko zresztą oni. Niektórzy uczestnicy Turnieju zaprezentowali nam coś, co nie było wypowiedzią gawędziarską, ale nazwijmy to montażem myśli, wierszyków miernej jakości i dowcipów wiejskich, kończyło się nie wiadomo czym, bez pointy... Jedno trzeba im oddać — była gwara.



Marian Janik ze Słopnic, woj. nowosądeckie

Fot. Roman Szalapski

Słuchając owych gawęd wytypowałem swoją laureatkę. Była nią pani Maria Straszna z Siemianowic Śląskich, ale dosłownie w ostatniej chwili „pobił” ją pan Stanisław Chowaniec z Bukowiny Tatrzańskiej (woj. Nowy Sącz) prezentując piękną gawędę, taką tradycyjnie góralską (nawet ilustrowaną muzyką) o przyjaźni doktora Chałubińskiego z Sabalą. Słuchając pana Stanisława Chowania widziałem wpływ jego uczestnictwa w „Sabalowych bajaniach” w Bukowinie Tatrzańskiej i efekt przewodnickich opowieści przy pilotowaniu ceperskich wycieczek — gawęda była zwarta, dobrze skonstruowana i spointowana. Podobnie jak pani Marty Strasznej opowieści o chłopcu, który poszedł do powstańców śląskich. No, ale pani Marta, to znana wśród gawędziarzy laureatka wielu konkursów. W Kwidzynie zwyciężył jeden góral z Bukowiny, bo w czasie czwartego Turnieju zaczęła się już autentyczna rywalizacja, a nie, jak poprzednio, jedynie rozdzielanie nagród. Dwie trzecie nagrody (po 3 tys. zł) przyznano: Henrykowi Chebertowi z Gdyni i Elżbiecie Sroek z Bykowa — oboje z woj. gdańskiego i oboje zaprezentowali piękną gwarę kaszubską. Ponadto przyznano kilka nagród ufundowanych przez placówki kulturalne i oświatowe miasta Kwidzyna.

Oprócz gawędziarzy na estradzie dziedzińca kwidzyńskiego zamku koncertowało wiele zespołów folklorystycznych. Najżywiej przyjmowali byli „Walasi” z Istebnej.

W ramach „Dni Kwidzyna” zakończono też konkurs pt. „Sztuka ludowa na Dolnym Powiślu”. Praktycznie był to konkurs zdominowany przez hafciarki (haft biały). W tej grupie pierwsze miejsce przyznano p. Władysławie Bartknecht (czy. STL) za wierne odtworzenie starych motywów w hafcie i ciekawe kompozycje oraz p. Zenobii Cegielskiej — za precyzyjne wykonanie haftów i nowe ujęcie wzorów. Dwie drugie nagrody otrzymały panie: Marianna Szewczyk (za naiwne przedstawienie tematyki ludowej i techniki pełnego haftu) i Stanisława Brzezińska (za poprawność haftu powiślańskiego). Nagrodę trzecią przyznano pani Stanisławie Prabuńskiej.

Jury konkursu stwierdziło, że brakuje nowych rozwiązań i wzorów, prace cechuje ubóstwo motywów, niedoskonałość kompozycji i powtarzanie się tego samego motywu

u wielu hafciarek. (Ja dodam jeszcze, że większość zgłoszonych prac wykonanych było mało precyzyjnie). Uwagi te przekazano uczestnikom konkursu i należy przypuszczać, że twórczynie wezmą je do serca. Należy również uważać na wierność stylu regionu Powiśla i Kaszubów, o co w dobie telewizji i filmu jest coraz trudniej, zatem regulaminy następnych konkursów winny to brać pod uwagę.

Niestety, nie udało się „Jarmark twórców ludowych”. Podobno zaproszono ich wielu, a stawili się tylko: hafciarka, laureatka konkursu Władysław Bartknecht i rzeźbiarz Stanisław Pestka.

Twórcy ludowi nie dopisali, natomiast licznie przybyli kolekcjonerzy (i nie tylko) najprzeróżniejszych staroci. Ceny były więcej niż wolnorynkowe. Nikt nad tym nie panował, nikt nie oceniał i nie wyceniał, a już zaskoczeniem były stoiska z płytami (wcale nie starymi) i wysokie ceny. I dobrze się stało, że młodzież zlekceważyła tego typu kolekcjonerów i w sumie obroty mieli mierne. Czy o takich kolekcjonerów chodziło organizatorom „Otwartych targów kolekcjonerów”? Przecież nie mogą one być miejscem intratnych transakcji handlarzy i cwaniaków, ale miejscem i okazją do spotkania się autentycznych miłośników staroci i szansą wymiany czy uzupełnienia zbiorów.



Władysław Bartknecht —
hafciarka z Kwidzyna
Fot. Roman Szalapski



Józef Sprutta z Węgrowca, woj. pilskie

Fot. Roman Szalapski

Tych kilka gorzkich uwag było koniecznych, bo zależy mi na tym, by w przyszłości „Jarmark”, „Targi” i „Turniej gawędziarzy ludowych”, były imprezami co się zowie. Zwłaszcza „Turniej” ma szansę stać się imprezą ogólnopolską. Już dziś w Kwidzynie spotkali się reprezentanci prawie wszystkich regionów kraju. Tylko czy do tego czasu wystarczy sił jego kwidzyńskim organizatorom? Podkreślam „kwidzyńskim”, albowiem ani przed Turniejem, ani w trakcie, w Kwidzynie nie spotkałem ani jednego pracownika Wojewódzkiego Domu Kultury w Elblągu. A zapewne WDK zatrudnia ludzi, którzy Kwidziniakom powinni pomóc w organizacji tak dużej imprezy, jaką niewątpliwie były „Dni Kwidzyna” i organizowany w ich ramach „Turniej gawędziarzy”. Przecież tym ludziom (myślę o gawędziarzach) powinno się przekazać jakieś uwagi merytoryczne, przypomnieć im, jaka powinna być forma gawędy ludowej, jaka jest jej tradycja i formuła. I właśnie o takie warsztatowe spotkanie etnografów i jurorów, po zakończeniu Turnieju, wnoszę pod adresem jego organizatorów, którym brawo za wytrwałość i siłę w pokonywaniu trudności!

Recenzje

LUCYNA ADAMOWSKA

Zespół folklorystyczny jako przejaw aktywności kulturalnej wsi

Na tle dosyć ubogiego przecież obrazu życia kulturalnego wsi współczesnej różnego rodzaju zespoły folklorystyczne stanowią niewątpliwie podstawową formę działalności kulturalno-oświatowej. W sposób szczególny patronują temu ruchowi Koła Gospodyń Wiejskich. Na przykładzie województwa lubelskiego czy zamojskiego można szacować, że zespoły ludowe obejmują ponad 80% wszystkich rodzajów zespołów działających w ramach KGW. Dobrze się zatem stało, że ta popularna forma aktywności kulturalno-oświatowej na wsi doczekała się pierwszych prób szerszego opisu i oceny, a do takich należy zaliczyć książkę M. Piotrowskiego wydaną przez Centralny Ośrodek Metodologii Upowszechniania Kultury.¹

Recenzowana praca składa się z trzech części: metodologicznej, teoretycznej i empirycznej. Zawiera także wzór podstawowego dla autora narzędzia badawczego (kwestionariusz ankiety dla członka zespołu) oraz wykaz prac cytowanych w tekście. W pierwszej części rozprawy autor przedstawił założenia badawcze. Przedmiotem analizy uczynił zespoły folklorystyczne działające na terenie województwa łódzkiego (w jego dawnych granicach administracyjnych).

W toku badań zmierzał do ustalenia, czym jest ruch folklorystyczny na interesującym go terenie i jakie czynniki sprzyjają jego roz-

wojowi. Autora interesowała również sylwetka członka zespołu folklorystycznego, w szczególności powody jego zainteresowania kulturą ludową oraz motyw uczestnictwa w pracy zespołu.

Badania terenowe rozpoczęto w 1974 roku. W ich pierwszej fazie dokonano rozpoznania ogólnego stanu zespołów folklorystycznych, wykorzystując w tym celu Wielki Konkurs Folklorystyczny Ziemi Łódzkiej. W drugim etapie — dokonano badań pogłębionych na przykładzie trzech zespołów folklorystycznych, które odpowiadały założonym kryteriom (wiejskość — członkowie zespołu byli mieszkańcami wsi, autentyczność repertuaru i ciągłość działania). Materiał empiryczny gromadził autor za pomocą ankiet, wywiadów i obserwacji.

Na dalszych stronach znajdujemy omówienie pojęć podstawowych dla podjętego tematu, takich jak: folklor, folklorizm, motywacje. Ponadto autor referuje zagadnienie typologii zespołów folklorystycznych.

Kolejna część pracy poświęcona jest historii amatorskiego ruchu kulturalnego na wsi. Z ustaleń autora wynika, że dla okresu międzywojennego charakterystyczna była działalność zespołów teatralnych i chórów. Zaś po II wojnie światowej ujawniła się nowa forma aktywności kulturalnej — zespoły pieśni i tańca, jako wyraz ogólnych zainteresowań folklorem. Zainteresowania te, według autora, przechodzi-

ły różne koleje losu, zależnie od charakteru aktualnie realizowanej polityki kulturalnej państwa.

Trzecia część książki zawiera omówienie wyników badań terenowych. Najpierw autor charakteryzuje członków piętnastu zespołów folklorystycznych działających w województwie łódzkim. W szczególności zwraca uwagę na wiek członków, ich stan cywilny, główne źródła utrzymania, motyw uczestnictwa w pracy zespołu. Przytacza także opinie badanych o pracy zespołu i jego roli w życiu kulturalnym środowiska. Następnie opisuje losy zespołów wybranych do badań pogłębionych, po czym ponownie, tym razem nieco szczegółowiej, charakteryzuje ich członków. Porusza też problem roli jaką zespół pełni tak dla poszczególnych jego członków, jak i organizacji życia kulturalnego wsi.

W zakończeniu pracy autor formułuje wnioski teoretyczne i empiryczne. Oto niektóre z nich:

1. Dla potrzeb zespołów i festiwalu folklorystycznych proponuje zachować utarty termin folklor, dodając zawsze słowo sceniczny, jako określenie charakteru zjawiska.

2. Ustosunkowując się do typologii zespołów folklorystycznych, zdaniem autora niecelowe byłoby tworzenie nowych klasyfikacji. Stosowana na wielu przeglądach klasyfikacja prof. J. Burszty jest użyteczna praktycznie. Uważa jednak, że przy dokonywaniu klasyfikacji ważne są dociekania mające na celu ustalenie autentyczności repertuaru, źródeł jego inspiracji, charakteru zespołu (profesjonalny i nieprofesjonalny) oraz jednorodności wewnętrznej. Wysuwa sugestie, że może warto byłoby stworzyć tak, jak w Czechosłowacji, odpowiedniki pojęć „souboru” i „skupiny”, odpowiednio dla kategorii zespołów z miasta i ze wsi, w założeniu korzystających z materiałów opracowanych lub autentycznych.

3. Uważa, że nie ma opracowanego programu pomocy ze strony państwa zespołom działającym pod patronatem różnych instytucji i organizacji.

4. Potrzebne jest także opracowanie kryteriów uczestnictwa i oceny zespołów występujących na festiwalach i konkursach. Innym problemem tego rodzaju imprez jest brak nadzoru merytorycznego: etnografów, etnomuzykologów, etnochoreografów i folklorystów. A jeśli już tacy specjaliści są, to nie mają oni większych możliwości interwencji.

5. Z badań wynika, że zespoły folklorystyczne tworzone są w tych miejscowościach, gdzie są tradycje działalności społeczno-politycznej i kulturalnej.

6. Sprawność funkcjonowania zespołu zależy m.in. od tego czy posiada on instytucjonalnego sponsora, emocjonalnie zaangażowanego kierownika i instruktora, warunki do odbywania prób i odpowiednie miejsce do przechowywania i konserwacji strojów.

Lektura pożytecznego opracowania M. Piotrowskiego pobudza jednakże i do uwag dyskusyjnych czy nawet krytycznych. Niektóre z nich skrótkowo przedstawię w kilku punktach.

1. Praktycznie dosyć nieprecyzyjnie został wyodrębniony zasadniczy problem badawczy przedstawiony w tytule książki. Chodzi tu o relację między pojęciem „zespół folklorystyczny” i przypisanym mu środowiskiem działania — „wieś”. Jak wynika chociażby z przedstawionego wykazu badanych zespołów folklorystycznych (s. 60) nie wszystkie one działają na wsi. Dopiero w drugim etapie swoich badań autor zajmuje się zespołami faktycznie wiejskimi.

2. Niedosytem w tej pracy jest także dla mnie nie podjęcie przez autora (przede wszystkim w momencie, kiedy zajmuje się analizą tylko trzech zespołów) problematyki repertuaru — tak w sensie jego genezy, jak i społecznych, wychowawczych i artystycznych funkcji. A repertuar, to przecież podstawowy punkt wyjścia dla wszelkiego rodzaju wartościowania.

3. Nieodłącznym elementem działalności każdego zespołu artystycznego jest również publiczność. Ciekawe byłoby usłyszeć odpowiedź na pytania, typu: na ile zespół zaspokaja potrzeby swojej publiczności, jaką ma publiczność (tak w sensie socjalnym, jak i przygotowania — „gotowości odbiorczej”) itd.

4. Nieuprawniony wydaje się także zbytni pośpiech w uogólnianiu faktów i wniosków. Nie daje ku temu podstaw zbyt szczupła baza materiałowa i ze zrozumiałych względów nie uwzględniona przez autora kwestia geograficznego zróżnicowania działalności wiejskich zespołów folklorystycznych.

Należy jednakże podkreślić, że temat podjęty przez M. Piotrowskiego jest dla współczesnej działalności kulturalno-oświatowej na wsi niezmiernie ważny, a dla wielu województw wprost kluczowy. Dlatego potrzebne jest dalsze, szczegółowsze jego rozpoznanie.

1. Marcin Piotrowski, *Zespół folklorystyczny w życiu kulturalnym współczesnej wsi. Studium wybranych zespołów Polski centralnej*. Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1986, ss. 143.

* Książki nadesłane *

Jędrzek Gąsienica Makowski: *Slebodny zbrzyk*, Oficyna Wydawnicza Związku Podhalan, Zakopane 1987, str. 56, cena 150 zł, nakład 2000 egz. (tomik poetycki, autor jest członkiem STL).

Elżbieta Skorupska: *Nim dojdę...* Biblioteka Literacka Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, Gorzów Wielkopolski, 1987, str. 28, cena 70 zł, nakład 500 egz. (tomik poetycki, autorka jest członkiem STL).

Tadeusz Kiszczał: *Pieśni ludowe z Mazowsza północnego*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1986, str. 120, cena 150 zł, (zbiór pieśni ludowych).



Grzegorz Król, Szopka, rzeźba w drewnie, Końskie, woj. kieleckie



Sztuka ludowa północnej Norwegii

ZDZISŁAW PODKAŃSKI

Surowy klimat, górski, skalisty teren podzielony na części licznymi fiordami, nieliczne skrawki użytków rolnych czyniły życie w północnej Norwegii trudnym. Głównym źródłem utrzymania ludności było rybolówstwo, myślistwo, hodowla i uprawa roli. Warunki te miały istotny wpływ na kształtowanie się postaw i zainteresowań jej mieszkańców. Większość przedmiotów i narzędzi niezbędnych do codziennego użytku, jak i elementów do wystroju ubogich, krytych darnią chat, trzeba było wykonywać samemu. Tak było przez wiele setek lat. Wkroczenie techniki, uprzemysłowienie regionu, elektryfikacja, odkrycie złóż ropy naftowej spowodowały, że dzisiaj niewiele pozostało już z tamtych czasów. Z trudem można odnaleźć zaledwie ślady dawnej kultury materialnej. Stare chaty zastąpiły stylowe, drewniane domki jednorodzinne, wkroczyło nowoczesne budownictwo wielkomiejskie, dawne młyny i elektrownie wodne wyparty nowoczesne, w pełni zautomatyzowane. Dziś za Norwegów w znacznej mierze pracuje technika komputerowa. Zmieniły się warunki życia, potrzeby i zainteresowania. Ale czy do końca? Nadal żywa jest przeszłość. Uwidacznia się to szczególnie w działalności kulturalnej, której cechą uderzającą jest zrozumienie i poszanowanie własnych tradycji, sięganie do korzeni tożsamości narodowej. Dzięki temu do dziś w północnej Norwegii przetrwały rękodzieło i sztuka ludowa. Choć zmieniły one, i to w znacznym stopniu, swoje funkcje, to nadal odgrywają znaczącą rolę w zaspokajaniu potrzeb kulturalnych mieszkańców oraz stanowią istotny człon w systemie organizacji czasu wolnego i wypoczynku.

Mieszkający tu twórcy ludowi nie mają swojej organizacji. Zapytani — dlaczego, odpowiadają zazwyczaj, że „nie ma takiej potrzeby, kontakty między sobą i tak utrzymujemy na ile pozwala nam na to zdrowie”. Tak, zdrowie, bo zdecydowana większość z nich, to ludzie już w podeszłym wieku.

Spśród twórców ludowych wyróżnia się szczególnie 61-letni rzeźbiarz Magnor Olsen, syn murarza i sam z zawodu mistrz murarski. Zapytany skąd się wzięły jego zainteresowania sztuką ludową, odpowiada: „Czu-

łem taką wewnętrzną potrzebę, zwłaszcza przebywając w środowisku naturalnym. Rzeźbić zacząłem jeszcze w szkole podstawowej. Gdy byłem młody ludzie uważali mnie trochę za dziwaka, dopiero kiedy stawałem się starszy i miałem większy zasób wiedzy, łatwiej mi było przekonywać do tego co robię i dlaczego robię”.

Dziś Magnor Olsen jest uznanym i cenionym twórcą ludowym. W miejscowości Straumsbukta oddalonej o ok. 30 km od miasta wojewódzkiego Tromsø prowadzi na własny koszt swoistego rodzaju galerię sztuki ludowej i pracownię twórczą. Od 16 lat sztuka stała się nie tylko jego pasją, ale również źródłem utrzymania. Galerię odwiedzają obok Norwegów — również turyści, m.in. z Włoch, RFN, Austrii, USA i krajów skandynawskich. Jest ona także swoistego rodzaju placówką muzealną i oświatową. Systematycznie gromadzone są tu materiały dotyczące sztuki ludowej północnej Norwegii sięgające aż do odległych w czasie XIV i XV wieku a także dokumenty (ich kserokopie), fotografie z czasów późniejszych. Wszystkie świadczą o żyjących tu, wybitnych ludziach i ich pracy. Te pogłębione badania historyczne i śledzenie wszelkich przejawów współczesnego życia, stały się dla Magnora Olsena podstawą do „dokumentowania” na swój sposób w płaskorzeźbie postaci (portretów) ludzi, ich czynów i charakterystycznych scen życia. Wystawa tych prac oraz oprawionych artystycznie (w drewnie) zegarów, wyroby snycerskie, to główny trzon galerii. Znaczące miejsce w galerii zajmuje także ekspozycja prac polskich twórców ludowych. Dla M. Olsena stanowi ona pamiątkę z pobytu w Polsce oraz okazję do rozmów z turystami o polskiej i norweskiej sztuce ludowej.

Twórcy wykonujący płaskorzeźby, snycerkę i artystyczne meble stanowią w północnej Norwegii stosunkowo liczną grupę. Wyróżnia się wśród nich m.in. 76-letni Alf Ingebriksen zamieszkały w Brensholmen. Wykonane przez niego prace osiągają ceny znacznie przekraczające średnie miesięczne zarobki Norwegów. Norwescy twórcy potrafią świetnie wykorzystać drewno jako materiał do prac artystycznych. Świadczą o tym malowane kasety, pojemniki i puszki z kory brzoźowej — dzieła

Alfa Uklery mieszkającego w Olsborg. Podobnie — gusty nawet najwybredniejszych osób mogą zaspokoić wyroby plecionkarskie, jakie wykonuje Solveig Solvang z Karlstad Maalselv. Koszyki, bransolety, broszki i inne ozdoby z cieniutkich korzonków sosnowych swoimi wzorami i kunsztem wykonania przypominają na pierwszy rzut oka naszą koniakowską koronkę. I tu jeszcze jedna ciekawostka — mąż twórczyni, pan Erling Solvang, jest znanym w Norwegii pisarzem. Obok nadal żywego w tym regionie tkactwa, na uwagę zasługuje wyrób zabawek dla dzieci oraz regionalnych pamiątek. Na większą skalę wykonuje je niedawno uruchomiony zakład „Rombo”. Zakład ten posiada również dział ceramiki oraz krawiecki, w którym szyje m.in. regionalne stroje ludowe.

Wszyscy uznani w północnej Norwegii twórcy są już w podeszłym wieku. Młodzi szukają źródeł utrzymania głównie w przemyśle, rybołówstwie, handlu i usługach. Uprawianie twórczości jest dla nich zajęciem ubocznym, dorywczym i pozbawionym ciągłości. Bardziej widoczni są natomiast w działalności zespołów folklorystycznych, a szczególnie w szeroko rozwiniętym społecznym ruchu teatralnym oraz turystyce. Rodzi się więc pytanie: czy w niedalekiej przyszłości uprawianie twórczości ludowej w Norwegii nie stanie się już historią? W moim przekonaniu takiego niebezpieczeństwa nie ma, zaś nacechowany pewną przezornością stosunek młodzieży do sztuki wynika nie z braku uzdolnień i zainteresowań. Jak mówi Magnor Olsen — „żeby z niej żyć, trzeba najpierw zdobyć sobie uznanie”. A to przychodzi dopiero z czasem.

Nieznane są tu nasze formy pomocy twórcom takie jak: stypendia, subsydia, zapomogi, konkursy z nagrodami, zorganizowane zakupy muzealne itp. Nie ma również na skalę polską pośrednika w zaopatrzeniu materiałowo-surowcowym i handlu pracami. Mają Norwegowie natomiast coś, czego można im zazdrościć — kultura i sztuka ludowa jest tam ważnym ogniwem w edukacji całego społeczeństwa poczynając od dzieci w szkołach podstawowych, a kończąc na emerytach i rencistach. Swoistym ewenementem jest Szkoła Gospodarstwa Domowego w Tromsø. Uczące się tutaj dziewczęta przygotowują się m.in. do prowadzenia własnego domu, do pracy w dużym zakładzie żywieniowym, a także uczą się tkactwa ludowego na tradycyjnych warsztatach. W szkole uderza szczególnie wyposażenie, wykorzystanie komputerów do wypracowywania wzorów tkanin oraz obowiązek wykonania, jako pracy dyplomowej, miniaturowego, tkającego warsztatu według swojego pomysłu. Im dłużej rozmawialiśmy, poznawaliśmy cele, program i panującą w szkole atmosferę, tym bardziej przypominała ona nam, choć już w nowym wydaniu, szkołę dla dziewcząt wiejskich Ireny Kosmowskiej w Krasiecinie.

W edukacji pozaszkolnej uderza szeroko rozwinięty system różnego rodzaju kursów, najczęściej 3-tygodniowych, stanowiących z jednej strony formę organizacji czasu wolnego, z drugiej zaś możliwość podwyższenia swoich kwalifikacji zawodowych. Wystarczy tylko zgłosić swoją chęć specjalnie do tych celów powołanej organizacji o nazwie *Frundervisning* i wnieść stosowną opłatę. W przypadku podnoszenia kwalifikacji zawodowych koszty kursu pokrywa zakład pracy. W kursach z zakresu sztuki ludowej uczestniczą ludzie w różnym wieku i z różnych zawodów. Wymieniony wyżej Magnor Olsen, obok nauki rzeźbienia w Szkole Podstawowej w

Tromsø, każdego roku prowadzi kursy dla emerytów w sanatorium oraz dla 5—6 grup 7—8 osobowych — w swojej pracowni Straumsbukkie. Jednym z jego najzdolniejszych uczniów jest kierownik produkcji browaru w Tromsø.

Sztuka i rękodzieło ludowe stanowią dziś w Norwegii, obok formy organizacji czasu wolnego, jedną z form rehabilitacji chorych, a także profilaktyki. Zmianym tego przykładem jest sanatorium dla osób z chorobami serca i płuc w Skiboten. Sanatorium, obok wyposażenia medycznego, basenu i sauny ma zorganizowane pracownie do nauki sztuki ludowej i rękodzieła m.in. w zakresie rzeźby, tkactwa, malarstwa, obróbki kamienia i metalu. Pobyt w sanatorium i nauka dla osób ze skierowaniem lekarskim są nieodpłatne. Niewielkie opłaty ponoszą tylko emeryci i renciści, którzy przyjeżdżają na kursy bez skierowań. Po każdym kursie organizowane są wystawy prac, jednak bez oceny i nagród. Jak mówią ich organizatorzy — „nam nie zależy na tym, żeby ktoś wygrał lub przegrał, bo nie chcemy nikogo zniechęcać, nam zależy, żeby ludzie traktowali tę działalność jako pożyteczne spędzenie wolnego czasu”. Uczestnicy kursów, jak wszyscy twórcy ludowi, mogą sprzedawać swoje prace bez ograniczeń. Mogą sprzedawać gdzie chcą i za jaką chcą cenę. Powoduje to, że część uzdolnionych emerytów i rencistów, przyuczonych na kursach, w miarę swoich możliwości pozyskuje tą drogą dodatkowe środki utrzymania.

Porównanie sztuki ludowej północnej Norwegii i Polski nie jest łatwe. Wywodzą się one z innych tradycji. Choć w wielu dyscyplinach można dopatrywać się podobnych, a nawet takich samych form, to różnią się one, i to znacznie, swoim stylem oraz wzornictwem. Znacznie łatwiej jest porównać funkcje, jakie spełnia sztuka ludowa w społeczeństwie oraz systemy: organizacyjno-prawny, ekonomiczno-finansowy i edukacji oświatowo-kulturalnej społeczeństwa. W Norwegii kultura i sztuka ludowa służą przede wszystkim ochronie zdrowia fizycznego i psychicznego oraz stanowią jedną z form rekreacji, wypoczynku i organizacji czasu wolnego. Szczególną wagę przywiązuje się tu do rozwoju zainteresowań młodzieży, stąd szkoły podstawowe mają wytyczony tylko ramowy program nauczania z pozostawieniem dużej swobody we wzbogacaniu go m.in. poprzez różnego rodzaju kursy.

Dzieła wykonane przez uznanych społecznie twórców ludowych mają odbiorców i osiągają wysokie ceny. Nikt nie poucza twórcy, jak i co ma robić. On sam musi odbiorcę zainteresować, a nawet przekonać, że jest to praca wykonana zgodnie z tradycją regionalną. Stąd każdy z nich ma pogłębioną wiedzę, niezbędną również do prowadzenia zajęć z uczestnikami kursów. Uznany twórca nie musi zabiegać o uczniów i zajmować się organizacją nauczania. Robią to inni. On przekazuje tylko swoją wiedzę i umiejętności za określonym wynagrodzeniem. Magnora Olsena, po wielu latach pracy twórczej, zna przynajmniej połowa województwa i miasta Tromsø. Jego popularność wzrosła jeszcze bardziej w ostatnich dwóch latach. Bo nikt inny, tylko on odkrył właśnie dla Norwegów z tego regionu w 1986 roku, podczas pobytu w Polsce, że sztuka ludowa istnieje również i w naszym kraju, że żyją tu twórcy oraz mają nawet swoje stowarzyszenie. W rok później rozszerzając swoje zainteresowanie Polską zaprosił i gościł delegację Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Tak rozpoczęło się dla nas przybliżanie kultur ludowych Polski i Norwegii. Pouczające, warte pogłębienia.

CZYTELNICY PISZA

Posiady w nowej formie

Szanowna Redakcjo!

Pragnę się podzielić z twórcami i Wami bardzo miłą imprezą, która dopiero co zaczęła kiełkować pod Tatrami. Prosiłbym o kilka słów o tym wydarzeniu w „Twórczości Ludowej”.

Posiady góralskie w Zakopanem od blisko 20 lat są prowadzone przez Związek Podhalań w każdy wtorek w świetlicy „Swarna” przy ul. Krupówki. W kwietniu br. obchodzono jubileusz 800 posiadów góralskich. Cieszą się one uznaniem nie tylko gości, ale mają szerokie grono sympatyków także wśród mieszkańców Zakopanego i Podhala. Ostatnio przygotowane jest po-

rozumienie o współpracy i wzajemnej pomocy między Ogniskiem Związku Podhalań w Zakopanem a Tatrzańskim Kolem STL. Czynnikiem łączącym jest to, że szereg członków STL jest także członkami Związku Podhalań. Imprezą, która ma służyć obu organizacjom są „Posiady góralskie”. W każdy drugi wtorek miesiąca prezentować się będą twórcy ludowi w różnych dziedzinach sztuki, a więc: poeta, malarz, kowal, rzeźbiarz itp. i muzykant. Pierwsze takie posiady odbyły się 14 lipca br. Swoją poezję recytowała Pani Aniela Swierkowa, która od dłuższego czasu należy do

ścisłego grona współczesnych poetów podhalańskich. Malarstwo reprezentował Jan Stryczek z Harendy — kandydat do STL, który mówił o rozwoju swojej twórczości. Zebrani mogli także obejrzeć wystawę jego prac. Jako muzykant prezentował się Andrzej Krzeptowski-Bohac. Przedstawił on w krótkich słowach rozwój swojego zainteresowania muzyką góralską w oparciu o środowisko, w którym wyrósł i zagrał kilka melodii. Należy nadmienić, że zaprezentował on również swoją pracę nauczycielską w postaci występu pięknie grających dzieci, które uczył gry na skrzypcach w oparciu o stare zasady gry. Zebrany posiady dostarczyły wiele wrażeń artystycznych a także zbliżyły twórców i pozwoliły poznać trudy ich działania.

Andrzej Gąsienica-Makowski

Panie Radaktorze!

Przez przypadek trafił do moich rąk 3-ci numer Waszego pisma, które mnie bardzo zainteresowało, a którego chciałbym posiadać dwa pierwsze numery. Czy istnieje możliwość wysłania mi dwóch pierwszych numerów za zaliczeniem pocztowym?

Przez trzydzieści lat zajmuję się sztuką dziecka, a przez 16 lat pełniłem funkcję dyrektora Szkoły Podstawowej nr 8 w Sopocie. W okresie 1985/86 odbywałem tournée po krajach europejskich prezentując dziecięcą sztukę moich uczniów. Od ubiegłego roku pracuję jako etatowy nauczyciel plastyki w Szkole Podstawowej nr 53 w Gdańsku. Od tego roku szkolnego pragnę poważnie zająć się malarstwem na szkole dzieci mojej szkoły, inspirowanym folklorem. Pragnę podjąć próbę wskrzeszenia dobrych tradycji kaszubskiego malarstwa na szkole, zanikającego w obecnych czasach. Według informacji uzyskanych w gdańskim WOK-u aktualnie na terenie okręgu gdańskiego malarstwem na szkole twórczo zajmuje się zaledwie sześć osób. Na bazie moich trzydziestoletnich doświadczeń podejmę również próbę zorganizowania kursu malarstwa na

szkole dla rodziców (szczególnie dla matek niepracujących). Mam na myśli kurs otwarty, w którym będą mogły uczestniczyć osoby również spoza szkoły.

Przebywając podczas tegorocznych wakacji na XXIV Tygodniu Kultury Beskidzkiej w Wiśle otrzymałem propozycję komitetu organizacyjnego przygotowania w przyszłorocznym, jubileuszowym TKB, wystawy malarstwa na szkole moich uczniów pt. „Beskidy w oczach dzieci”, którą „zaklepał” sobie również doc. Kadłubiec z Zaolzia — na przyszłoroczne „Gorolski Święto” w Jabłonkowie.

W latach pięćdziesiątych byłem nawet przez krótki okres pracownikiem muzeum, którym kierował dr L. Malicki. Tak sobie myślę, że przez wdzięczność za to, iż kiedyś przed laty zaszczerpił u mnie zainteresowanie folklorystyczne, dziś, w pracy z młodzieżą, chciałbym spłacić dług temu zasłużonemu etnografowi. Przez kilkanaście ostatnich lat nie miałem czasu na głębsze wejście do działalności na niwie folkloru, będąc stale uwiązany i zabsorbowany funkcjonowaniem szkoły, administracją, sprawami gospodarczymi, harcerstwem, esperantom (przez 15 lat jako język obowiązkowy), szachami jako przedmiotem (szkoła stowarzyszona

UNESCO, otwarta na szeroki świat), turystyką zagraniczną i innymi sprawami. A przy tym wszystkim, jako dyrektor, miałem zaledwie kilka lekcji plastyki, dzięki którym musiałem osiągać względne wyniki w skali międzynarodowej dla dobra i podtrzymania dobrej opinii szkoły. Dlatego też nie starczyło czasu na szersze zainteresowania etnograficzne. Jako syn Ziemi Cieszyńskiej w ostatnich latach, z wdzięczności dla moich dobrych nauczycieli cieszyńskiego seminarium, opracowałem „Słownik gwary cieszyńskiej” (3000 tys. haseł), który bardzo pragnęłaby wydać Macierz Ziemi Cieszyńskiej. Niestety, brak papieru wstrzymuje na razie realizację zamierzenia.

Dziś jestem wolnym, bez obciążeń administracyjnych i wielu innych obowiązków dodatkowych. Pragnę poświęcić moje najbliższe lata wyłącznie sztuce dziecka, a tym samym i popularyzacji etnografii i naszego, rodzimego folkloru kaszubskiego. Jestem dobrej myśli i pełen nadziei. Myślę, że zapukała do mych drzwi nowa pasja, która powinna przynieść efekty nie tylko w wychowaniu i kształceniu młodzieży ale także dla środowiska.

Łączę wyrazy szacunku
i pozdrawiam
Józef Golec

Środek energii

Poprzedni, wprowadzający do ludowej, czy inaczej — tradycyjnej medycyny chińskiej odcinek zakończyliśmy omówieniem prawa męża — żony. Teraz przejdziemy do prawa wyleczenia. Mówi ono, że choroba, aby być skutecznie i bezpowrotnie wyleczona — musi wyjść z wnętrza na powierzchnię, z góry na dół, i że zniknie dając symptomy w odwrotnej kolejności niż one następowały przy zachorowaniu. W innym przypadku będzie to tylko zalecenie, choroba pozostanie w organizmie w stanie utajonym i musi kiedyś znowu ujawnić się. Jest to problem zbyt skomplikowany, by go omówić w kilku zdaniach a tym bardziej zrozumieć. W każdym razie lekarz tradycyjnej medycyny chińskiej zanim podejmie leczenie, długo wypytuje pacjenta o wszystkie choroby, jakie przeszedł od dzieciństwa, gdyż mogą one mieć ścisły związek z obecną chorobą. Np. pacjent cierpiący na astmę czy rozedmę płuc mówi, że w dzieciństwie męczył go trądzik. A tradycyjna medycyna chińska uważa skórę za trzecie płuco wspomagające oddychanie organizmu oraz usuwanie toksyn i zanieczyszczeń. Zatem wyleczenie będzie tylko wówczas całkowite, gdy u pacjenta znikną objawy astmy czy rozedmy płuc a następnie pojawi się, choćby na krótki czas trądzik, który tym razem będzie sygnałem całkowitego wyleczenia. Choroba zaniknie od środka, wyjdzie na powierzchnię i już się nie powtórzy.

Przy okazji kilka zdań o gorączce. Przyzwyczailiśmy się z miejsca i natychmiast likwidować najmniejsze jej objawy. Tymczasem Worsley powiada: Daj mi gorączkę, a wyleczę cię cokolwiek! Gorączka bowiem jest naturalną bronią naszego organizmu, w ten właśnie sposób organizm walczy i wydalą „najeżdżającego wroga”. Sztuczne obniżanie

gorączki nie pozwala ciału przeprowadzić naturalnego procesu samowyleczenia. Tłumi chorobę, która w przeciwnym wypadku zostałaby przez organizm zlikwidowana, „wyszłaby na wierzch”. Płacimy za to w dalszym życiu; w ten sposób powstają zaburzenia sercowe i inne, bo ogień jest tłumiony, bo nie pozwoliliśmy mu wyjść. To jest tak, jakby śmiecie i brud zgarnąć pod dywan.

I tak doszliśmy do ostatniego prawa, prawa pięciu elementów, które tworzą zamknięty krąg. Ten krąg ma swój środek energii, który można by porównać do piasty koła. Jeżeli ten środek jest rzeczywiście idealną „piastą”, człowiek ma harmonię w sobie, jeżeli nie — przejdzie przez życie bez harmonii ciała, umysłu i duszy, jakby jechał na kole, którego piasta nie jest zamontowana w samym środku. Podobno można samemu to sprawdzić. Środek energii powinien znajdować się w okolicach pępka. Należy złożyć trzy główne palce oraz kciuk pozostawiając małą dziurkę w środku i położyć dłoń centralnie na pępku. Po przyciśnięciu powinniśmy odczuwać pulsowanie dokładnie tak samo trzema palcami jak i kciukiem. Jeżeli jest ono przesunięte, można spróbować wypośrodkować to centrum energii przez delikatne masowanie w kierunku środka. Jest to klasyczny zabieg „samocentrowania własnej energii”.

Wróćmy teraz na chwilę do początku naszych rozważań. Powiedzieliśmy, że według systemu tradycyjnej medycyny chińskiej ciało człowieka posiada dziesięć podstawowych organów (serce, jelito cienkie, pęcherz moczowy, nerki, woreczek żółciowy, wątroba, płuca, okrężnica, żołądek i śledziona) oraz dwie funkcje: krążenie — seks i potrójny grzejnik. Teraz zaj-

miemy się funkcjami. Odgrywają one w organizmie ogromną rolę. Funkcja krążenie — seks jest odpowiedzialna za krążenie krwi w tętnicach i żyłach oraz wewnętrzne i zewnętrzne wydzielanie płciowe. Nie jest to funkcja serca ale niejako kontrolera całego krążenia i wydzielania płciowego. Funkcja ta należy do elementu „ognia”. Wiadomo, krew jest związana z ogniem, ciepłem i czerwonym kolorem. Jeżeli więc mamy pacjenta o wiecznie zimnych stopach i dłoniach, to może (ale nie musi) to być stresowy sygnał funkcji, która nie pracuje prawidłowo, ponieważ nie może zapewnić dopływu krwi do odległych części ciała. A zastoje krwi, to żylaki, hemoroidy i inne schorzenia. Jeżeli w zakresie tej funkcji dochodzi do znacznej nieprawidłowości, to osoba staje się impotentem lub jest oziębła seksualnie. Jeżeli natomiast mamy do czynienia z nadczynnością, to ma to skutki w nadmiernej aktywności seksualnej. W akupunkturze, poprzez południk funkcji „krążenie — seks” można zrównoważyć energię, która kontroluje nie tylko fizyczne organy płciowe ale również ich aspekt mentalny i duchowy. Pełne zadowolenie i spełnienie w miłości może mieć wyłącznie miejsce, gdy funkcja „krążenie — seks” jest w miarę dobrze zrównoważona.

Chińczycy nazywali każdy organ w ciele „urzędnikami”. Każdy „urzędnik” miał do spełnienia jedno, specyficzne zadanie jako część dużej całości. Tak np. „urzędnik” funkcji „krążenie — seks” uważany był za strażnika serca, jako „głównego kontrolera” — króla, który ma władzę nad jedenastoma pozostałymi urzędnikami czy powiedzmy — ministrami. Doskonale wiedzieli o zaburzeniach i kłopotach, które mają poszczególne

organy czyli mówiąc dalej językiem obrazowym — urzędnicy czy ministrowie. Zwracają się oni do króla o pomoc, król próbuje skoordynować ciało, umysł i duszę, pomóc każdemu z ministrów, ale gdy zaczęła wołać jednocześnie, to go zniszczy. Dlatego natura dała mu ochronę — funkcję „krążenie — seks”. Jest ona jakby murem ochronnym wobec króla. Gdy będzie ochraniały, może całą energię poświęcić na kontrolę i koordynację pracy wszystkich ministrów.

Jak widać, funkcja „krążenie — seks” wg tego systemu ma ogromną władzę nad miłością, radością, śmiechem i prawdziwą satysfakcją. Zdarza się, że wielu ludzi nie ma w sobie nawet promyka słońca, nie ma radości, uśmiechu, miłości, nie ma ciepła. Jak mówi tradycyjna medycyna chińska, wszystko to można przywrócić, jeżeli wzmacni się funkcję „krążenie — seks”.

Drugą funkcję — „potrójnego grzejnika” jest łatwiej zrozumieć. Medycyna naukowa zakłada, że ciało człowieka ma cały czas stałą temperaturę. Medycyna chińska powiada, że tak nie jest. Mamy jednolitą temperaturę ciała czasem tylko pozornie. Poszczególne organy czy części ciała mogą być niedo-grzane. A skutki tego są ogromne. Tysiące chorób powstaje na tym tle. Przy czym są to choroby niejako pozorne, organy bowiem są w porządku ale nie mogą prawidłowo funkcjonować, gdyż są „zamrożone”, kurczą się. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w którymś pracujemy, oziębia się ponad miarę. Staniemy się wówczas niewydajni, sfrustrowani, skuleni w sobie, przestaniemy myśleć o innych całą uwagę poświęcając nie pracy a swojemu cierpieniu. Podobnie dzieje się w przypadku przegrzania. Wystarczy przywrócić właściwą temperaturę a wszystko powróci do normy. Tak samo dzieje się z naszymi organami. Otóż natura wyposażyła nasz organizm w pewien mechanizm, który Chińczycy nazwali „funkcją potrójnego grzejnika”, a którego zadaniem jest utrzymywanie każdego organu w harmonii i równowadze temperaturowej.

Tradycyjna medycyna chińska dzieli ciało na trzy części — trzy „Chou”. Mamy zatem górne „Chou”, środkowe i dolne. W górnym „Chou” znajduje się serce, płuca i funkcja „krążenie — seks” — dwa elementy ognia i jeden metalu. Założymy, że górne „Chou” nagle bar-

dzo oziębia się. Wówczas te trzy organy kurczą się, przestają prawidłowo funkcjonować i człowiek nie może normalnie oddychać. Medycyna zachodnia, mówi uszczypliwie Worsley, nazywa to astmą lub inną głupią nazwą, a to nie takiego nie jest, co nie znaczy, że każdy przypadek astmy ma taką przyczynę. Innymi objawami może być zaburzenie pracy serca, zimne stopy lub zaburzenie erekcji, pojawiają się również symptomy na poziomie umysłowym. Ludzie tacy tracą radość życia, uczucie miłości i wykazują brak „ognia”. W takich okolicznościach manifestuje się żal, związany z elementem „metal”, do czego dochodzą zaburzenia fizyczne, gdyż ledwie można oddychać i pojawiają się bóle w klatce piersiowej. Wystarczy sprowadzić ciepło z powrotem do górnej części ciała a oba organy i funkcje znajdują się znowu w równowadze. Wszystko powróci do normy. Robi się to przez akupunkturę.

Oziębienie dolnego „Chou” z kolei może prowadzić do zaburzeń pracy pęcherza moczowego, nerek, zaniku lub zaburzeń i nieregularności menstruacji, nadmiernego oddawania moczu, niemożność wydalania moczowego lub skurczów w dolnej części brzucha. Innymi objawami mogą być: rozwolnienie stolca i całkowity zanik libido. W przypadku kobiet, może nastąpić niemożliwość zajścia w ciążę. Po prostu dolna część ciała jest nadmiernie oziębiona, nie ma więc warunków do poczęcia dziecka, nie stanie się to przecież w „lodówce”. Lekarze medycyny zachodniej leczą wówczas nerki, pęcherz moczowy, odbyt i choroby kobiece, ale w rzeczywistości z organami nie dzieje się nic złego. Gdy się zwiększy ciepło w tej części ciała, to symptomy chorobowe po prostu znikną, wszystko powróci do normy. Worsley przestrzega przed nagłymi, sztucznymi zmianami temperatury (zbyt gorąca kąpiel, wchodzenie do zimnej, lodowatej wody itp.), gdyż jest to brutalne nadużywanie „potrójnego grzejnika”, który ma za zadanie utrzymywać stałą, najkorzystniejszą temperaturę ciała, umysłu i duszy, by mogły normalnie funkcjonować.

Czy można dokonać samodiagnozy prawidłowego funkcjonowania „potrójnego grzejnika”? Jest to bardzo trudne ale można próbować. Należy mały palec położyć na poziomie pępka — to jest środkowe „Chou”.

W górę będzie górne, w dół dolne. Jeżeli funkcja potrójnego grzejnika działa prawidłowo, temperatura we wszystkich „Chou” będzie identyczna. W razie nierównowagi samoleczenie polega na fizycznym dotlenieniu organizmu. Jak widać czyste, zdrowe powietrze, ruch, wysiłek fizyczny również i w medycynie chińskiej ma swoją wagę. Jest to zresztą naturalny sposób życia.

Mówimy tutaj o medycynie chińskiej w ogromnym uproszczeniu próbując jedynie wychwycić jej sens. W rzeczywistości jest to wiedza bardzo obszerna i skomplikowana. Na przykład — doświadczony lekarz tego systemu na podstawie jedynie pulsów prawej i lewej ręki może postawić trafną diagnozę, a także powiedzieć co działo się z danym organizmem w przeszłości, co jest z nim teraz i co nastąpi. I nie jest to wróżenie, lekarz po prostu umie dokładnie odczytać stan zdrowotny organizmu oraz na tej podstawie określić jego zachowanie w różnych okresach życia. Pulsów takich jest dwanaście a każdy ma aż 28 cech charakterystycznych. Nieraz trzeba całego życia, aby nauczyć się właściwie je odczytywać. Worsley powiada, że studiuje tradycyjną medycynę chińską już trzydzieści lat i nadal uważa się za ucznia doszedłszy do dwudziestej szóstej cechy charakterystycznej pulsów. Tym, którzy potrafią w sposób pełny „czuć”, „słyszeć” i „patrzeć” ciało powie wszystko o sobie, powie także czego potrzebuje. Nie potrzeba natomiast być specjalistą ani lekarzem, by „wysłuchać” się w siebie, poważnie potraktować swój organizm i nie zmuszać go do funkcjonowania wbrew prawom natury, bo jest on jej częścią.

Organizm ma nie tylko powiązania wewnętrzne, w wyniku których naruszenie jednego elementu powoduje zakłócenie równowagi czyli harmonii całości, ale także powiązania zewnętrzne. Mówiliśmy na początku o witalnej energii „Chi”, o połączeniu nas w energię kosmiczną. Energia witalna jest także przekazywana z jednej osoby na drugą. Zdarza się np., że rozmawiamy z jedną lub paroma osobami i nagle wchodzi osoba trzecia, której nie lubimy, lub obojętna ale jakaś „inna”. Nie musi zabierać głosu, by nagle atmosfera zmieniła się, tylko z powodu jej obecności, bliskości. I na odwrót, samo wejście osoby

trzeciej może ożywić nastrój, spowodować, że robi się miło, optymistycznie. Jest to przykład, jak nasza fizyczna energia manifestuje się i działa na ludzi, z którymi mamy kontakt. Najbardziej jednak na tę energię wrażliwe jest niemowlę w pierwszych miesiącach życia, nie potrafiące przecież jeszcze rozumować a nawet świadomie rozpoznawać. Gdy np. dziecko jest niespokojne, wystarczy, że bezszelestnie wejdzie matka; dziecko nie musi się odwracać, widzieć, by poznać, że matka jest blisko. Natychmiast uspokoi się. Załóżmy, że ktoś nie lubi dzieci, idzie do przyjaciół, bierze niemowlę na ręce, przymilnie „zachwyca się” nim, a dziecko krzyczy, płacze jakby chciało powiedzieć: nie bądź kłamcą, wiem co

myślisz, idź precz. Matka dziecko bierze na ręce i to natychmiast uspokaja się.

Mówiąc na marginesie, znam z opowiadania autentyczny, podobny, ale okrutny przypadek z czasów wojny. Otóż grupa ludzi przedzierała się przez pierścień band UPA nosząc ze sobą niemowlę, którego rodzice zostali zamordowani. Dziecko darło się przez cały czas, opiekunowie nie mogli znaleźć sposobu na jego uspokojenie. Rzecz jasna było dla wszystkich ciężarem, po zdradzeniu placem obecności grupy groziła jej likwidacja. Moralność jednakże, etyka nie pozwalały zostawić dziecka. Grupa uradziła w końcu, że dla dobra wszystkich, a były tam i in-

ne dzieci z rodzicami, dziecka należy pozbyć się. Wówczas zgłosił się starszy człowiek oświadczając, że on to uczyni. Wziął niemowlę, odszedł, by po jakimś czasie wrócić z wolnymi rękoma. Była zimna noc. Kiedy grupa przeszła szczęśliwie przez pierścień na bezpieczny teren, wyjął spod kożucha spokojne niemowlę. Grupa „osłupiała” ze zdziwienia.

On po prostu zaakceptował dziecko i sytuację. Z miłości dla bezbronnego życia zaryzykował życie własne i grupy. Niemowlę to „rozumiało”.

W następnym spotkaniu będziemy mówić o istotnym wpływie kolorów na nasze zdrowie, samopoczucie a nawet zachowanie się.

TRYBUNA POETYCKA

Ryszard Kornacki urodził się w 1940 r. w Lublinie; obecnie mieszka w Międzyrzeczu Podlaskim. W swoim czasie był członkiem Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy działającym przy ZMW, w latach 1973—1985 wydał cztery tomiki poetyckie: *Wyjście z ciszy*, *Szukam człowieka*, *Złote słońce słowa*, *Puszka Pandory*. Niżej publikujemy dwa z najnowszych wierszy poety.

RYSZARD KORNACKI

Zapis kolejny

Kamilkowi K. — wnukowi

dzień dyszy ciężko
gorączkowo
ziemia już poświęcona
potem deszczu
termometr zaś złocisty
słońca
sięga zenitu
w senność wtrąca
paruje obłok pochylony
nad ściegiem między
ścianą pola
niziutko
pod poziomki listkiem
śni biedronka
nie ćwiczy etiud
konik polny
ledwie pociąga smykiem
ciszę
muszelką ucha
dotknij trawy
słyszysz?

wczoraj i dziś

Mietkowi Lawendzie

małe miasteczka mówią cicho
łagodnością nadrabiając minę
na tych samych drzemających uliczkach
drzemią te same zaleknione sprawy
w otwartych oknach
plotkują firanki
z głowami śnieżnobiałych staruszek
wróble kąpią się w piaskownicach
prawie barokowych podwórek
ukwieconych fasolką cebulą i malwami
dzieci jak brzydkie kaczątko
rozbijają lustra kałuż
na placach pod nowe osiedla
ich szósty zmysł każe im zapominać
rachunki wczorajszego dnia
tylko my
skażeni lękami niespokojnych nocy
kryjemy się w małych miasteczkach
w poszukiwaniu fotoplastikonu

Tadeusz Michalski z Przedborza laureatem nagrody „Odgłosów”

Miałem szczęśliwą rękę prezentując Państwu, w artykule *Kolbergowie lat osiemdziesiątych* („Twórczość Ludowa” nr 2/87, str. 6 i 7) sylwetkę Tadeusza Michalskiego, współczesnego Kolberga, pedagoga i poety, animatora zbierackiego działania uczniów Zasadniczej Szkoły Rolniczej i Technikum Wieczorowego w Przedborzu (woj. piotrkowskie) i organizatora Społecznego Muzeum Ludowego.

Kilka dni po ukazaniu się „Twórczości Ludowej” dotarła do mnie wiadomość, że jury dorocznej nagrody łódzkiego tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” za upowszechnianie kultury, trzecią edycję tej nagrody (za rok 1986) przyznało właśnie panu Tadeuszowi Michalskiemu z Przedborza. Godzi się przypomnieć, że w poprzednich dwóch latach laureatami nagrody „Odgłosów” byli: Antoni Szram — organizator Muzeum Miasta Łodzi, inicjator powołania i aktualny organizator Muzeum Kinematografii w Łodzi oraz Sławomir Pietras — dyrektor Teatru Wielkiego w Łodzi.

Pracy Tadeusza Michalskiego poświęcony był artykuł w „Odgłosach” (nr 22 z dn. 30 V 1987) autorstwa Pawła Tomaszewskiego pt. *Weź do ręki choćby grudkę ziemi...*, tytuł zaczerpnięty z jednego z wierszy laureata. Na kilka dni przed uroczystym wręczeniem nagrody, w Przedborzu odbyło się kolejne „Spotkanie twórców ludowych Ziemi Piotrkowskiej”, bo zorganizowane (we wrześniu 1986 r.) przez Kolegę Tadeusza Michalskiego „Społeczne Muzeum Ludowe” tętni życiem i animuje nie tylko młodzież, także twórców i artystów ludowych.

Na zakończenie wspomnianego artykułu w „Odgłosach”, autor pisze: „... Są ludzie, o których się mówi: człowiek—institucja. Tadeusz Michalski z Przedborza z pewnością zasługuje na to miano. Jest pedagogiem, wychowawcą, działaczem społecznym i kulturalnym, poetą, etnografem-amatorem, działa w PRON, jeździ na spotkania z dziećmi i młodzieżą wiejskich szkół, interesuje się radiestezją, medycyną... Trudno wprost wymienić wszystko to, czym się zajmuje. Niektórzy mówią więc, że On JEST. I to jedno słowo wystarczy za wszystkie dowody uznania.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI



KYODIKA

● Ministerstwo Kultury i Sztuki, Departament Domów Kultury i Działalności Społeczno-Kulturalnej, Centralny Związek Spółdzielni Rękodziela Ludowego i Artystycznego „Cepelia”, Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Etnograficznego w Toruniu oraz Muzeum Etnograficzne w Toruniu byli organizatorami konkursu „Zdobnictwo w Garncarstwie Ludowym”. 13 kwietnia br. w Muzeum Etnograficznym w Toruniu nastąpiło otwarcie wystawy pokonkursowej, czynnej do końca września 1987 r.

● 22 maja br. w Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej nastąpiło podsumowanie konkursu „Sztuka Ludowa Południowego Podlasia 87” wraz z wręczeniem nagród oraz otwarciem wystawy pokonkursowej. Konkurs zorganizowali: Muzeum Okręgowe w Białej Podlaskiej, Muzeum Regionalne w Łukowie, Oddział Białkopodlaski i Siedlecki STL oraz Podlaskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne w Białej Podlaskiej.

● Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Książnica Miejska im. Mikołaja Kopernika przy współpracy z Wojewódzkim Ośrodkiem Postępu Rolniczego w Przysieku zorganizowały w dniu 27 maja 1987 r. w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Toruniu sesję literacką na temat „Nasze korzenie”. W jej ramach odbyły się m.in. otwarte wystawy „Fotografia chłopów polskich” (wersja objazdowa ekspozycji w Warszawskiej Zachęcie) oraz spotkania autorskie z prof. Józefem Bursztą, doc. Stanisławem Siekierskim oraz z pisarzem, redaktorem naczelnym kwartalnika społeczno-kulturalnego „Regiony” — Wiesławem Myśliwskim.

● 30 maja br. w Urzędzie Miasta w Iławie odbyło się spotkanie twórców — kandydatów Stowarzyszenia Twórców Ludowych z woj. olsztyńskiego i elbląskiego. Spotkaniu przewodniczył Jan Kowalski — prezes Zarządu Warmińsko-Mazurskiego Oddziału STL. Przybyli na nie również przedstawiciele władz wojewódzkich oraz miejskich Iławy, m.in.: Leonard Serbintowicz, przedstawiciel Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Olsztynie i Kazimierz Oniszcuk, z-ca Dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie. W trakcie spotkania zapoznano uczestników ze Statutem STL oraz z uchwałami VII Krajowego Zjazdu STL. Twórcy zadeklarowali dobrowolną, coroczną składkę w kwocie od 2200 zł do 6000 zł na Fundusz Ochrony i Rozwoju Twórczości Ludowej.

● 2 czerwca 1987 r. w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki — Bródno w Warszawie odbyło się otwarcie wystawy rzeźby Józefa Muszyńskiego — mieszkańca Legionowa. Organizatorami byli: Oddział Mazowiecki Stowarzyszenia Twórców Ludowych i Mazowieckie Towarzystwo Kultury. Na wystawie zaprezentowano 21 prac poświęconych tematyce wojskowo-historycznej, wojennej oraz sakralnej. Były to zarówno pojedyncze rzeźby jak i kompozycje wielofiguralne, wyrzeźbione w jednym kawałku drewna. Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem. W dniu 19 czerwca br. w programie telewizyjnym „Kurier Warszawski” ukazała się krótka informacja o ww. wystawie i o twórczości Józefa Muszyńskiego.

● 4 czerwca br. Oddział Warszawski ZLP zorganizował roboczy pokaz prac artysty malarza Kazimierza Franckiewicza, rozpoczynających cykl malarstwa inspirowanego twórczością poetki Jana Pocka pod hasłem „Ziemia”. Ekspozycja ta poświęcona została wielkiemu ludowemu pocie Janowi Pockowi. Kazimierz Franckiewicz

Laureat nagrody „Odgłosów” — Tadeusz Michalski

Fot. Grzegorz Galasiński



Józef Muszyński i jego rzeźba pt. „Powstaniec warszawski”.

Fot. Archiwum

wiecz tak mówił o swojej wystawie: „Minęło szesnaście lat, gdy przedwcześnie zmarły twórca z Kalenia, poeta-rolnik Jan Poceek, pozostawił utwory o wielkiej humanistycznej i literackiej wartości. Moim dążeniem jest, by dzięki różnym formom popularyzacji poezja Jana Poceka stała się własnością powszechną całego społeczeństwa. Dlatego już dzisiaj — przed ukończeniem zamierzonego cyklu — zapraszam Państwa, by przedstawionej idei torować drogę do serc i umysłów. Wierzę, że dyskretnymi i subtelными działaniami można również pomóc wciąż jeszcze pięknej, lecz jakże udręczonej „Matce Ziemi”.

● 5 czerwca 1987 r., w salach Muzeum im. W. Orkana w Rabce, otwarto wystawę „Malarstwo na szkle Eweliny Peksowej”.

● Muzeum Ludowych Instrumentów Muzycznych w Szydłowcu wraz z Towarzystwem Kulturalnym im. Oskara Kolberga w Przysusze zorganizowało sesję popularnonaukową z okazji Dni Kolbergowskich „Przysucha 87”. W Sesji wzięli udział m.in.: dr Piotr Dahlig z Instytutu Sztuki PAN z Warszawy, który wygłosił referat: „Wiejskie zespoły instrumentalne na ziemiach polskich w XIX wieku”, mgr Hanna Pawlak — redaktor „Dziel Wszystkich Oskara Kolberga” z Poznania, która zabrała głos na temat „Kompozycji Oskara Kolberga”, mgr Witold Przewoźny — redaktor „Dziel Wszystkich Oskara Kolberga” z Poznania, który wygłosił referat: „Indeks dla „Dziel Wszystkich Oskara Kolberga” a nowoczesny system wyszukiwania informacji” oraz mgr mgr Teresa i Adam Osuchowscy, którzy omówili „Obrzędy weselne w Rdzuchowie wg. Kolberga i obecnie”. Sesja odbyła się 6 czerwca br. w Domu Kultury w Przysusze.

● Ministerstwo Kultury i Sztuki, Departament Domów Kultury i Działalności Społeczno-Kulturalnej, Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie zorganizowały wystawę prac Bronisława Bednarza z dziedziny rzeźby i malarstwa na szkle, której otwarcie nastąpiło w dniu 16 czerwca br. w Warszawie, w Muzeum Etnograficznym na ul. Kredytowej 1.

● Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, Muzeum Okręgowe w Lublinie, Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie oraz Oddział Lubelsko-Chełmski STL byli organizatorami wystawy pokonkursowej „Tkalinina i haft ludowy”, której otwarcie nastąpiło w salach Muzeum Okręgowego w Lublinie w dniu 19 czerwca br.

● W dniach 25—28 czerwca br. w Kazimierzu n/Wisłą odbył się XXI Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych. Głównym organizatorem tej największej w

kraju imprezy popularyzującej autentyczny folklor muzyczno-śpiewaczy jest tradycyjnie już Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie. Festiwalowi patronuje Ministerstwo Kultury i Sztuki, wśród współorganizatorów natomiast znajdują się m.in. Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Zarząd Główny STL, Komitet d/s Radia i TV, Zarząd Krajowy ZMW, Wydział Kultury i Sztuki w Lublinie, Muzeum Okręgowe w Lublinie oraz Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury i UM w Kazimierzu.

W br. w Festiwalu wzięły udział: 22 kapela, 14 solistów-instrumentalistów, 28 zespołów śpiewaczych i 21 solistów-śpiewaków.

Jury Festiwalu, biorąc pod uwagę dobór repertuaru, jakość wykonania, charakterystyczne cechy regionu, przyznało następujące nagrody:

W kategorii kapel główną nagrodę „Basztę” otrzymała kapela „Wiatroki” z Rydzyny, woj. leszczyńskie. Trzy pierwsze nagrody przyznano: kapeli „Wisieloki” z Szymanowa, woj. leszczyńskie, kapeli Antoniego Kality z Rykowa, woj. radomskie i kapeli Mariana Pełki z Kludna, woj. radomskie; dwie drugie nagrody: kapeli „Hygni” z Nowego Targu, woj. nowosądeckie i kapeli „Podegrodzie” z Podegrodzia, woj. nowosądeckie; cztery trzecie nagrody — kapeli z Albigowej, woj. rzeszowskie, kapeli z Wartkowic, woj. sieradzkie, kapeli Kozłarzy Tomasza Kotkowiaka ze Zbąszynka, woj. zielonogórskie i kapeli „Galicja” z Tarnowa. Ponadto przyznano cztery wyróżnienia.

W kategorii solistów-instrumentalistów jury przyznało następujące nagrody: Główną nagrodę „Basztę” — Leonowi Widzowi ze Zdzilowic, woj. tarnobrzesckie (skrzypce); trzy pierwsze nagrody: Stanisławowi Hulbójowi z Jeleśni, woj. bielskie (skrzypce), Edmundowi Brożkowi ze Zdziarki, woj. chełmskie (skrzypce) i Janowi Kucheie z Osobnicy, woj. krośnieńskie (skrzypce); cztery drugie nagrody: Franciszkowi Mrowcowi z Jeleśni, woj. bielskie (dudy), Janowi Leszczyńskiemu ze Zdzilowic, woj. tarnobrzesckie (skrzypce), Janowi Korusowi z Mydnik, woj. krakowskie (skrzypce) i Kazimierzowi Graczykowi z Powodowa, woj. sieradzkie (harmonia); dwie trzecie nagrody Józefowi Bilskiemu z Dobrzelina, woj. plockie (skrzypce), Piotrowi Czeranowskiemu z Mokrego II, woj. białsko-podlaskie (skrzypce). Przyznano również dwa wyróżnienia.

W kategorii zespołów śpiewaczych nagrody otrzymali: Główną nagrodę „Basztę” — zespół z Wyrk Polód, woj. chełmskie; pierwszą nagrodę: zespół z Gościszowa, woj. jeleniogórskie, zespół „Pogranicze” z Szypliszek, woj. suwalskie i zespół z Zawieprzyc, woj. lubelskie; drugą nagrodę zespół z Rogóżna, woj. zamojskie, zespół z Poręby Górnej, woj. nowosądeckie, zespół z Leśnicy, woj. nowosądeckie i zespół „Jastrowianki” z Jastrowa, woj. piłskie; trzecią nagrodę: zespół ze Stanisławowa, woj. chełmskie, zespół z Bochojnic, woj. lubelskie, zespół z Wólki Kątnej, woj. lubelskie i zespół z Nawozu, woj. zamojskie. Przyznano także dwa wyróżnienia.



Zespół śpiewaczy z Wyrk Polód, woj. chełmskie

W kategorii solistów-śpiewaków jury przyznało: główną nagrodę „Basztę” — Ninie Nikolajuk z Dobrynia Dużego, woj. białkopodlaskie; pierwszą nagrodę: Mariannie Dmítruk z Sitnika, woj. białkopodlaskie. Antoninie Kuracie ze Zmigródka, woj. wrocławskie; drugą nagrodę — Julii Pachowicz z Księżnic, woj. krakowskie; trzecią nagrodę Hallnie Koper z Zawadek, woj. zamojskie i Genowefie Wrzosek z Radzie Dużych, woj. radomskie. Ponadto przyznano cztery wyróżnienia oraz nagrody i wyróżnienia w konkursie „Duży—Mały”.

Jury XXI Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu jest przekonane, że tegoroczne prezentacje dobrze służyły naczelnej idei Festiwalu, którego celem jest przegląd, ochrona i zachęta do kultywowania tradycji autentycznego folkloru.



Zespół śpiewaczy „Pogranicze” z Szypliszek, woj. suwalskie



Grupa śpiewacza z Bukowiny Tatrzańkiej, woj. nowosądeckie — laureaci I nagrody w konkursie „Duży — Mały”

● W ramach Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych, w dniach 26—28 czerwca br. Zarząd Główny STL przygotował tradycyjne targi sztuki ludowej. W br. zaproszonych zostało 80 znanych twórców z całego kraju, reprezentujących niemal wszystkie dziedziny sztuki ludowej. Wyroby twórców ludowych można było obejrzeć i zakupić w stoiskach usytuowanych na Rynku Głównym. W roku bieżącym powrócono do tradycji pokazów

wytwarzania, co spotkało się z dużym zainteresowaniem tłumnie obiegających rynek widzów. Szkoda tylko, że władze Kazimierza nie potrafiły któryś tam rok z rzędu usunąć z Rynku zaimprovizowanych stoisk handlarzy, oferujących towary czy wyroby nie mające nic wspólnego ze sztuką ludową. No cóż, gdzie kują konie, tam i żaba nogę podstawią.



Targi Sztuki Ludowej — Kazimierz 1987. Na zdjęciu: Rozalia Szypuła z Czechowic-Dziedzic prezentuje swoje obrazy na szkle

● Z okazji jubileuszu 10-lecia powstania Oddziału STL na Ziemi Radomskiej, w dniu 28 czerwca br. w Muzeum Wsi Radomskiej w Radomiu odbyło się uroczyste spotkanie twórców ludowych, nad którym patronat objęło „Życie Radomskie”. Okolicznościowe przemówienie wygłosił dyr. Muzeum, dr Stefan Rosiński, po czym nastąpiło wręczenie odznaczeń, dyplomów i nagród. W ramach imprez towarzyszących odbył się koncert kapel i zespołów ludowych. Zorganizowano również kiermasz sztuki ludowej.

● 4 lipca br. w Sali Białej Lubelskiego Domu Kultury w Lublinie otwarto fotograficzną wystawę poplenerową — „Urzeczeni Podhalem” połączoną z „Posiadami”. Organizatorami imprezy byli: Wojewódzki Dom Kultury, Ognisko Związku Podhalan oraz Lubelski Dom Kultury.

● Muzeum Wsi Radomskiej w Radomiu, w dniu 12 lipca br. zorganizowało XIII Aukcję Sztuki Ludowej, na której zgromadzono prace z następujących dziedzin: radomskiej ceramiki, rzeźby, plecionkarstwa, malarstwa oraz kowalstwa.

● Ministerstwo Kultury i Sztuki — Departament Domów Kultury i Działalności Społeczno-Kulturalnej, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu, Centralny Związek Spółdzielni Rękodziela Ludowego i Artystycznego „Cepelia” w Warszawie, Spółdzielnia Pracy Rękodziela Ludowego i Artystycznego „Sztuka Sieradzka” w Sieradzu, Muzeum Okręgowe w Sieradzu zorganizowali wystawę pokonkursową „Sztuka ludowa regionu sieradzkiego”, której otwarcie odbyło się w salach Muzeum Okręgowego w Sieradzu w dniu 17 lipca 1987 r.

● W dniach 1—2 sierpnia br. odbył się X Suwalski Jarmark Folkloru w Węgorzewie. Podczas Jarmarku zorganizowano kiermasz rękodziela i sztuki ludowej wraz z pokazami tkania, kucia, toczenia garnków, wykonywania łapci, nowelałek, przeglądu zespołów instrumentalistów i śpiewaków ludowych, występy gościnne zespołów ludowych z Wilna, Zespołu Pieśni i Tańca „Suwalszczyzna”, wieczór gawęd i poezji, oraz zabawa ludowa. Organizatorami byli: Wojewódzki Dom Kultury w Suwałkach oraz Urząd Miasta Węgorzewa.

(J. J.)

Twórcy ludowi – statkowi m/s „Lublin II”

9 maja 1987 roku o godzinie 11,00 w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni odbyło się nadanie imienia Statkowi M/S „Lublin II”. Matką chrzestną została Izabella Siemakowska. Natomiast 19 czerwca br. odbyła się tradycyjna, morska uroczystość — podniesienie bandery na Statku MS „Lublin II”.

Uczestnicy uroczystości zwiedzili statek. Z uznaniem mówiono o lubelskich darach — malarstwie ściennym, obrazach, gobelinie, metaloplastyce, rzeźbach, zastawie stołowej, obrusach ozdobionych haftem przez twórczynię: Zofię Bielecką, Irenę Najdek oraz Krysytynę Włodkowską — członkinie Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Z okazji wejścia do eksploatacji pod biało-czerwoną banderą statku Polskich Linii Oceanicznych „Lublin II”, dyrektor naczelny PLO — Kazimierz Misiejuk dziękując za dotychczasowe zaangażowanie w upiększeniu wnętrza statku przyznał Stowarzyszeniu Twórców Ludowych okolicznościowy medal „50-lecia żeglugi do Ameryki Południowej”. Jednocześnie władze polityczne i administracyjne miasta Lublina przekazały Stowarzyszeniu list gratulacyjny. A oto fragment listu:

„W imieniu władz polityczno-administracyjnych miasta Lublina składamy Wam serdeczne podziękowania za wielką życzliwość, wkład pracy oraz społeczny wysiłek i pomoc finansową na rzecz objęcia patronatu przez społeczeństwo miasta Lublina nad statkiem Polskich Linii Oceanicznych m/s „Lublin II”. Wasze zaangażowanie przyczyniło się do pięknej i godnej naszego 670-letniego grodu uroczystości nadania imienia statkowi oraz wspólnego wystroju jego wnętrza. Stanowi to istotny wkład w propagowanie idei tradycji morskich w Lublinie — mieście odległym o ponad pół tysiąca kilometrów od morza.

List podpisał I sekretarz KM PZPR — Gustaw Rębacz oraz Prezydent Miasta Lublina Bronisław Popławski.

JANUSZ JANUCHOWSKI

Słownik twórców ludowych

ZYGMUNT BUKOWSKI ur. 30 IV 1936 r. w Wysinie. Obecnie mieszka w Mierzeszynie, woj. gdańskie. Znany poeta i rzeźbiarz ludowy. Pisać zaczął w 1973 roku natomiast od 1976 uprawia rzeźbę figuralną. Zadebiutował w 1980 r. wierszem „Istnienie” na łamach „Dziennika Ludowego”. Jego dorobek literacki był popularyzowany w radiu i telewizji, na łamach prasy, m.in. w „Dzienniku Bałtyckim”, „Głosie Wybrzeża”, „Biuletynie Informacyjnym STL”, i „Twórczości Ludowej”. Kilka wierszy weszło w skład antologii poezji ludowej „Ojczyzna” będącej w druku. Jest autorem tomiku poetyckiego pt. „Słowa ponad biel znaczące” (Gdańsk 1982). Kilkakrotnie laureat Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J. Pocka, m.in. I nagrody w 1986 i w 1987 r. Działacz społeczno-kulturalny w swoim regionie. Jest twórcą izby ludowej w Mierzeszynie, którą własnym kosztem zbudował w stylu regionalnym i wyposażył w ekspozycje ludowe. Jego twórczość literacką cechuje wysoki poziom artystyczny, widoczny zwłaszcza w kształtowaniu wypowiedzi lirycznej poprzez zwarte, metaforyczne obrazowanie. Dużo utworów łączy się z drugą dziedziną jego zainteresowań — z rzeźbiarstwem.

A. Cz.

WALERIA CZUBAK, ur. 21 X 1919 r. w Błędowie, woj. skierniewickie gdzie mieszka do dzisiaj. Śpiewaczka ludowa regionu łowickiego (znana w Polsce pod pseudonimem „Waleria”). Śpiewać zaczęła w wieku 15 lat na weselach, chrzciniach, uroczystościach wiejskich. Po wojnie występowała jako solistka z kapelami J. Kaźmierczaka, A. Radzimińskiego, J. Witkowskiego i S. Winnickiego. Od 1973 r. śpiewa w zespole regionalnym istniejącym przy zakładach „Syntex” w Łowiczu. Na festiwalach folklorystycznych zdobyła w kategorii śpiewaków — solistów m.in. II miejsce w eliminacjach centralnych Ogólnopolskiego Konkursu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu (1972). Za całokształt pracy artystycznej otrzymała nagrodę pieniężną WRZZ w Skierniewicach. Występowała w programach telewizyjnych i radiowych, jej piosenki zostały nagrane na płycie. Jest nie tylko wykonawczynią autentycznych dawnych pieśni i przyspiewek ludowych, ale również tworzy nowe teksty do starych melodii. Swoje umiejętności wykonawcze i repertuarowe chętnie przekazuje młodszemu pokoleniu.

A. Cz.

MARIA GLEN, ur. 2 IX 1933 r. w Zakręciu, woj. chełmskie, gdzie mieszka do chwili obecnej. Jedną z najbardziej znanych na terenie Lubelszczyzny poetek ludowych i działaczek społecznych. Debiutowała w roku 1965 na łamach „Zarzewia”. Jej utwory są drukowane w „Zielonym Sztandarze”, „Chłopskiej Drodze”, „Kamienie” i w innych pismach. Zostały również zamieszczone w antologiach współczesnej poezji ludowej, m.in. w 3-ech tomach „Wsi Tworzącej”, „Pogłosach ziemi”, „Antologii współczesnej poezji ludowej”. Autorka indywidualnego tomiku poetyckiego pt. „Serce oddam wiosnom” (1979). Wielokrotnie występowała w programach telewizyjnych i radiowych. Od dwóch kadencji pełni funkcję wiceprezesa ZG STL. Odznaczona m.in. Orderem Serca Matki (1974) i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1986). Zdecydowana większość jej wierszy poświęcona jest rodzinnej wsi, którą maluje przy użyciu całej gamy kolorów i tonów, w różnych porach roku.

A. Cz.

GAŚNENICA MAKOWSKI WLADYSŁAW, ur. 26.09.1930 r. w Zakopanem, gdzie mieszka do dziś przy ul. Sobczakówka 16. Kowal — artysta, samouk zajmujący się kuciem od 17 roku życia. W sposób mistrzowski adaptuje tradycyjne wzory do nowych form użytkowych, jego prace wyróżniają się wysokim kunsztem artystycznym i opanowaniem warsztatu. Laureat wielu konkursów regionalnych; I ogólnopolskich, m.in. I nagrody w konkursie „Sztuka ludowa Podhala” (1972), I I nagrody w „Ogólnopolskim przeglądzie ludowego kowalstwa artystycznego” (1974). Prace jego były wystawiane w kraju i za granicą, m.in. w Szwajcarii, Czechosłowacji, Francji, Finlandii, Danii, Norwegii oraz ZSRR — na Łitwie i w Moskwie. Nagrody artystyczne: im. J. Pocka i O. Kolberga. Od 1976 r. prowadzi w swoim domu „Izbę regionalną”. Działacz ZSL, STL i Zw. Podhalań. 11.09.1987 r.

B.W.

SPIS TREŚCI

PUBLICYSTYKA

- STAW: Nagrody artystyczne ministrów za rok 1987 — 2
Ryszard Królikowski: Tradycje architektury ludowej a współczesne budownictwo wiejskie — 3
Maria Brzezińska: „Wydlubane” spod strzechy — 6
Anna Sładkowska: Rzeźbiarze z Kutna — 8
Stanisław Weremczuk: Kowalskie wesele — 10
Maria Brzezińska: Kazimierz w one dni — 15
JAN: Sztuka ludowa na Międzynarodowych Targach Poznańskich — 20
Krystyna Widerman: Powozownictwo (Ginące zawody) — 39
Piotr Wołowik: Srodek energii (Medycyna ludowa) — 53

TO MIEJSCE — 19

SZKICE I OPRACOWANIA

- Donat Niewiadomski: Orka złotym pługiem — 21
Marian Puszka: Ogień z ducha ludzi — 24
Daniel Kadłubiec: O pisarstwie ludowym w ogóle, a na Śląsku Cieszyńskim w szczególności — 27
Janina Lukaszewicz: Zdobnictwo w garncearstwie ludowym. Toruń — 1986 — 29
Stanisław Weremczuk: Pamięci prof. Józefa Burszty — 32

PROZA

- Melania Burzyńska: Opowieść wigilijna — 33
Bolesław Majcher: Gwiazdka — 36

WIERSZE

Ignacy Antosz, Zygmunt Bukowski, Józef Chojnacki, Stanisław Derendarz, Paulina Adela Filip, Wawrzyniec Hubka, Walenty Jarecki, Aniela Kupiec, Tadeusz Machnowski, Bolesław Majcher, Maria Majchrzak, Emilia Michalska, Tadeusz Michalski, Władysław Młynek, Alojzy Nagel, Władysław Sitkowski, Sabina Szymbor

POLEMIKI

- Stawer: Odchudzanie chudziny — 42
KANY: Białostockie „Isaury” — 42

INFORMACJE

- Laureaci Konkursu Literackiego im. Jana Poeka — 44
Wojciech Lysiak: Zabawa na ludowo — 45
Zbigniew Korzeniowski: Turniej Gawędziarzy Ludowych — 46
Zbigniew Korzeniowski: Tadeusz Michalski z Przedborza laureatem nagrody „Odgłosów” — 56
Janusz Januchowski: Twórcy ludowi — statkowi m/s „Lublin II” — 59

RECENZJE

- Lucyna Adamowska: Zespół folklorystyczny jako przejaw aktywności kulturalnej wsi — 48

ZE ŚWIATA

- Zdzisław Podkański: Sztuka ludowa północnej Norwegii — 50

CZYTELNICY PISZA

- Andrzej Gąsienica-Makowski: Posiady w nowej formie — 52

TRYBUNA POETYCKA — Ryszard Kornacki — 55

KRONIKA — 56

SŁOWNIK TWORCÓW LUDOWYCH — 59



● Dywany, bogato haftowane obrusy, koronki, wyroby kowalstwa artystycznego, rzeźbę, obrazy na szkle, ceramikę, ludowe ozdoby choinkowe, drewniane zabawki dla dzieci, wycinankę i inne wyroby autorskiej, autentycznej sztuki ludowej, wykonywane przez twórców ludowych z całego kraju **oferuje Galeria Sztuki Ludowej przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie, ul. Grodzka 14 (Stare Miasto), tel. 249-74.**

● Galeria przyjmuje zamówienia na projekty i wykonanie (przez twórców ludowych) oryginalnych, zgodnych z tradycją regionu **strojów ludowych i ludowych instrumentów muzycznych.**

● Wyposażasz dom, poszukujesz oryginalnego prezentu, pamiątki, organizujesz zespół folklorystyczny, jesteś z wycieczką w Lublinie, chcesz nacieszyć oczy — **wstąp do nas!**

Galeria jest czynna w godz. 10.00 — 17.00.

Twórczość Ludowa

Cena egz. — 80 zł, prenumerata półroczna — 160 zł, roczna 320 zł

WARUNKI PRENUMERATY:

1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy;
— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach;

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:

— osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — w siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”;

3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

